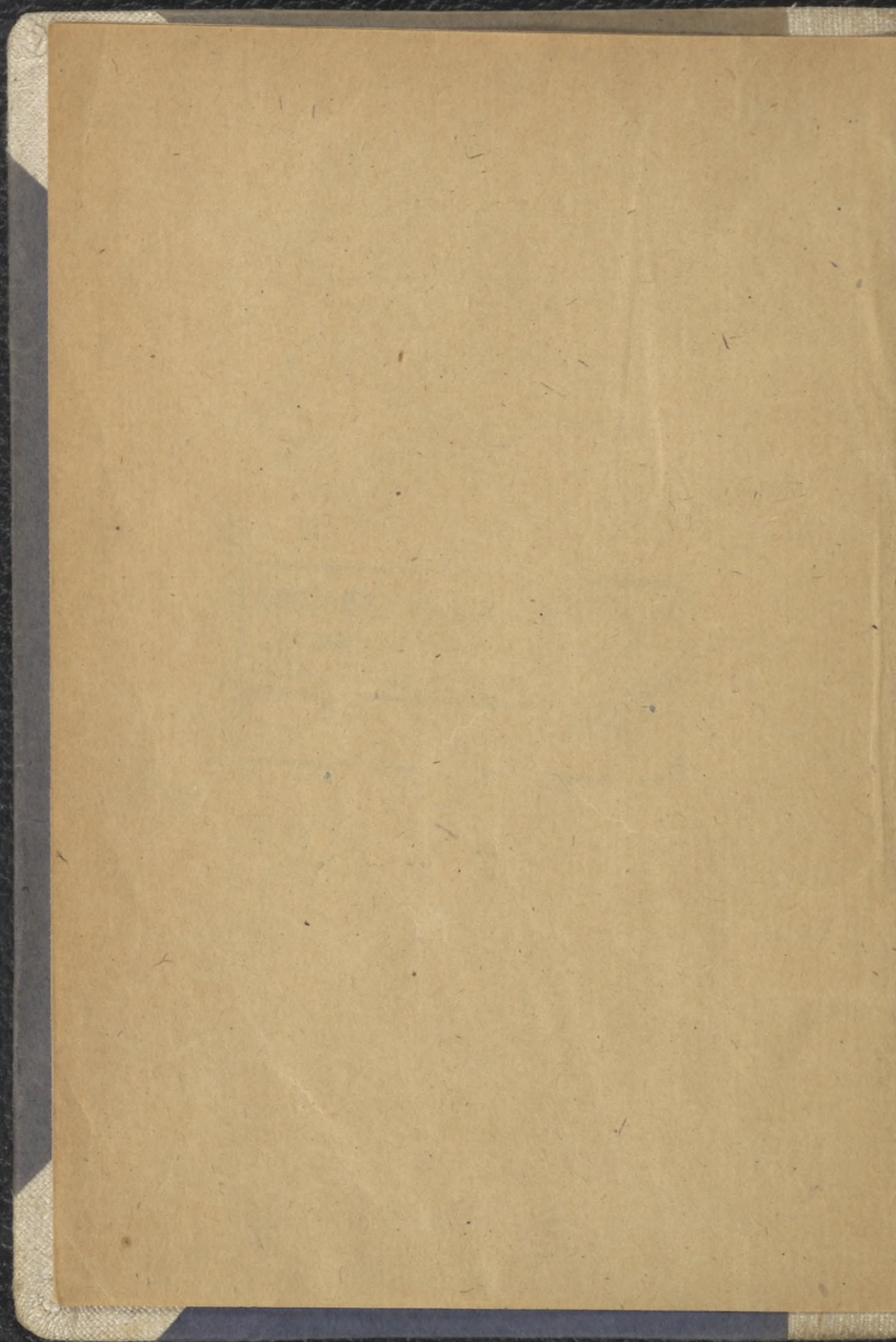


Zakłady Siat, Szwajcarii Wody
stołecznego miasta Poznania
BIBLIOTEKA ŚWIETLIĆOWA

Dział

Nr książki

I 208,480



175

MAŁŻONKA SŁONCA

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA“
LWÓW (POLAND)

GASTON LEROUX

#927/B

MALŻONKA SŁOŃCA

POWIEŚĆ	
Zakłady Gazownictwa Okręgu Poznańskiego	
BIBLIOTEKA ŚWIETLICOWA	
Dr. FELICJA NOSSIG	Nr książki
B.	443

WYDANIE DRUGIE

Zakłady Siły, Światła i Wody	
miejskiego miasta Poznania	
BIBLIOTEKA ŚWIETLICOWA	
Dział	Nr książki
B.	927

J. K. K.



LWÓW—WARSZAWA—POZNAŃ
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA“
LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA
NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.



I-208.480

St. z.

Z DRUKARNI LUDOWEGO SPÓŁDZ. TOWARZ. WYDAWN. WE LWOWIE

KSIEGA PIERWSZA.

Zaledwie okręt zawinął do portu Callao, zanim jeszcze zarzucono kotwicę, rzucił się ku niemu tłum hałaśliwych i natrętnych tragarzy. W okamgnieniu schody, kabiny i salony przepełnione były tymi ciemnymi posługaczami, którzy zabierali się do wyniesienia całego dobytku pasażerów. Wujaszek Franciszek Ksawery Ozoux (członek Akademji, sekcja literatury pięknej) usiadłszy na swych kufrach, w których zapakował bezpiecznie wszystkie swe dokumenty i cenne materiały swej uczoneści, bronił się zawzięcie.

Daremnie przekonywano go, że okręt nie dostanie się na Quai Darsena aż za dwie godziny; trzymał się kurczowo swych skarbów i zaklinał się, że za nic w świecie nie rozłączy się z nimi. O tem zaś, aby pozwolić tym czarnym djablom, ażeby rzucili na swe chwiejne łodzie tak cenne skarby, ani słyszeć nie chciał.

Myśl tę podsunął mu młody człowiek słusznego wzrostu i zgoła nie tchórz, gdyż z największym spokojem zniósł wybuch gwałtownego gniewu, jaki zuchwała jego propozycja wywołała u popędliwego starszka.

Roman Ozoux wzruszył tylko ramionami — których pozazdrościć mu mógł atleta — postanowił zostawić wujaszka swego na okręcie, wskoczył sam do najbliższej łodzi i rozkazał przewodnikowi całą siłą wiosłować ku wybrzeżu.

Z bijącym sercem Roman zbliżał się do Eldorada swych marzeń ambitnych, do krainy złota

i legend, do Peru i do Inkasów!... i jeszcze do czegoś, co przedewszystkiem wywoływało przyspieszone bicie serca u Romana Ozoux...

Nie był wcale rozczarowany jednostajnością wybrzeża. Nie zwrócił uwagi na to, że miasto ciągnęło się na płaszczyźnie równo z poziomem morza, że nie sterczały wcale ponad fale wieże, minarety i dzwonnice, jakimi zazwyczaj starożytne miasta witają przybywających podróżnych. Nie zatrzymał się nawet przed nowoczesnymi konstrukcjami w porcie Darsena, które mogły jednak obudzić zainteresowanie młodego, świeżo dyplomowanego inżyniera... Wszystko to wcale nie zajmowało jego umysłu...

Przewoźnik na prośbę Romana wskazał mu w przybliżeniu okolicę, gdzie znajdowała się ulica Lima i młodzieniec odtąd nie spuszczał jej z oka. Po wylądowaniu odparł brutalnie natarcie całej zgrai przewodników, tłumaczy, hotelowych i żebraków i szybko oddalił się we wskazanym kierunku. Przybył wnet na ulicę Lima, która była jakoby linią odgraniczającą stare miasto od nowego. W górnej części od wschodu rozsiadł się wielki handel; ta część miasta skoncentrowała wspaniałe budowle, szerokie i proste ulice, a sklepy francuskie, niemieckie, angielskie, włoskie i hiszpańskie tworzyły nieprzerwany szereg; w dolnej części był istny labirynt wązkich i krzywych uliczek o jaskrawem zabarwieniu; kolumnady i wystające z wszystkich stron werandy zajmowały niemal całą wolną przestrzeń. Roman przewijał się przez ten labirynt, popychany przez Chińczyków dźwigających zwinnie wielkie ciężary, oraz przez leniwych Indjan. Chociaż Roman nie był nigdy przedtem w Callao, zdawało się jednak, że doskonale zna tę dzielnicę, gdyż prawie nigdy nie zawahał się przed jakąś przecznicą. Nagle zatrzymał się, z lekka przybladł i oparł się o odrapany mur jakiejś starej budowli; z otwartej werandy doszedł go młody i bardzo melodyjny głos kobiety, który jednak z wielką stanowczością objaśniał po hiszpańsku jakiegoś niewidzialnego klienta:

— A więc, jak sobie szanowny pan życzy, ale za tę cenę może pan dostać tylko fosfatowe guano*), które zawiera zaledwie cztery procent azotu...

Rozmowa trwała jeszcze przez kilka minut, potem nastąpiła wymiana grzeczności pożegnalnych i szmer zamykających się drzwi...

Roman teraz silnie wzruszony zbliżył się do werandy i wysunął naprzód głowę. Ujrzał młodą kobietę przedziwnej, chociaż cokolwiek surowej piękności; być może, iż ten wyraz surowości, zaznaczający się ściągnięciem brwi i pogłębieniem pionowej zmarszczki przeryniającej czoło, spowodowany był zajęciem, które w tej chwili przykuwało całą jej uwagę, t. j. przerzucaniem grubych ksiąg kasowych i szybkim notowaniem cyfr na małym karneciku, umocowanym na złotym łańcuszku do zgrabnego stemnika. Nic w tej wdzięcznej postaci kobiecej nie przypominało piękności Kretolki, ani też Hiszpanki, z wyjątkiem może przepięknych czarnych włosów. Lecz były to warkoczki Karmeny na głowie Minerwy — Minerwy o niebieskich oczach, bogini mądrości i doskonałej rachmistrzynie. Nakoniec podniosła głowę:

— Marjo Tereso!

— Romanie!

Opuściła z łoskotem na ziemię dużą zieloną księgę i pobiegła do okna. Roman pocałunkami obsypywał jej ręce, ona zaś śmiała się z radości, widząc go przed sobą takim pięknym i silnym, z piękną blond brodą, upodabniającą go do asyryjskiego maga.

— Jakże tam guano?

— Nieźle; a co u was słyszać?... Oczekiwaliśmy was dopiero jutro.

— Pominęliśmy jedną stację.

— Jak się ma moja mała Janka?

— O, moja siostrzyczka jest już teraz ważną osobistością — jest mamusią dwojga dzieci.

— A Paryż?

*) Najlepszy nawóz wyrabiany w Peru.

— Deszcz padał, kiedyśmy odjeżdżali.

— A Sacré-Coeur?

— Możesz sobie wyobrazić, że nie byliśmy tam już od twego odjazdu.

— Powiadają, że ma być sprzedany?

— Niestety! Jaka szkoda, że nie mogę go kupić... Gdyby mi pozwolono przynajmniej zabrać salę poczekalną, gdzieśmy zawsze z Janką na ciebie czekali!

— Często o tem myślałam! A gdzież twój wujaszek?

— Jeszcze na okęcie! Nie chce rozłączyć się ze swoimi zbiorami... I bezustannie coś zapisuje z zapałem członka Akademji, któremu się zdaje, że odkrył Amerykę... Ależ gdzie są drzwi?... Na Boga, gdzie drzwi?... Nie mogę przecie wejść do twego biura oknem.. A może przeszkadzam ci w robocie?

— Naturalnie!... Skręć poza róg tej ulicy... pierwsze drzwi na prawo... tylko zapukaj zanim wejdiesz!

Pobiegł szybko i wnet dostał się przez sklepioną bramę na olbrzymi dziedziniec, gdzie zwiąjało się z ogromną ruchliwością całe mrowisko chińskich kulisów i indyjskich „quichuasów“, jedni wieźli z portu wózki pełne huczącego pod sklepieniem żelazstwa, inni wracali z próżnymi wózkami. Panował tu wielki hałas i unosił się duszący kurz. Zachwycony inżynier szepnął w przelocie: „I to ona tem wszystkim zarządza!“ i — ujrzał ją stojącą na progu swego kantoru, oczekującą go z radosnym uśmiechem.

Gdy wszedł, zamknęła za nim drzwi i podała mu czoło do pocałowania.

— Pocałuj mnie!

Drżąc cały, Roman pocałował ją we włosy. Stało się to pierwszy raz.

Dziewczyna była znacznie mniej wzruszona niż on, a gdy stał przed nią zmieszany, jak duże dziecko, wpatrzony w nią z zachwytem i nie mógł wydobyć ani słowa, ona znów odezwała się pierwsza:

— A więc kochamy się?

— O! zawołał Roman, składając ręce jak do modlitwy.

— A więc... dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

— Czy już może za późno? zawołał biedny Roman z wyrazem rozpacz.

— Ależ nie! Uspokój się! Właśnie dałam kosa czwartemu z rzędu pretendentowi do mojej ręki. Jest to Don Alonso de Cuelar, największy arystokrata w Limie. Ojciec mój jest na mnie wściekły. A prawda! Nawet nie pytałeś mnie jeszcze o ojca.

— O przepraszam najmocniej!... rzeczywiście, miałem pytać o ojca i o dzieci!... nie wiem do prawdy... nic, tylko patrzę w ciebie!... po prostu zgłupiałem!...

— Dobrze się ma mój ojczuszek kochany. I cieszy się waszem przybyciem, a zwłaszcza przyjazdem twego wujaszka, bo ciebie, mój Romanie, uważa tylko jako dodatek. O tak! dumny jest, że gościć będzie u siebie członka Akademji! Od miesiaca już mówi o tem w swoim klubie i w Towarzystwie geograficznem, gdzie go mianowano sekretarzem. O, mój ojciec pracuje!... zajmuje się gorliwie archeologją, każe rozkopywać ziemię to tu, to tam, poszukując kości naszych przodków... Ot, bawi się, i nas bawi!... Nigdy nie był tak młodym i tak wesołym! Gdy go poznasz lepiej, polubisz go z pewnością!

— Ale tymczasem, powiadasz, że jest wściekły na ciebie?

— Bo też ma przyczynę, doprawdy!... Czy nie jestem już dawno panną na wydaniu?... Mam już dwadzieścia trzy lata, mój panie!... I oto ojciec przedstawia mi czterech panów młodych, pięknych i bogatych, a ja daję im kosa!... Czy wiesz, jak mnie nazywają w Limie!.. „Dziewicą Słońca“.

— Cóż to oznacza?

— Ciotka Agnieszka i stara Irena znają wszystkie legendy w tej okolicy i wytłumaczą ci to lepiej odemnie. Zdaje się, że to coś podobnego do starożytnej Westalki.

— Marjo Tereso, nigdy twój ojciec, markiz Krzysztof de la Torre, nie przyjmie za zięcia Romana Ozoux.

— Proszę cię, nie pleć głupstw! Mój ojciec zrobi to, co ja zechcę. O jedno cię tylko proszę, mój drogi: zostaw mi wybór chwili odpowiedniej, aby mu sprawę przedłożyć. A tymczasem nie podniecaj swej wyobraźni: nie będzie żadnej tragedji, za trzy miesiące pobierzemy się najprozaiczniej w świecie w San Domingo. Ja ci to mówię.

— Ależ ja nie mam złamanego szeląga!...

— Masz dobre zdrowie, kochamy się, a ja podaruję ci Peru!... Jest tu dość do roboty dla inżyniera, wierzaj mi!... Zobaczysz, że ja już z góry myślałam o twoich przyszłych interesach. Pojedziemy razem do Cuzco...

— O Marjo Tereso!... Marjo Tereso, jak ja ciebie kocham i jak szczęśliwym się czuję, że mogę ci to powiedzieć!

— Ale dlaczego nie powiedzieliśmy sobie tego w Paryżu?

— Bo nie wiedzieliśmy sami jeszcze... Żyliśmy tak blisko z sobą, widywaliśmy się codziennie... uważaliśmy się za przyjaciół, za dobrych towarzyszy... potem nastąpiło rozłączenie... oddalenie i nieobecność pouczyły nas dopiero o tem, że się kochamy...

Ujęli się za ręce i stali tak przez kilka chwil w milczeniu...

Nagle powstał wielki hałas od strony dziedzińca i równocześnie prawie drzwi otwarły się, pchnięte przez jednego z urzędników, który zdawał się być mocno zaniepokojony. Lecz spostrzegłszy obcego człowieka, zatrzymał się i nie wyrzekł ani słowa. Marja Teresa kazała mu mówić. Roman rozumiał doskonale i (nawet mówił po hiszpańsku. Dowiedział się więc, jakie nieszczęście spotkało fabrykę.

— Indianie przybyli z wysp, odbyła się walka między Indianami i Chińczykami. Jeden kulis zabity, trzech inni ciężko ranni.

Marja Teresa nie okazała żadnego wzruszenia. Zapytała oschle:

— Gdzie się to stało.. czy na wyspach północnych?

— Nie, w Chincha.

— Czy Huascar był z nimi?

— Był tam i wrócił z nimi.

— Jest tu...

— Niech wejdzie!

Indjanin Huascar.

Służący wyszedł, dał znak ręką i do izby wszedł wspaniałym okaz Indjanina. Odznaczał on się jeszcze większym spokojem, niż Marja Teresa. Młoda panna usiadła przy swym biurku. Indjanin zbliżył się do niej, spokojnie zdejmując szlachetnym gestem swój duży kapelusz słomiany. Był to Indjanin z Trujillo, to jest z kraju, gdzie ten szczerp wydaje najpiękniejszych, najsłuszniejszych wzrostem i najsilniejszych osobników, którzy wywodzą pochodzenie swe w prostej linii od Manco-Capaca, pierwszego króla Inkasów. Piękne czarne włosy spadały mu aż na ramiona, okalając twarz miedziano-czerwoną o wyrazistych rysach. Oczy jego wpatrzone w Marję Teresę miały w sobie jakąś dziwną słodycz, która odrazu nie podobała się Romanowi. Huascar udrapowany był czemś podobnym do mantyli, o jaskrawych barwach, zwanej „puncho“. U pasa wetknięty był nóż w pochwie.

— Opowiedz mi, jak się rzecz miała — rzekła surowym tonem Marja Teresa, nie odpowiadawszy na pozdrowienie Indjanina.

Huascar mimo swej zimnej krwi, zdradzał pewne podrażnienie z powodu takiego przyjęcia w obecności obcego człowieka i zaczął mówić językiem quichuańskim. Lecz Marja Teresa przeważała mu natychmiast i zażądała, aby mówił po hiszpańsku, tłumacząc mu tonem bardzo oschłym, że w dobrem towarzystwie nie wypada przed trzecią osobą używać języka dla niej niezrozumiałego.

Po tej nauczce Huascar ściągnął brwi i patrzył przez chwilę z pogardliwą wyższością na Romana.

— A więc czekam! — rzekła Marja Teresa. — Twoi ludzie zamordowali mi Chińczyka?

— Ten nędzny syn Zachodu śmiał się z tego, że nasi puszczali ogień na uczczenie kwadry księżyca.

— Nie na to płacę twym ludziom, aby się bawili w puszczanie petard!

— Była to święta uroczystość kwadry księżyca.

— Tak kwadry... i połowy i pełni księżyca i słońca! i gwiazd! a do tego wszystkie święta katolickie! Twoi Indianie świętkują bez przerwy. Trzymałam tych ludzi leniwych i wiecznie pijanych tylko dlatego, że są twoimi przyjaciółmi, lecz skoro zaczynają mi zabijać najlepszych moich robotników, to cóż mam z nimi począć?

— Nędzni synowie Zachodu nie są twoimi sługami. Oni cię nie kochają.

— Pracują.

— Pół darmo!... Nie mają poczucia godności!...

— Pracują dla mnie, twoich ludzi zaś trzymam tylko z litości!...

— Z litości!...

Indianin powtórzył ten wyraz tak, jak gdyby go wypluł. Odsunawszy puncho, podniósł zaciśniętą pięść i potrząsnął nią nad głową z gięstem groźby i rozpacz, poczem opuścił napowrót ramię i skierował się ku drzwiom. Lecz zanim je otworzył, odwrócił się jeszcze i wyrzekł szybko kilka zdań w mowie quichuańskiej, przyczem oczy jego błyszczały złowrogo. W końcu zarzucił na ramię puncho i wyszedł.

— Krzyżyk na drogę! — rzekła Marja Teresa, która przez cały czas nie przestała machinalnie bawić się ołówkiem.

— Co ci powiedział?

— Że odchodzi i że nie zobaczę go więcej!

— Wyglądał strasznie!

— Nadrabia mi. Nudzi mnie ten człowiek.

Mówił, że jest mi oddany, że robił co mógł, aby

zapobiedz nieszczęściu. Ale towarzysze jego są niemożliwi. Ach ci Indjanie!... Prawdziwa plaga!... A jaka duma!... i żadnego z nich pożytku. Będę odtąd zatrudniała tylko Chińczyków.

— Bądź ostrożną, bo możesz wywołać niezadowolenie...

— Więc cóż na to poradzę?

— Trzymałam tych ludzi Huascara tylko dla świętego spokoju... chociaż wiedziałam dobrze, że nie mogę liczyć na ich robotę. Ale skoro zabijają moich kulisów, niechaj sobie idą na złamanie karku.

— Huascar?

— Niech zrobi co mu się podoba. Prawda, że był wychowankiem naszej fabryki i uwielbiał moją matkę.

— Pewnie bardzo mu przykro odejść.

— Naturalnie.

— I nie spróbujesz go zatrzymać?

— Nie!... Ale słuchaj Romanie, zapomnieliśmy o twoim wujaszku!

Zadzwoniła.

— Automobil! — rozkazała służącemu... —

Ach, prawda!... I cóż tam z Indjanami?

— Właśnie odeszli wraz z Huascarem.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— Bez krzyku? Bez szemrania?

— Nie wyrzekli ani słowa!

— Czy podjęli w kasie pieniądze?

— Nie!... Huascar nie pozwolił im.

— A cóż kulisi z Wysp?

— O! nie pokazali się tu wcale...

— A ranni?... i zabity?... Co zrobiono z nimi?

— Chińczycy przetransportowali ich już do swej dzielnicy.

— Zadziwiająca rasa!... A więc szybko automobil!

Włożyła zgrabny toczek i pospiesznie wdziewała rękawiczki. Potem sama usiadła przy kierownicy i popędzili z wielką szybkością do portu Darsena. Roman podziwiał zręczność, z jaką omijała trudności, pewność i szybkość każdego ruchu

w dzielnicy tak pełnej nieprzewidzianych przeszkód.

— Często używaliście automobilów w Peru?

— O nie! Nie mamy dróg odpowiednich. Używam samochodu głównie do moich codziennych jazd za interesami z Callao do Limy, czasem także do przejażdżki nad morze do jednej z modnych plaż Ancony lub Corillos. Przepraszam cię na se-kundę, mój Romanie!...

Marja Teresa zwolniła jazdę i posłała ruchem ręki pozdrowienie małej ufryzowanej i rumianej główce męskiej, która uśmiechała się do niej w oknie między dwoma wazonkami kwiatów. Na dany znak główka znikła z okna i ukazała się wkrótce w bramie domu na karku ugrzecznionego staruszka w paradnym uniformie. Marja Teresa zeskoczyła z automobilu i szepnęła coś szybko ufryzowanej główce, poczem znów wsiadła do powozu i automobil potoczył się dalej drogą ku portowi.

— Czy widziałeś — rzekła do Romana — „senora inspektora“, dyrektora tutejszej policji? Powiedziałam mu o zaszłym wypadku. Wszystko będzie dobrze, jeżeli Chińczycy nie wniosą skargi. Umyślnie przejechałam tędy, ponieważ byłam pewną, że go tu znajdę.

— Gdzież on tu był?

— Ha! w krainie miłości, mój Romanie.

Gdy przybyli do portu, za ledwie wciągnięto statek Towarzystwa „Pacific Navigation“, na którym wujaszek Franciszek Ksawery niechybnie robił jeszcze notatki: „Przy wjeździe do portu Callao uwagę naszą zwraca przedewszystkiem, itd. itd.“ Wysyłał korespondencję do jednego z świeżo założonych wielkich dzienników. Gdyby był słyszał, z jakim entuzjazmem Marja Teresa mówiła o „swoim“ porcie: Sześćdziesiąt milionów wydało na budowę Towarzystwo francuskie. Towary przechodzą prosto z mostu okrętowego do wagonów kolejowych, 51.500 metrów!.. tak mój Panie! — O, ten port Darsena, jakże go Kocham!... za jego znaczenie handlowe, za ten ruch okrętowy, za to życie na wy-

brzeżu... po ukończeniu kanału Panama jakie bogactwa tu się nagromadzą... To odrodzenie Peru!... Pogrzebanie Santjago!... Chili pokonane! klęska z r. 1878 pomszczona!... A jaka konkurencja dla San Francisco!...

Roman słuchał ze zdumieniem, że cytowała cyfry jak inżynier, obliczała korzyści jak właściciel okrętu. Ten umysł ścisły ogromnie mu przypadł do gustu.

— Wszystko to byłoby bardzo pięknie — dodała, marszcząc brwi, gdyby nie popełniono głupstw! Cóż kiedy te głupstwa zaczynają się na nowo.

— Jakie głupstwa?

— Rewolucje!...

Zeszli na nadbrzeże i czekali na przybycie okrętu.

— A więc i u was także! — rzekł Roman. — Zastaliśmy rewolucję w Venezueli i w Guayaquilu. Miasto było w stanie oblężenia...

— Tak, to istna epidemia, — ciągnęła dalej młoda panna. — W Boliwji są również niepokoje i z nad jeziora Titicaca nadszły złe wieści.

— Czy tak? To przeszkodzi moim interesom w Cuzko! — odrzekł Roman, żywo zainteresowany.

— Tak, nie chciałam ci powiedzieć... odkładałam to na jutro... dzisiejszy dzień poświęcony miał być radości... rzecz się tak ma, że cała okolica dokoła Cuzko jest w rękach zwolenników Garcji.

— Któż to taki ten Garcia?

— Jeden z moich byłych wielbicieli.

— Cóż to wszyscy więc kochali się w tobie, Marjo Tereso?

— Nudzili mnie nie mało... Ach, kiedy przyjechałam z Paryża... pojmujesz?... z Paryża!... Na pierwszym balu u prezydenta, gdzie musiałam być, gdy skończyła się żałoba po mamie... wszyscy mi się oświadczyli. Nieznośni ludzie! Prawdziwie dzieci! A ten Garcia to już doprawdy enfant terrible... podburzył Indian dokoła Ariquipa i Cuzko... Chce

mu się być prezydentem!... Ale z Veintimilla nie łatwa sprawa.

— Czy wysłano wojsko przeciw niemu?

— Tak, wysłano dwie armie... Ale nie biją się naturalnie...

— Na cóż czekają?

— Ponoś ma wielkie święto Interjami.

— Cóż to za święto?

— To święto słońca u Quichuasów. Ach ci Indjanie, cóż to za plaga!... Musisz wiedzieć, że trzy czwarte armji rządowej i rewolucyjnej składa się z Indjan... a więc, rzecz prosta! przyjaciele i nieprzyjaciele czekają na święto słońca, aby się razem upić... Jest do przewidzenia, że Garcia ostatecznie wyniesie się do Boliwji, ale tymczasem przez trzy miesiące kursy upadną i to odbije się fatalnie na moim interesie!

— A, dzień dobry, panie Ozoux! Dobra była podróż?

Temi słowy Marja Teresa powitała Franciszka Ksawerego, który ujrawszy, ją, wywił ją z daleka swym karnecikiem. Rzucono pomosty, weszli na okręt i Marja Teresa z prawdziwą radością uściśnęła dobrego staruszka, który tak po ojcowski służył jej za korespondenta, podczas swego pobytu w Paryżu.

Pierwsza rzecz, o którą ją zapytał, tak samo jak poprzednio jego siostrzeniec, była:

— Jakże tam idzie guano?

Kokieteryja Limanek.

W domu państwa Ozoux znano Marję Teresę, jako młodą, wesołą panienkę, prawie jeszcze małą dziewczynkę i zdziwiono się ogromnie, gdy po śmierci swej matki powzięła nagle postanowienie udania się pospiesznie do Peru i objęcia tam jednego z najgłówniejszych przedsięwzięć naturalnego nawozu guano, cennego produktu tych wysp.

Marja Teresa nie mogła zapomnieć o tem, że miała tam małą siostrzyczkę i młodego brata,

Izabelę i Krzysztofa i znała swego ojca, który był jeszcze młodszym dzieckiem, niż tamtych dwoje i umiał tylko jak magnat w podróży do Paryża trwonić pieniądze, które matka zarabiała.

Matka jej była córką właściciela okrętów i poślubiła czarującego markiza Krzysztofa de la Torre, który był „attaché” w konsulacie peruwiańskim i potrzebował wówczas gwałtownie świeżej pozołoty swego herbu.

„Znajomość” zawarto podczas sezonu kąpielowego w Pontailac. Następnej zimy markiza wyjechała do Peru, przynosząc z sobą oprócz posagu (zmysł polityczny, zdolności do interesu i niezwykłą inteligencję przemysłową, dzięki której założyła ku wielkiej rozpacz swego małżonka przedsiębiorstwo naturalnego nawozu, podczas gdy inni rujnowali się na poszukiwaniu złota, w kraju, który obfitował weń wprawdzie, lecz nie posiadał środków komunikacyjnych).

Z czasem markiz (widząc, że może czerpać pełnymi rękami) z kasy zawsze pełnej, przebaczył swej żonie, że uczyniła go bogatym, a po jej śmierci nie zdziwił się bardzo, gdy okazało się, że córka jego odziedziczyła po matce te praktyczne cnoty. Pozwolił jej, aby robiła, co chciała i był jej nieskończenie wdzięczny, że wzięła na siebie troskę o wszystkie poważne sprawy.

— A gdzież mój przyjaciel Krzysztof? — zapytał wujaszek Franciszek Ksawery, czuwający nad transportem swych rzeczy.

— Oczekuje pana dopiero jutro!...

— Ale będzie pan miał wspaniałe przyjęcie, panie Ozoux; Towarzystwo geograficzne przygotowuje je dla pana!

Zabezpieczywszy swój kuferek z dokumentami, Franciszek Ksawery wsiadł do automobilu, który z całą szybkością popędził w kierunku Limy, gdyż Marja Teresa pragnęła przybyć tam jeszcze przed zmierzchem.

Krajobraz dokoła nich nie był ponętny; ziemia przepalona żarem słonecznym, wyschła zupełnie, nie orzeźwiona nigdy najmniejszym ożywczym desz-

czykiem. Tylko od czasu do czasu zjawiała się hacienda, tj. folwark otoczony niby zieloną oazą, plantacjami trzciny cukrowej, kukurudzy i ryżu. Mimo tak niepokojącej okolicy, członek Akademji wciąż notował, notował coś w swym karneciku! Wkrótce już ujrzano wieżycę i minarety, które upodobniały Limę do miasta muzułmańskiego. Dojeżdżając do miasta, mijali strumyk Rimae, nad którym pochyleni murzyni łowili raki do ogromnych worków, zwisających im od pasa. Roman cieszył się na raki, lecz gdy powiedział o tem Marji Teresie, zdziwiony był jej miną zaniepokojoną i zapytał o przyczynę niepokoju.

— Rzecz niezwykła — odrzekła, nie widać ani jednego Indjanina.

Gdy przybyli do Limy, przejeżdżali przez dzielnicę zwaną „miastem królów“, Marja Teresa, która lubiała popisywać się osobliwościami Limy, przedłużyła nieco jazdę, aby pokazać Romanowi ten kącik malowniczy.

Domy znikwały tu pod drewnianymi gankami, przylepionymi niejako do murów. Ganki te były pięknie rzeźbione, ozdobione sztachetkami i arabeskami, tak, iż wyglądały jak małe zawieszane na murach pokoiki zgrabne i kokieteryjne. Tu i ówdzie wyglądały z nich śliczne twarzyczki kobiece, które znać wcale nie miały zamiaru ukrywania się.

Limianki znane są z piękności i z kokieterji. W tej dzielnicy wychodziły one na ulice udrapowane w duże czarne szale z długimi frenzlami, zarzucone z wdziękiem na głowę i ramiona. Podobnie jak u Maurytańek manta odsłaniała z twarzy niemal tylko duże czarne oczy. Lecz gdy uchyliły cokolwiek osłony, Roman podziwiał ich rysy regularne i matową skórę, która zdawała się jeszcze bielszą skutkiem okalających ją cieniów. Młodzieniec nie ukrywał swego zachwytu, czem zasłużył na naganę ze strony Marji Teresy.

— Są one stanowczo zbyt ponętne pod tą mantą! — rzekła. — Pokażę ci teraz Europejki.

To mówiąc, skreśliła w dzielnicę nową, na szerokie corso, z którego roztaczała się wspaniała panorama pobliskich Anđ. Znajdowali się teraz w pełnej dzielnicy arystokratycznej i Marja Teresa musiała bezustannie odpowiadać na ukłony znajomych. Czarną mantę Limanek zastępowały toalety paryskie. Była to właśnie pora przechadzki i wszędzie stawały grupy, zajęte rozmową o miłości, o toaletach i polityce. Gdy przybyli na plac Mayor już pierwsze gwiazdy ukazały się na horyzoncie. Gęsty tłum zalegał aleje, tak, iż powozy bardzo powoli mogły ruszać naprzód. Kobiety w balowych toaletach, bez kapeluszy, z kwiatami we włosach rozparły się w powozach, a młodzi ludzie, ugrupowani dokoła fontanny na środku placu, przesyłali im ukłony i uśmiechy.

— To rzecz dziwna! Ani jednego Indjanina! — szepnęła Marja Teresa.

— Czy bywają w tej dzielnicy?

— Przyglądają się zawsze defiladzie na placu Mayor.

Przed kawiarnią mała grupa starszych panów rozmawiała i słychać było nazwisko Garcji i Veintemilli, prezydenta Republiki.

Teraz samochód okrążył katedrę i wjechał do wąskiej uliczki. Marja Teresa widząc przed sobą drogę wolną przyśpieszyła jazdę, lecz nagle musiała się zatrzymać, gdyż omal nie przejechała człowieka, który stał pośrodku drogi, udrapowany dumnie w puncho. Poznali Indjanina.

— Huascar! — zawołał z pasją.

— Huascar prosi senioritę, aby nie jechała tą drogą.

— Droga jest otwarta dla każdego, usuń się Huascarze!

— Huascar nie powie więcej ani słowa senioricie. Powóz przejedzie po Huascarze!

Roman chciał się wmieszać, lecz Marja Teresa zatrzymała go ruchem ręki.

— Dziwnie się zachowujesz Huascarze — rzekła młoda panna. — Czy nie mógłbyś mi wytłu-

maczyć, dlaczego nie widać w mieście ani jednego Indjanina?

— Bracia Huascara robią, co im się podoba. Są ludźmi wolnymi!

Wzruszyła ramionami, namyślała się przez chwilę, a potem, ulegając prośbie Huascara, nawróciła na inną drogę. Przed odjazdem spojrzała na człowieka, który nie ruszył się z miejsca i rzekła:

— Wszak jesteś moim przyjacielem, Huascarze?

Indjanin, słysząc te słowa, odkrył powoli głowę i podniósł oczy ku gwiazdom, jak gdyby chciał wezwać niebo na świadka, że Marja Teresa nie ma na świecie lepszego przyjaciela, niż Huascara. Młoda panna rzuciła mu krótkie adios! i odjechała.

Zatrzymała automobil przed wspinałym pałacem, a portjer pośpieszył z pomocą Marji Teresie przy wysiadaniu. Wyprzedził go jednak markiz Krzysztof de la Torre, który jednocześnie nadjechał powozem. Wydawał głośne okrzyki radości, ujrzawszy gości, których spodziewał się dopiero jutro. Powitał Franciszka Ksawerego dobranemi słowami i wskazawszy na drzwi swego domu rzekł:

— Racz zejść senor i spocząć, jesteś u siebie w domu!

Markiz był to mały człowieczek o przesadnej elegancji. Ubrany był jak młody człowiek i nosił buty z wysokimi obcasami, aby wydawać się nieco wyższym. Był żywy, ruchliwy, promieniący. Gdy się ruszył — a ruszał się prawie bezustannie, wszystko lśniło się na nim, w nim i dookoła niego: oczy, krawat jaskrawy, klejnoty. Nie przeszkadzało to jednak, że miał minę wielkiego pana i że był nim rzeczywiście w chwilach, gdy inni uważali za potrzebne okazywać spokój, obojętność lub surowość. Największą jego uciechą poza klubem i geografią były ekstrawaganckie wycieczki, podejmowane z małym siedmioletnim synkiem Krzysztofem. Jak mali uczniacy, uwolnieni ze szkoły, napełniali obaj dom wesołymi krzykami i koziółkami, mała zaś Izabela, o rok młodsza od

braciszka, z usposobienia poważna, gromiła ich z patosem, jak prawdziwa infantka.

Pałac markiza był na poły nowoczesny, na poły historyczny. Markiz nagromadził w nim mnóstwo antyków, pozbieranych w rozmaitych miastach peruwiańskich, gdzie przebywali jego przodkowie i rzecz naturalna — z każdym przedmiotem wiązała się anegdota, której nieuchronnie wysłuchać musiał każdy gość, zwiedzający dom. W tem to gnieździe historycznem wujaszek Franciszek Ksawery i siostrzeniec jego Roman zostali przedstawieni dwom starym damom, ciotce Agnieszce i jej towarzysze Irenie. Obie te panie ubrane były wedle dawno minionej mody i wyglądały, jako gdyby przeniesiono je tu do pałacu wraz z innymi antykami. Spędzały cały czas prawie na opowiadaniu strasznych historii. Wszystkie legendy peruwiańskie skryły się w tym kącie, gdzie wczorami po kolacji obaj Krzysztofowie, ojciec i syn wraz z małą Izabelą doznawali rozkosznych dreszczów grozy, słuchając tych bajek, podczas, gdy Marja Teresa na drugim końcu pokoju załatwiała swoje korespondencje z pośrednikami w sprzedaży guano.

Franciszek Ksawery zaprzyjaźnił się szybko ze starymi damami i przy kolacji usiadł między nimi. Obie zaczęły już swoje opowiadania, gdy Marja Teresa uznała za potrzebne uwiadomić ojca swego o poważnem zajściu między Indjanami a Chińczykami. Gdy ciotka Agnieszka usłyszała, że Marja Teresa wypędziła Indjan, zaczęła biadać nad tem nierozważnem postępowaniem tuż przed świętem „Interaynu“. Irena sekundowała jej, a markiz przyłączył się do ich zdania.

Gdy się dowiedział, że nawet Huascar opuścił dom, był poważnie zaniepokojony. Cóż to się stać mogło, że Huascar, zawsze tak oddany ich rodzinie, porzucił dom tak nagle? Marja Teresa odrzekła krótko, że już od dłuższego czasu nie była zadowolona z postępowania Huasara i że dała mu to do poznania.

— To co innego — rzekł markiz — mimo to jestem niespokojny... Indianie nie zachowują się się ze zwykłą sobie apatją... Coś wisi w powietrzu!

W przededniu święta Słońca.

— Skąd to pochodzi — zapytał Roman — że nie spotkaliśmy żadnego Indianina w mieście?

— Ach panie — odrzekła ciotka Agnieszka — zawsze z tej samej przyczyny, ponieważ zbliża się ich święto Słońca. Odbywają się tajne zebrania; znikają gdzieś w górach, albo w podziemnych jaskiniach, jakby w katakombach. Wystarczy hasło dane z jakiegoś zakątka w Andach, ażeby znikli jak cienie, a potem zjawili się napowrót jak chmura szarańczy.

— Moja siostra przesadza — rzekł markiz, uśmiechając się — między nami mówiąc, nie są tak niebezpieczni.

— Czy buntują się czasami? — zapytał Franciszek Ksawery. — Uważałem ich za tak zidjocjalnych...

— O nie wszyscy są takimi... tak, mieliśmy kilka buntów, lecz nie było to zbyt poważne.

— Czy jest ich dużo? — zapytał Roman.

— Stanowią trzy czwarte tutejszej ludności — odrzekła Marja Teresa — ale oni nie zdolni są do buntowania się, tak samo, jak do pracy. To ta historia z Garcją poruszyła ich trochę. Zbyt długo już panował spokój. A co o tem sądzi prezydent? — zapytała ojca.

— Prezydent nie bardzo się tem niepokoi, zdaje się, że te rozruchy powtarzają się co dziesięć lat.

— Dlaczego właśnie co dziesięć? — zapytał wuj Ksawery, który już pilnie notował w swym karneciku.

— Ponieważ co dziesięć lat Indianie Quichuasi obchodzą większe, niż corocznie święto Słońca — wyjaśniała skwapliwie stara Irena.

— I gdzież się odbywa ta uroczystość? — zapytał Roman.

— O, to trudno dokładnie oznaczyć — rzekła ciotka Agnieszka szeptem, jakgdyby powierzała słuchaczom ważny sekret... Powiadają, że w tym dniu poświęcają liczne ofiary... popioły tych ofiar sypią do rzek, które tym sposobem unoszą w swym biegu wszystkie grzechy narodu.

— To ślicznie! — zawołał Franciszek Ksawery — Chciałbym być obecnym przy tej uroczystości!

— O, nie mów pan tego! — westchnęła ciotka... — Na tem dziesięcioletniem święcie Słońca składają ofiary z ludzi!

— Ofiary z ludzi!

— Czy wierzycie ciotce? — zapytała, śmiejąc się Marja Teresa.

— Dlaczego nie mielibyśmy jej wierzyć? — zaprotestował wujaszek. — U Inkasów podczas święta Słońca, te ofiary były w zwyczajaju, a moje własne studia i wszystko, co pisano o Peru, potwierdza, że Quichuasi zachowali swój dawny język i dawne obyczaje.

— Przyjęli przecie chrzest po zwycięstwie Hiszpanji! — zauważył Roman.

— O, to im wcale nie przeszkadza! — rzekł markiz — mają teraz dwie religje zamiast jednej i pomieszali obydwaj kultury z zadziwiającą bezmyślnością.

— Czego oni chcą właściwie? Czy powrotu rządów Inkasów?

— Sami nie wiedzą, czego chcą — odrzekła Marja Teresa. — Odkąd nie czują nad sobą żelaznej dyscypliny synów Słońca, skorzystali ze swobody, aby oddać się zupełnemu nierobstwu. Stąd lenność i zawistość materialna daje się im we znaki i przypomina im złote czasy za rządów synów Manco-Capaca! Tyle przynajmniej dorozumiałam się z wyjaśnień Huascara... Odpowiedziałam mu, że bracia jego nie byłiby szczęśliwymi, gdyby wróciły dawne czasy, gdyż odzwyczaili się od pracy. Co do mnie jestem szczęśliwa, że poz byłam się

tej bandy Huascara!... Kosztowało to mnie jednego Chińczyka, ale to niezbyt drogo zapłacone...

— Czy to być może, że istnieją jeszcze ofiary z ludzi?

— Ależ nie! Co za bajki! — zawołała Marja Teresa.

Ciotka Agnieszka i stara Irena podskoczyły z oburzenia.

— Marja Teresa nic nie wie! Była wychowywana w Paryżu... Panie Ozoux, niech nam pan wierzy... To niema się z czego śmiać!... Jesteśmy zupełnie pewne... słyszy pan, absolutnie pewne (i jest na to dość dowodów, mój Boże!), że co dziesięć lat Quichuasi ofiarowują Słońcu małżonkę!

— Cóż to znaczy, że ofiarowują mu małżonkę? — zapytał wujaszek zaciekawiony do najwyższego stopnia.

— Tak, tak, panie Ozoux... ofiarowują mu młodą kobietę, potajemnie w jednej ze świątyń pochodzących z dawnych czasów, gdzie noga cudzoziemca nigdy nie powstała... to rzecz okropna, ale prawdziwa!...

— Poświęcają młodą kobietę! zabijają!

— Ależ tak! zabijają ją!... Zabijają ją i ofiarowują Słońcu!

— I w jaki sposób zabijają ją? Czy ją palą?

— O nie!... To jeszcze straszniejsza rzecz, panie Ozoux... stos wystarcza dla ceremonii mniej ważnych. Ale podczas dziesięcioletniego obchodu Interaymi porywają młodą dziewczę z obcego narodu, najpiękniejszą, i najszlachetniejszą i zamurują ją żywcem w świątyni Słońca!... Tak, tak, panie Ozoux... to szczerza prawda!

Marja Teresa nie mogła się wstrzymać od śmiechu, widząc przerażenie Franciszka Ksawerego. Ten spojrział na nią z wyrzutem dziecka, któremu psują zabawę. Uważał za swój obowiązek stanąć w obronie starożytnych dam. Wszystko to, co mówiły, zgadzało się zupełnie z tem, co badania stwierdziły o dziewicach Słońca. Wujaszek uważał tę chwilę za stosowną, aby wyruszyć z całym

swym aparatem uczoneści. Dowodził cytatami, że ofiary te składane były bądź to bożkowi dnia, bądź też królowi i często ofiary te były dobrowolne.

Działo się to zwłaszcza przy pogrzebach królewskich, gdzie krew mieszała się z łzami.

— Prescott — mówił Franciszek Ksawery — który wydał jedno z najlepszych dzieł o Inkasach i o zdobyciu Peru — opowiada, że przeszło tysiąc sług, małżonek i służebnic poświęcono na grobie monarchy. Małżonki zaś dawały przykład innym, zabijając się same!

— Co za wałjactwo! — zawołała ciotka Agnieszka, a stara Irena przeżegnała się i mamrotała modlitwę.

— Jakież to były „dziewice Słońca“? — zapytał Roman.

A rozpromieniony wujaszek tłumaczył, że były to młode dziewczęta poświęcone służbie bóstwa. Zabierano je z domu rodzicielskiego w wieku dziecięcym i oddawano do klasztorów, gdzie czuwały nad nimi stare kobiety zwane „mamaconas“. Żyły w zupełnem odosobnieniu, zrzucały się wszelkich stosunków ze światem, nawet z rodziną i przyjaciółmi. Sam Inka tylko i Coya, czyli królowa mogli wchodzić w to święte miejsce. Czuwano troskliwie nad ich cnotą..

— I biada nieszczęśliwej, którą posadzono o jakieś przekroczenie!... — przerwała Irena. — Według surówego prawa Inkas miała być żywcem pogrzebana, a miasto, z którego pochodziła, miało być zrównane z ziemią i przysypane kamieniami, aby nawet pamięć o niej zaginęła!

— Miły kraj! — rzekł Roman.

— E, mój chłopcze, — odparł wujaszek, — to dowodzi, że w kraju, tym była już wysoka cywilizacja, gdyż odnajdujemy tu kult i obyczaje starożytnej Romy!

— Wszystko to bardzo piękne, — zauważyła Marja Teresa — nie dowodzi jednak wcale, że ofiary ludzkie istnieją tu jeszcze obecnie.

— Ach, nieszczęsne dziecko! — krzyknęły obie damy, ty jedna tylko wątpisz o tem!

— Któż je widział?

Trzy młode dziewczęta zamurowane żywcem.

Ciotka Agnieszka potrząsa głową:

— Posłuchajcie. Dawnymi laty miałam starą służącą quichuańską z nad brzegu jeziora Titicaca i ta opowiadała mi, że w przeciągu trzydziestu lat widziała na własne oczy, że podczas uroczystości Interaymi, zamurowano żywcem trzy młode dziewczęta.

— Z jakiego miasta? — zapytał Roman.

— Z Limy!

Ależ o temby wiedziano! — odparł Roman, którego bawiły miny dwóch starych dam. Przytem Marja Teresa podniecała go skrycie, aby je drażnił.

— I wiedzą też o tem... mój młody panie — zapewniała ciotka. — Znają dobrze nazwiska, dwóch młodych dziewic, które zamurowano żywcem w świątyni Słońca — jedną przed dwudziestu, drugą przed dziesięciu laty.

— Tak, tak! wiemy o tem! to znana rzecz! — wołał śmiejąc się markiz.

— Niema się z czego śmiać, mój panie bracie! — gromiła ciotka Agnieszka.

A Irena wtórowała ciszej:

— O tak! niema się z czego śmiać! — Ale Krzysztof był już rozbawiony na dobre.

— A więc oplakujmy te biedne dziewczęta! — zawołał, przyjmując minę żalobną. — „W kwiecie wieku wyrwanej z miłosnych objęć rodziców...”

— Mój panie — przewała groźnie ciotka — czy mógłbyś nam powiedzieć, w jaki sposób znikły Amelja de Vargas i Marja Krystyna d'Orre-lana?

— Proszę, słuchamy! — wyzywała Irena.

— Aha!... Wiedziałem, że do tego przyjdzie!... Czekałem na to pytanie!

— Możebyś przez chwilę mówił poważnie...

Znałeś przecie Amelję de Vargas...

— Najpiękniejszy uśmiech na placu Mayor!... Przed dwudziestu laty!... Jak to czas leci!... Tak, w istocie znikła przed dwudziestu laty... z jednym ze swoich kuzynów!

— Słyszałam niedawno, że miał to być jakiś toreador! — przerwała Marja Teresa... — ta historia zmartwychwstaje, jak się zdaje co dziesięć lat... gdy zbliża się święto Interaymi.

— Ta historia w swoim czasie poruszyła całe miasto... Podczas jakiegoś zbiegowiska na placu des Tores Amelja, która przechadzała się w towarzystwie swoich rodziców, znikła i nie zjawiła się już nigdy... Widziano, jak ją uprowadzili Indianie i wszyscy wiedzą doskonale, że ją żywcem zamurowano.

— O potęgo wyobraźni pospółstwa!... Prawdą jest to, co mówiłem poprzednio, równocześnie bowiem znikł także jej kuzyn, który się w niej kochał... Po prostu uciekli i osiedlili się w innej okolicy.

— Takie jest twoje zdanie, mój bracie!... Na szczęście mamy jeszcze historję Krystyny d'Orrelana!

— Oczywiście! — rzekł markiz. Przygoda Marji Krystyny była bardziej smutną... Przechadzała się z ojcem swym w pobliżu Cuzko i weszła do podziemia, z którego wyjście nikomu nie było znane. Zgubiła się, rzecz całkiem naturalną. To też po tem zajściu rząd kazał zamurować te labirynty ziemne.

— Tak — odezwała się znów Agnieszka — ojciec jej od tej chwili cierpi na obłąkanie, błądzi bezustannie pomiędzy ruinami Cuzko i woła swoją córkę... i to już od lat dziesięciu!. Wiadomo także, że kilka dni przed swem zniknięciem Marja Krystyna otrzymała dziwny prezent: ciężką, starą bransoletę złotą, ozdobioną tarczą, przedstawiającą słońce!

— Ależ moja Agnieszko, wiesz przecie, że w tym kraju jubilerzy zdobią wszystkie klejnoty słońcem.

— Tak, ale to była prawdziwa bransoleta i, zdaje się, że taką samą otrzymała także Amelja.

— Zmyślasz, zmyślasz, siostrzyczko! Tylko mój drogi panie — rzekł markiz, zwracając się do Franciszka Ksawerego — proszę nie notować tych bredni!

— Nie zmyślam wcale — podjęła stara ciotka z uporem. — Właśnie to była autentyczna, bransoleta słoneczna.... bransoleta ofiarna... ta sama, którą w dziesięć lat od spalenia żywcem ostatniego króla Inkasów, Atahualpy przez Pizarra kapłani Inkasów posyłają tej dziewicy, która wybrana została na małżonkę Słońca i miała być żywcem zamurowana! Biedny d'Orrelana dość się naopowiadał o tej bransolecie Słońca i całe miasto o tem mówiło.

— Całe miasto ma bardzo bujną wyobraźnię, gdy nadchodzi święto „Interaymi“.

Pochylając się do swego gościa, markiz dodał:

— Nie masz pan wyobrażenia, ile trudności mamy w naszym Towarzystwie geograficznem i archeologicznem, chcąc wyzbyć się tych wszystkich legend. Pan, jako prawdziwy uczonec...

— O! uczonec nie gardzi wcale legendami — odrzekł członek Akademji — i przyznam się panu, że co do mnie jestem zachwycony, że dostałem się do kraju, gdzie legendy jeszcze są tak pełne życia.

W tej chwili wszedł służący i podał Marji Teresie receptis i małą szkatułkę.

— Pakiecik polecony — rzekł. — Listonosz go przyniósł, a wieczorem wróci po receptis. Proszę panienkę podpisać.

Marja Teresa podpisała.

— Patrzcie, przysłała z Cajamarki!... Nie znam nikogo w Cajamarca... Co to może być?... Pozwólcie państwu.

Rozwiązała pakiecik i otworzyła drewnianą szkatułkę.

— Bransoleta! — zawołała, śmiejąc się z lekkiem zdenerwowaniem. — Ależ to ciekawy zbieg okoliczności! Toż to jest sławna bransoleta sło-

neczna!... Słowo daję... bransoleta dla „małżonki Słońca“!

Wszyscy powstali, z wyjątkiem dwóch starych dam, które z przerażenia zdrętwiały. Wszystkich oczy zwróciły się na ciężką obrączkę z starego złota, z tarczą słoneczną, której promienie wydawały się jakby przygaszone pyłem wiekowym.

— Wcale niezły żart! — zawołała, śmiejąc się Marja Teresa.

— Na honor! — odezwał się markiz głosem cokolwiek niepewnym. — To z pewnością zemsta — trzeba przyznać, w eleganckiej formie — tego dzielnego Alfonsa de Cular, któremu dałaś kosa. Uprzedził mnie przecie ze swym smutkiem i miłym uśmiechem: „Zemszczę się na Dziewicy Słońca!...“ Wiesz przecie, że cię w naszym klubie nazywają wszyscy Dziewicą Słońca, ponieważ nie chcesz wyjść za (mąż!... Ale cóż to znowu za miny?

Zwracając się do starych dam rzekł:

— Jakto, nie będziecie chyba robili awanturn dla prostego żartu?

Marja Teresa pokazywała bransoletkę Franciszkowi Ksaweremu, i Romanowi.

— Kochany ojczy, powiedz Don Alfonsowi, że przyjmuję jego prezent i że będę nosiła bransoletkę jako pamiątkę naszej przyjaźni... Jest rzeczywiście bardzo piękna! Nie wyrabiają już dziś takich klejnotów!... Jak się panu zdaje, panie Ozoux?

— Co do mnie — rzekł członek Akademii — penię tę bransoletkę na cztery do pięciuset lat, przynajmniej!

— Znajdują się jeszcze takie skarby w wykopaliskach grobów królewskich, ale są rzadkością... Nie dziwię się wcale, że don Alfonso poszukując ich, dostał się aż do Cajamarki...

— Miasto, gdzie ostatni król Inkasów został spalony żywem! — szepnęła zamierzającym głosem ciotka Agnieszka.

Rzucono się ku niej, gdyż była blizka omdlenia; zarzieszono ją do sypialni, a stara Irena powłókała się za nią, blada jak śmierć, żegnając się wciąż znakiem krzyża.

Kto posłał bransoletę?

Nazajutrz po przybyciu do Limy, wujaszek Franciszek Ksawery był uroczyście witany w Towarzystwie geograficznem. Mowę jego przyjęto z gorącym entuzjazmem, a w odpowiedziach sławiono geniusz francuski w ogólności, a osobę członka Akademji w szczególności. Szczęśliwszym jednak i dumniejszym niż on, był Markiz Krzysztof. Na tem pamiętnym posiedzeniu obecni byli także Roman i Marja Teresa, która wbrew zakłębom i jękowi starych dam, włożyła bransoletkę.

Przy wyjściu markiz spotkał don Alfonsa de Cuelar, bardzo miłego młodzieńca.

— Myślałem, że jesteś pan w Cajamarce! — rzekł markiz, witając go.

Don Alfonso miał minę bardzo zdziwioną.

— Panie Cuelar!... niechże pan nie udaje zdziwionego. Nie gniewamy się wcale. Zemścił się pan bardzo ładnie za odmowę Marji Teresy...

— Ja?

— No tak: bransoletka!

— Jaka bransoletka?

W tej chwili Marja Teresa i Roman zbliżyli się. Marja Teresa widziała, że ojciec rozmawiał z Alfonsem i nie wątpiła, że zagadka z bransoletką jest już wyjaśniona.

— Dziękuję, przyjacielu! — rzekła, podając don Alfonsowi rękę, ozdobioną ciężką bransoletą.

— Widzi pan! Noszę ją na znak niezamąconej przyjaźni.

— Ależ nie ośmieliłbym się nigdy!.. — protestował młody człowiek, patrząc kolejno na markiza, Marję Teresę i Romana.

— Przysięgam, że nie wiem o niczem!... Cóż to za historia?... I jaki dziwny klejnot!.

— Nie poznaje pan?... To przecie sławna bransoletka słoneczna, którą kapłani posyłają małżonce Słońca w dziesięciolecie święta Interaymi! — rzekła Marja Teresa, patrząc mu żartobliwie w oczy, gdyż nie bardzo jeszcze wierzyła zaprzeczeniom młodzieńca, którego rękę odtrącała. — A ponieważ to pan dałeś mi ten przydomek „Dziewicy Słońca“, którym mnie obecnie witają w Limie, więc sądziliśmy, że to pan...

— Mój Boże, jaka szkoda, że nie pomyślałem o tem! — westchnął don Alfonso. — Ale to z pewnością szczęśliwy pomysł jednego z mych przyjaciół, którzy tubiegali się o ten sam zaszczyt, co ja, senorito, i z równem powodzeniem!... Oto właśnie zbliża się ponury Pedro Ribera. Słowo daje, wygląda tak, jakby to jego była sztuczka!

Przywołał go, lecz Ribera również nie miał o niczem pojęcia, podziwiał oryginalny klejnot i żałował, że nie on go posłał Marji Teresie.

Markiz był już trochę rozdrażniony i żałował, że mówił o bransolecie z tymi panami. Wiedział, że naraziłby się na śmieszność, gdyby ich prosił o zamilczenie tej, w gruncie rzeczy niewinnej przygody, z drugiej zaś strony był pewny, że za dwie godziny na corso, na ślizgawce, w kawiarniach, na placu Mayor, tajemnicza bransoletka „Dziewicy Słońca“ będzie jedynym przedmiotem rozmowy. Marja Teresa domyślała się, co się dzieje w duszy ojca, rzekła więc:

— Posłuchaj ojcze! Ta bransoletka jest teraz śmieszna! Zanim dowiemy się, kto nas uraczył tą niespodzianką, niechaj zniknie z widowni i nie mówmy więcej o niej!..

To mówiąc, zdjęła ją zręcznym gestem i wrzuciła do swej torebki.

— Przychodzi mi na myśl — rzekł Roman — czy to przypadkiem nie Huascar.

— Huascar? Dlaczego właśnie Huascar? — zapytał markiz?

— Wiem, że Indjanin ten jest bardzo przywiązany do pańskiej rodziny, mogę więc wyobrazić sobie, że znalazłszy ten stary klejnot indjański,

nie mógł zrobić nic lepszego, jak darować go córce pańskiej.

— Nie mówmy już więcej o tem! — zawołała Marja Teresa, przyczem zarumieniła się lekko — czy Huascar, czy kto inny, to mnie bardzo mało obchodzi!... Zresztą nie bądźmy tak niecierpliwi... lada dzień przyjedzie może jakiś przyjaciel ojca i całując mnie w rękę, zapyta: Jakto, nie nosi pani bransolety?

— Zdaje się, że tak będzie — rzekł Roman z miną zupełnie spokojną i obojętną.

Ale markizowi, który w gruncie rzeczy był cokolwiek zaniepokojony, spokój Romana wydawał się podejrzany.

— Założyłbym się, że to pan! — zawołał nagle.

— Co? ja?... ledwie przybyłem... jakżebym mógł?

— Mogłeś pan kupić ten klejnot w jednej ze stacji przydrożnych i wysłać go za pośrednictwem jednego z korespondentów francuskich w Cajamarce z poleceniem, aby go tu przysłał... tak... tak... chciałeś pan zapowiedzieć swoje przybycie!... Zapewne wyczytałeś pan tę legendę o bransoletce słonecznej w jednej z ksiąg swego wuja...

— Ależ ojcze! ojcze!... Pan Ozoux jest człowiekiem poważnym, inżynierem, który przybył tu do Peru, celem wysuszenia min złotych w Cuzko, zapomocą nowego aparatu...

— Tak, tak, mówiłaś mi już o tym aparacie... ale to nie przeszkodziło mu do posłania bransoletki.

— Z jakiego tytułu, mój ojcze?...

— Z tytułu narzeczonego, moja córko!

Tym razem Marja Teresa zarumieniła się po uszy, Roman zaś chrząkał i uśmiechał się, mocno zaambarasowany. Markiz przypatrywał mu się uparcie.

— Aha! Może powiecie, że to nieprawda!... Czy sądzisz, że nie odgadłem? ...Czy uważasz mnie za głupca? Wiedziałem dobrze, że zostawiłaś tam, w Paryżu, jakąś część swego serduszka,

i tylko dla większej pewności sprowadzałem ci pretendenta. O, panie Ozoux, wypróbowałem ją i przekonałem się, że kocha pana... masz pan szczęście!

— Panie markizie... — bełkotał Roman, któremu łzy szkłyły się w oczach — panie markizie... zapewniam pana... że nigdy... że nie mogłem mieć nadziei...

— Przestań pan!... i włóż sam bransoletę zaręczynową na ramię swej narzeczonej!...

— O! z największą przyjemnością! — zawołała Marja Teresa i obejrzawszy się dookoła, czy byli sami, zarzuciła ojcu ręce na szyję, ucałowała go czule, a potem, zwróciwszy się do Romana, podała mu torebkę i szepnęła:

— Powiedz, żeś ty ją przysłał, co ci to szkodzi.

Roman drżącymi palcami włożył bransoletkę na ramię Marji Teresy. W uszach dzwoniło mu tak silnie, że nie słyszał słów tryumfu, wygłaszanych przez markiza, który nie posiadał się z radości, że odkrył sekret zakochanej pary i tajemnicę złotej bransolety.

Roman milcząco potakiwał wszystkiemu.

Markiz zaś wkrótce pobiegł do Towarzystwa geograficznego, aby podzielić się wiadomością z Franciszkiem Ksawerym.

Trzy widma na balkonie.

Roman i Marja Teresa spoglądali sobie czule w oczy przez chwilę, trzymając się za ręce.

— Co powie twój ojciec — zapytał Roman — skoro się dowie, kto jest właściwym dawcą bransoletki?

— Nie obawiaj się, przebaczy nam z pewnością. Prosiłam cię, abys skłamał tylko, aby go uspokoić, bo, między nami mówiąc, te historie ciotki Agnieszki i Ireny zatrwożyły go nieco. Mój ojciec, to prawdziwe dziecko. Będziemy go kochali, nieprawdaż?

Z gmachu Towarzystwa geograficznego wyszli teraz członkowie i wsiadali do stojących przed domem powozów.

Franciszek Ksawery miał zwiedzić najnowsze wykopaliska w bliskości miasta, a następnie udać się koleją do wykopalisk w Ancouf. Markiz usiadł naprzeciw członka Akademji i obaj promienieli z radości.

Z Marją i Romanem mieli się spotkać wieczorem tegoż dnia (we willi, którą markiz posiadał nad morzem między Limą a Ancouf. Franciszek Ksawery miał tu przenocować, aby nazajutrz wczesnym rankiem oddać się swej pracy naukowej, gdyż ta posiadłość, zapełniona jak muzeum skarbami historycznymi wydartymi z łona ziemi, położona była jakby w pośrodku wykopalisk.

Narzeczeni, którzy nie byli tak żądni skarbów przeszłości, jak członkowie Towarzystwa geograficznego, zostali jeszcze dość długo w Limie, gdyż Marja Teresa pragnęła, aby Roman poznał i polubił to miasto. Zmierzył już zapadał, gdy wyruszyli samochodem w drogę.

Dokoła powozu krążyły czarne nietoperze, wiecznie wygłodzone i wstrętne, a jednak tolerowane przez władze peruwiańskie, ponieważ pełnią tu funkcję czyszczenia ulic.

Wkrótce znikły im z oczu haciendy i pastwiska zielone i mieli przed sobą tylko rozległą równinę piaszczystą, najeżoną wygrzebanemi przez zbieraczy kościami ludzkiemi.

— Nie wesoły to widok! — zauważył Roman, a Marja Teresa zwróciła jego uwagę na kilku małych pastuchów, którzy zostawiwszy swe konie w pobliżu haciendy, pobiegli na piaski, aby grać w piłkę, za piłkę zaś służyły im piękne, białe czaszki.

Gdy przybyli na miejsce, spotkali całe towarzystwo przechadzające się po starym cmentarzu indyjskim, pełnym jam i zagłębień, z których wydobyto mumie. Roman i Marja nie przyłączyli się do nich, lecz przechadzali się zdaleka grup uczonych mężów.

Marja Teresa usiadła na wzgórzu położonem cokolwiek na uboczu, a u stóp jej przykląkł Roman, przysięgając uroczyście w obliczu tych umarłych, że będzie ją kochał przez całe swe życie. I złączyli usta swe w gorącym pocałunku wśród tego ohydneho cmentarza.

Opodal prezes Towarzystwa wygłaszał przemowę, podnosił znaczenie dokonanych prac archeologicznych, wyjaśniał, jaką była zawartość każdej opróżnionej przez nich jamy i zapewniał, że mumie, wygrzebane na tym cmentarzu indjańskim, nie ustępowały wcale pod względem trwałości mumiom egipskim. Skóra trzymała się jeszcze kości, włosy i zęby, były w nadzwyczajnie dobrym stanie, a toż samo tkaniny, w które owinięte były mumie, nie rozpadały się wcale.

W tej chwili powstał jakiś szmer; robotnicy pracujący przy wykopaliskach przynieśli wiadomość, że zrobili sensacyjne odkrycie: znaleźli trzech Inkasów z nadzwyczajnymi głowami!

Całe towarzystwo skierowało się w tę stronę, Roman i Marja Teresa poszli wraz z innymi i byli świadkami prawdziwie fantastycznej ekshumacji mumii.

Naprzód wygrzebano z tych grobów małe wreczki, napełnione ziarnami kukurudzy i liśćmi roślin jadalnej coca, oraz konchy, które musiały zawierać ulubiony napój chicha, — słowem całą żywność przygotowaną zmarłym na wielką ich podróż. Znalezione następnie wazy ze szczerego złota, srebrne amtory, czarki, statuetki, klejnoty. Wszystkie te skarby ustawiono wzdłuż brzegów fosy. Teraz dopiero zabrano się z ogromną ostrożnością do wygrzebania z piasku trzech naczelników. Wydobyto ich nareszcie i jeden z członków Towarzystwa odkrył im twarze... Rozległ się okrzyk zgrozy.

Ażeby zrozumieć przyczynę tego przerażenia, należy wiedzieć, że u Inkasów istniał zwyczaj przekształcania czaszki u niemowląt. Przez ściśnienie miękkich, niespojonych jeszcze ściśle kości czaszki, zapomocą małych deszczulek związanych

sznurkami, nadają (czasze dowolną formę, która pozostaje na całe życie*). Inkasi, którzy, jak twierdzili uczeni, posiadali pewne wiadomości frenologiczne, sądzili, że tym sposobem rozwiną u dziecka zdolności wojownicze lub intelektualne. Stwierdzono też, że te przekształcenia czaszki dozwolone były tylko dla dzieci przeznaczonych do najwyższych funkcji kierowniczych. Zwykli śmiertelnicy musieli się zadowolić swą mózgownicą naturalną.

I oto jak wyglądały głowy trzech wygrzebanych naczelników:

Jedna z nich miała kształt stożkowaty i podobna była do olbrzymiej głowy cukru. Istny potwór apokaliptyczny z czołem spiczastem, otoczonym długimi, czarnymi włosami, które rozwiane powiewem (wiatru, nadawały mu pozór życia; druga głowa, o t. zw. „czasze kaszkietowej“, była spłaszczona jak kaszkiet w tył narzucony; trzecia nareszcie, zupełnie kwadratowa, wyglądała jak mały kuferek.

Marja Teresa cofnęła się przed tą potrójną ohydą i pociągnęła za sobą Romana, nie chcąc patrzeć dłużej na wszystkie te pogwałcenia. Skierowali się ku Aneonje, gdzie Ocean Spokojny, usprawiedliwiając swą nazwę, tworzy plażę o fałdach nader spokojnych.

Gdy narzeczeni wśród mroków nocy zbliżyli się do willi markiza de la Torre, byli jeszcze pod wrażeniem strasznych postaci mumji, widzianych przed chwilą, a cienie i lekkie tunany piasku, wznoszące się dokoła nich, przedstawiały się ich wzburzonej wyobraźni jako widma cmentarne, szukające pomsty za ich brak pietyzmu.

Chociaż Marja Teresa i Roman nie należeli wcale do ludzi tchórzliwych i egzaltowanych, odczuli jednak swobodnie, gdy powitał ich u wejścia służący markiza, olbrzymiego wzrostu majordomo, który uwiadomił ich, że markiz i Franciszek Ksawery już wrócili. Młoda służąca quichuańska,

*) Uczeni archeologowie, jak Morton i Gorsse rozróżniają dwanaście rozmaitych deformacji czaszek w Ameryce.

nazwiskiem Concha, rzuciła się do nóg swej pani ze zwykłymi objawami miłości i uległości, zapewniając ją, że była martwa podczas jej nieobecności, żyje zaś tylko, gdy ją widzi przed sobą.

— Widzisz, Romanie, takie tu mamy sługi za ośm „soles“ miesięcznie — rzekła Marja Teresa, już zupełnie uspokojona.

— Pani — rzekła Concha, rozwierając w uśmiechu ogromne swe wargi — przygotowałam ci „locro“, które tak lubisz.

Kolacja trwała krótko, ponieważ wszyscy byli zmęczeni, a Franciszek Ksawery miał wstać wcześniej następnego poranka.

Roman i Teresa nasycili się bardzo prozaicznie potrawą „locro“, a gdy żegnali się, udając się na spoczynek, śmieli się z swej chwilowej trwogi po ucieczce z cementarza.

— Dobrej nocy życzę Dziewicy Słońca! — rzekł Roman, składając pocałunek na samej tarczy słonecznej, promieniejącej na ramieniu narzeczonej... — Nie będziesz chyba spała w tej branzolei, która pochodzi nie wiadomo skąd i od kogo...

— Jest mi droga, odkąd dotknąłeś jej ustami swymi Romanie — rzekła czule — nie pragnę innego symbolu naszego szczęścia...

Weszła do swego pokoju...

Lecz zaledwie przekroczyła próg, wydała straszliwy okrzyk i cofnęła się napowrót do sieni.

— Są tam!... Są tam!... — wołała z oznakami, najwyższego przerażenia.

— Kto?... kto?... — pytał Roman przestraszony, widząc ją w tak dziwnym stanie, drżącą i dzwoniącą zębami.

— Trzy żywe czaszki!...

— Marjo Tereso, czy to obłąkanie?

— Mówię ci, że widziałam te ohydne trzy czaszki żywe. Są tam, oparte o szybę mojego balkonu... Gdy weszłam, spojrzały na mnie strasznie oczyma... ale żywymi oczami, w których były źrenice... O Romanie, nie wchodź tam, błagam cię, zawołaj ojca!

Młodzieniec wziął z drżącej ręki Marji Teresy świecę i wszedł do pokoju, otworzył drzwi balkonu, który wychodził z jednej strony na morze, z drugiej zaś na równinę cmentarną, czyli pole wykopalisk, oblane teraz światłem księżyca..

...Nie widział nigdzie nic podejrzanego. Zwrócił się więc do młodej, drżącej jeszcze dziewczyny, opierającej się o drzwi i przekonywał ją, że przed chwilą musiała mieć halucynację.

— Pomyśl tylko, Marjo Tereso, jesteś zazwyczaj tak rozumna...

— Mówię ci Romanie, że widziałam ich całym pewnie...

— Powiedz raz przecie, kogo widziałas?

— Ot tu, na balkonie, za szybą, widziałam te trzy czaszki Inkasów, ohydne, żywe czaszki, które patrzyły na mnie!

— Ależ Marjo Tereso, uspokój się! Wiesz przecie, że widzieliśmy, jak je wyciągnięto z jamy... może jeszcze tam leżą... jakże możesz twierdzić, że chodzą po twoim balkonie?... Czy wierzysz w duchy?

— Nie!... nie!... mówię ci przecie, że ci, których widziałam, nie byli martwi, lecz żywi!

Roman chcąc ją uspokoić wybuchł śmiechem.

— Nie śmieję się!... Nie śmieję się!... Poznałam ich całkiem wyraźnie. Były wszystkie trzy czaszki: czaszka-kaszkiety, czaszka-głowa cukru i czaszka-kuferki! I to najwyraźniej w świetle... Skąd się tu wzięły i po co? powiedz mi przecie?

Markiz przebudzony szmerem przybiegł i wyśmiał się z dziecinnej trwogi swej córki; zjawił się także Franciszek Ksawery w nocnej czapce i rozśmieszył wszystkich. Jednak majordomo musiał obejść cały dom, ażeby uspokoić Marję Teresę. Wrócił, zapewniając ją, że nie widział nic nienormalnego. Nie chciała jednak spać w swym pokoju i musiano przygotować jej pokój w drugim skrzydle willi. Tymczasem Roman zdołał ją nareszcie przekonać, że to nie mogło być nic innego, jak tylko halucynacja, wywołana strasznym widokiem

mumji cmentarnych i że czaszki zmarłych nie mogą się przechadzać pod oknami młodych panien.

Marja Teresa miała nawet uczucie, że była głupią i pociągnęła za sobą Romana na balkon salonu, aby mu się przyznać, jak bardzo się wstydzi, że on, który miał ją za tak rozsądną, widział ją w takim stanie.

Balkon wychodził na morze, które tu rozlewało swe fale aż do stóp willi. Ogromny spokój Oceanu podziałał na nią zupełnie uspokajająco. Zdjęła powoli złotą bransoletę.

— Może to ona mnie niepokoi. Rzeczywiście zanim włożyłam na ramię tę zagadkową obrączkę, nie byłam nigdy tak głupia, ażebym sobie wyobrażała, że widzę widma za oknami...

I rzuciła bransoletę do morza.

Roman nie powstrzymywał jej wcale.

— Słowo daję — rzekł — to może najlepsze rozwiązanie!... Ofiaruję ci obrączkę, jak każdy szanujący się filister; będziemy wiedzieli przynajmniej, od jakiego jubilera pochodzi!

Wszyscy udali się na spoczynek. Noc przeszła bez żadnego wypadku. Lecz około godziny siódmej z rana straszny krzyk, wychodzący z pokoju, w którym spała Marja Teresa obudził Romana i służbę.

Z pośpiechem weszli do pokoju. Na łóżku siedziała Marja Teresa drżąca i z wyrazem przerażenia w oczach. Wskazywała na swą rękę. Obudziła się przed chwilą i ujrzała na ręce bransoletę Słońca!...

KSIEGA II.

Przeszłość zmartwychwstała.

Zdarzenie z bransoletą Słońca było tak nadzwyczajne, że tym razem Roman był prawie tak samo przerażony, jak Marja Teresa. Nie wiedział, jak ją ma uspokoić. Widział na własne oczy, jak w nocy rzuciła fatalną bransoletkę z balkonu

do morza i oto, budząc się, ujrzała ją znów na swej ręce! Czy nie mogło to wyprowadzić z równowagi najsceptyczniejszego umysłu?

Przypomniały mu się wszystkie bajki, któremi dwie ciotki uraczyły ich niedawno i mimo największych wysiłków woli okrutna legenda o Małżonce Słońca stawała przed nim w całej ohydzie.

Tymczasem hałas i ruch w domu obudziły markizę i Franciszka Ksawerego, którzy wnet zjawili się w pokoju Marji Teresy. Zaniepokojony markiz żądał wyjaśnienia i teraz nie myślano już o ukrywaniu przed nim prawdy. Roman opowiedział, że na prośbę Marji Teresy przyznał się do przysłania bransolety, lecz że właściwie nie ma pojęcia skąd pochodzi i przedstawił, jak Marja Teresa przed udaniem się na spoczynek pozbyła się tego piekielnego prezentu, który oto w zagadkowy sposób zjawiał się napowrót.

Marja Teresa miała gorączkę; markiz otoczył ją czule ramionami i, był bardziej wzruszony jej stanem, niż tą nieprawdopodobną historją.

Widział córkę swojną zawsze panującą nad swemi uczuciami w najtrudniejszych okolicznościach życia, tak więc obecna jej trwoga wprawiała go w najwyższy niepokój.

Franciszek Ksawery — w głębi duszy zachwycony tym obrotem sprawy, która miała mu dostarczyć jednego z najbardziej zajmujących rozdziałów jego opisu podróży transatlantyckiej — powtarzał bezustannie: „To rzecz niemożliwa! To rzecz niemożliwa!“

A jednak rzecz była możliwa i wyjaśniła się nawet w sposób bardzo prosty i banalny.

Mała Concha wróciła z targu w Anconie i wszedłszy do pokoju swej pani, aby jej pomódz przy ubieraniu się, zastała tam wszystkich domowników zgromadzonych dokoła słynnej bransolety i zaniepokojonych.

Wówczas opowiedziała z dziecięcą naiwnością, że gdy wczesnym rankiem wychodziła z domu ujrzała coś błyszczącego w piasku. Schyliwszy się, podniosła ciężką bransoletę złotą, już niemal za-

grzebaną. Widziała ją wczoraj na ramieniu swej pani i nie wątpiła, że pani ją zgubiła. Mała Concha, która kochała swą panią, pobiegła do pokoju Mariji Teresy, a widząc, że spała jeszcze, i nie chcąc jej obudzić, włożyła jej ostrożnie bransoletę na rękę.

I oto cała historia, która wstrząsała umysłami ludzi najbardziej zrównoważonych.

Ogólny wybuch śmiechu towarzyszył opowiadaniu małej Conchy, która uciekła zawstydzona i zarumieniona.

— Wszyscy jeszcze potracimy zmysły! — zawołał markiz.

— Ta bransoletka przyprawi nas doprawdy o chorobę! — rzekł Roman. — Trzeba się jej pozbyć koniecznie.

— Broń Boże! — zawołała Marja Teresa. — Jeśliby raz jeszcze wróciła, nie ręczę za mój zdrowy rozum! — Śmiała się teraz razem z innymi, a nawet bardziej nerwowo. — Wiecie co zrobimy? — dodała — wyjedziemy stąd, zrobimy wycieczkę w góry, pokażemy Romanowi i panu Ozoux Sierre. Dziś wrócimy do Limy i nie powiemy nic ciotce Agnieszce ani Irenie. Pojadę z Romanem do Callao i wydam potrzebne dyspozycje, ażeby interes w mojej nieobecności nie ucierpiał. Wieczorem przyłączycie się do nas i udamy się na okręt.

— Okrętem w góry? — zapytał Franciszek Ksawery.

— Okrętem do Pacasmayo, drogi wuju!

— Ależ na tem wybrzeżu nie ma nic zajmującego.

— Tak pan mówi, uczone panie Ozoux! — zawołała Marja Teresa. — A czy pan wie, dokąd się dostaniemy przez Pacasmayo? Nie wie pan? Otóż powiem panu: dostaniemy się do Cajamarca!

Franciszek Ksawery aż podskoczył z radości.

— Cajamarca!... Starożytna Cajamarca Inkasów!... Marzenie mego życia!

— Otóż to marzenie urzeczywistni się, a równocześnie — rzekła zwracając się do markiza —

łdowiemy się, kto mi przysłał ten zagadkowy prezent, bo wszakże bransoletka przyszła z Cajamarca.

— Masz słuszność, dziecko — odrzekł markiz — musimy raz przede wiedzieć, co sądzić należy o tej głupiej sprawie.

— A jeżeli to głupi żart jednego z moich odpalonych wielbicieli — rzekła Marja Teresa, bawiąc się bransoletką — to zapłaci mi za to drogo!

Rzekłszy to wyprosiła wszystkich z pokoju i zawołała służącą, aby jej pomogła ubrać się. Gdy przybiegła mała Concha, dostała przede wszystkim od swej pani potężny policzek, ażeby wiedziała, że należy zbudzić swą panią, jeżeliby jeszcze raz znalazła na piasku bransoletę słoneczną. Dziecko, zdziwione tą niezastuzoną karą, zalewało się łzami, a Marja Teresa usiłowała pocieszyć ją cukierkami. W ogóle sama się nie poznawała. Chciała być spokojną, a każdy jej ruch zdradzał zdenerwowanie. Przede wszystkim zaś nie mogła sobie przebaczyć, że się bała.

* * *

Przybycie do Pacasmayo wprowadziło paną Ozoux w radosny szal. Ileż to nowych wrażeń czekało go... Jakie zajmujące rozdziały z tego będą! Markiz, Roman i Marja Teresa drwili sobie z jego zachwyków i bawili się jak dzieci, płatając mu niewinne figle. Słowem, zapomniano zupełnie o bransoletce, którą zresztą zostawiono w domu pod dozorem ciotki Agnieszki i Ireny. Obie zaś stare damy natychmiast po wyjeździe Marji Teresy zawięzły nieszczęsną bransoletkę do San Domingo i złożyły ją na ołtarzu Matki Boskiej, opiekunki pobożnych, chroniącej od nieszczęścia, zażegnującej złe czary.

Następnego dnia, gdy podróżni opuścili już Pacasmayo i udali się w dalszą drogę, Roman zauważył, że do towarzystwa ich przyłączył się jakiś nowy podróżny. Miał on miedzianą cerę, rysy wybitne, właściwe mieszkańcom Trujillo; gdyby nie miał na sobie garnituru najnowszego europejskiego kroju, możnaby go uważać za jeden z typów

tej rasy, której najwspanialszym reprezentantem był Huascar. Podróżny jednak odznaczał się wielką swobodą ruchów i zachowywał się bardzo grzecznie, zwłaszcza wobec Marji Teresy, świadcząc jej liczne małe usługi, dozwolone w podróży, mimo, iż nie był jej przedstawiony.

Jegomość ten wsiadł równocześnie z nimi na okręt do Callao, wylądował jak oni w Paçasmayo, przenocował w tym samym hotelu i nazajutrz wybrał się tym samym pociągiem do Cajamarca. Podróżni, zachwyceni czarującym krajobrazem górskim, jaki rozciągał przed nimi łańcuch pierwszej Cordiliery Andów, nie zauważyli zrazu, że nieznamy wślizgnął się do przedziału, który zajął markiz z swoim towarzystwem. Nagle jednak zwrócił on na siebie uwagę wszystkich i to w sposób dość nieprzyjemny.

Dotychczas podziwiano nadzwyczajne urozmaicenie formacji szczytów i zbocz górskich, teraz jednak przedstawił się im widok potężny ogromem i dzikością. I w tej chwili nieznamy odezwał się głosem poważnym:

— Oto, senores, wspaniała panorama, skąd Pizarro wysłał pierwszych swych posłańców do ostatniego króla Inkasów!

Wszyscy zwrócili się ku niemu, lecz on zdawał się nie widzieć nikogo. Stając na platformie z rekami w krzyż złożonemi, utkwził oczy w skały, u stóp których największy z lawanturników świata zatrzymał się przed zdobyciem cesarstwa.

— Jeden z moich przodków był przy nim! — zawołał markiz.

Nieznamy nie spojrział na mówiącego, lecz wypowiedział słowa: „Wiemy o tem. Wiemy o tem dobrze!“ z tak dziwnym naciskiem, że markiz Krzystof i inni zdziwili się, jakiego to oryginała mają przed sobą. Majestatyczna jego nieruchomość nawet zaniepokoiła ich poniekąd. On zaś ciągnął dalej po chwili:

— Tak, nie zapomnieliśmy o tem, że Krzysztof de la Torre przybył tu z Pizarrem. Znamy naszą historję, panie markizie! Kiedy Pizarro po tysią-

cach trudów i niebezpieczeństw, pozbawiony wszelkich środków, widział, iż towarzysze jego chcą go opuścić, wyjął miecz, z pochwy i zakreślił nim w piasku linię z wschodu na zachód. „Przyjaciele i towarzysze!” — rzekł, wskazując na południe: — „Po tej stronie jest trud, głód, nędza, deszcze ulewne, opuszczenie i śmierć, po drugiej dobrobyt i miernota. Ale tu, na południe, znajdziemy też Peru i niezmierzone jego skarby, znajdziemy sławę i nieśmiertelność. Wybierajcie! Co do mnie, wybieram południe!” To mówiąc, przekroczył linię. Za nim poszło jedenastu dzielnych rycerzy, a między nimi znajdował się też Juan Krzysztof de la Torre. Wiemy o tem, senor, wiemy o tem!

— Ale pan, kim jesteś? — zapytał brutalnie markiz, na którego młyn i ton nieznanego podziałały drażniąco.

Ten jednak udawał, że nie słyszy, i mówił dalej tonem takim, jak gdyby chciał złożyć hołd dzielności wspomnianego przodka:

— Czyż nieprawda, panowie, czyż nieprawda senorito, że ta garstka dzielnych rycerzy, podejmujących z całym poświęceniem sprawę najwidoczniej przerastającą ich siły, ma w sobie coś dla wyobraźni naszej nadzwyczaj czarującego?... Garstka ludzi, bez żywności, bez odzieży, niemal bez broni, pozostawiona na samotnej skale, podejmuje z całą świadomością wyprawę krzyżową przeciw najpotężniejszemu mocarstwu, jakie kiedykolwiek istniało! I między tymi ludźmi znajdował się Krzysztof de la Torre... Panie markizie, pozwól pan, że złożę mu powinszowanie, a zarazem przedstawię się panu: sługa pański, Huagna Capac Runtu, urzędnik banku frankobelgijskiego. Możemy podróżować razem, panie markizie, ponieważ jesteśmy obaj szlachetnego rodu. Ja jestem pochodzenia królewskiego. Huagna Capac, król Inkasów, który objął rządy po ojcu mając lat szesnaście, pojął jako żonę Pillan Huaco, z którą nie miał dzieci. Pojął więc później jeszcze dwie prawowite małżonki Rawa Bello i Mama Runtu. Jestem

potomkiem króla Huagna Capac i królowej Mama Runtu:

— Więc z banku dano panu urlop? — zapytał z pewną arogancją markiz.

Złowrogie światło zamigotało w źrenicach Huagna Capac Runtu.

— Tak — odrzekł głosem przytłumionym — dano mi urlop z powodu uroczystego święta Interaymi!

Roman zadrżał usłyszawszy to słowo, które powtarzano tylekrotnie z okazji bransolety słonecznej. Spojrzał na Marię Teresę, która była cokolwiek zaniepokojoną zwrotem rozmowy między ojcem jej, a tym dziwnym, nieznanym. Przypomniała sobie teraz, że widziała tego człowieka w biurach banku franko-belgijskiego i że miała z nim nawet do czynienia w Callao w swem własnym przedsiębiorstwie, gdy szło o uregulowanie rachunku za guano fosfatowe, wysłane do Anvers.

Zrobił wówczas na niej wrażenie bardzo porządnego urzędnika bankowego i obraz jego zafarł się wnet w jej pamięci. Teraz dopiero, gdy ten pseudo-Peruwianin w garniturze europejskim przyznał się z taką dumą do pochodzenia indjańskiego, odkryła w nim ślady rasy Trujillo i w ogóle pewne rysy, wskazujące na pokrewieństwo z Huascarem.

Wiedziała z doświadczenia, jak ci ludzie są drażliwi i obawiała się, ażeby nierozważny markiz nie doprowadził niepotrzebnie do jakiegoś starcia. Przerwała zatem rozmowę ich, pytając uprzejmie:

— Święto Interaymi jest ponoś najważniejszym waszem świętem, szlachetni Indjanie? Czy w Cajamarca odbędzie się obchód uroczysty?

— W tym roku — odrzekł Capac Runto — święto to będzie w całych Andach obchodzone uroczyście.

— A czy profani nie mają tam przystępu? Pragnęłabym bardzo być obecną przy tej uroczystości. Krąży o niej tyle dziwnych wieści!

— Plotki, same plotki, seniorita — odparł Capac Runto już zupełnie tonem pokornego urzędnika wobec szlachetnej Peruwianki.

I, odkrywając w uśmiechu lśniącego swę zęby, które na Romanie czyniły wrażenie drapieżnych, dodał głosem znużonym i szepleniąc nieco:

— Tak, wiem o tem!... Mówią o ofiarach ludzkich... śmieszne bajki! Przy uroczystości Interaymi ofiary ludzkie... ależ proszę spojrzeć na mnie, czy w tym garniturze z magazynu Zarata wyglądam, jak gdybym się udawał na rzeź świętą. Nie!.. kilka obrzędów, które przypominają nam minioną świetność, trochę modłów do Boga Słońca i pobożne wspomnienie poświęcone naszemu ostatniemu królowi, nieszczęsnemu Adahualpie, męczennikowi naszemu, i to wszystko!... proszę wierzyć!... a z końcem przyszłego miesiąca zaprezentuję panu w Limie znów najspokojniej w świecie weksle z banku francusko-belgijskiego!

Słowa te uspokoiły zupełnie Romana. Uśmiech Marji Teresy i skrzywiona miła Franciszka Ksawerego, któremu nie w smak poszła proza tego potomka Inkasów, przepędziły wszelkie niepokoje, powstałe na nowo w umyśle podróżników.

Roman patrzył na krajobraz coraz bardziej dziki i ponury. Pociąg przejeżdżał wąwozem między dwiema ścianami skalnymi o zawrotnej wysokości. Nad nimi na tle lśniącego błękitnego nieba olbrzymie kondory rozwinęły skrzydły zataczały wielkie kręgi.

— I takimi to drogami szedł Pizarro na zdobycie państwa Inkasów! — zawołał Roman. — Lecz jak się to stać mogło, że z małą swą garstką nie uległ zagładzie?

— Nie uległ zagładzie, mój panie — odrzekł z ironią urzędnik bankowy — ponieważ przybyli tu w roli przyjaciół!

— Bądź co bądź, nie jest to rzeczą łatwą opanować cesarstwo! Iluż ich było razem, gdy ruszyli na Cajamarę?

— Było ich razem sto sześćdziesięciu ośmiu! — odrzekł potomek królowej Mama Runtu, a szli przeciw armji pięćdziesięciotysięcznej i przeciw państwu liczącemu dwadzieścia milionów mieszkańców!

...A jednak, oprócz dziewięciu, którzy stchórzili i porzucili orszak Pizarra, wszyscy inni z zapalem poszli za głosem swego przywódcy i śladem jedenastu pierwszych dzielnych rycerzy..., do których należał słynnej pamięci Krzysztof de la Torre, panie markizie!

— A czy wolno wiedzieć, w jakim celu opowiada nam pan wszystkie te piękne historie? — zapytał markiz dumnie.

— Aby dowieść panu, że zwyciężeni znają historję swego kraju jeszcze lepiej, niż zwycięzcy! — odrzekł tamten z patosem śmiesznym cokolwiek u człowieka ubranego w garnitur z magazynu Zarat et Co.!

W tej chwili pociąg przejeżdżał przez most, z którego roztaczał się widok wspaniały. Skały piętrzyły się na skałach, a śnieżne szczyty lśniły się jak brylanty w świetle słonecznem. Bezdennie przepaście, ponad któremi pociąg przejeżdżał co parę minut, wywoływały dreszcz zgrozy, a Marja Teresa, oparta o ramię Romana, rzekła, myśląc o zuchwałej odwadze zdobywców: „A jednak te straszne wały nie zdołały powstrzymać żołnierzy Pizarra“!

Na nieszczęście słowa te usłyszał potomek Inkasów i odezwał się głosem już wprost wrogim:

— W istocie z łatwością mogliśmy ich pokonać!

Markiz w tej chwili poskoczył ku niemu i wspinając się na palcach, uderzył go pogardliwie po ramieniu i rzekł z zabijającą ironją:

— A więc dlaczego nie uczyniłeś pan tego, panie Runtu?

— Ponieważ my nie jesteśmy zdrajcami!

Roman zaledwie miał czas pochwycić i odciągnąć zirytowanego markiza, który już chciał się rzucić na impertynenckiego Indjanina.

Kilka słów powiedzianych przez Marję Teresę uspokoiło go jednak natychmiast.

Znając dumę swego ojca, przypomniała mu tylko półgłosem, że dumny markiz de la Torre

poniża się, wdając się w dysputę z małym subjektem bankowym.

— Masz słuszność, — zdecydował markiz cofając się, przyczem rzucił na przeciwnika swego spojrzenie tak pełne wyższości, że Huagna Capac Runto aż zbladł ze złości. I kto wie do czego byłoby jeszcze doszło, gdyby pociąg w tej chwili nie był się zatrzymał. Kolej bowiem nie dochodziła aż do Cajamarki, a resztę drogi, wynoszącej około czterdziestu kilometrów, mieli podróżni przebyć na mułach.

Poprzednio jednak musieli przepędzić noc w malowniczym obozowisku wśród gór.

Do zbocz górskich przyczepionych było kilka drewnianych baraków, gdzie nocowali robotnicy. Pomiedzy barakami zaś rozpięto dość wygodne namioty, w których nocować mogli podróżni, wybierając się nazajutrz do Cajamarki.

Wieczereę podano im nad brzegiem przepaści, z której dochodziła burzliwa śmelodja huczącego potoku górskiego.

Spędzili wesołą godzinę uwolnieni od niemiłej obecności urzędnika bankowego. Marja Teresa spotkała go jednak późnym wieczorem przed swoim namiotem. Powitał ją z miną bardzo pokorną i przeproszał za zajście w pociągu. Nie spodziewał się, żeby przypomnieniem tych starych dziejów mógł rozdrażnić pana markiza, przed którym miał tak wielki szacunek. Wiedział też, że pan markiz był w dobrych stosunkach z dyrektorem banku francusko-belgijskiego i wyraził nadzieję, że ta sprawa nie będzie miała dla niego przykrych następstw.

Marja Teresa uspokoiła go, przyczem ledwie mogła powstrzymać się od śmiechu. Zuchwały potomek Inkasów obawiał się o utratę posady.

Skoro się oddalił, opowiedziała tę scenę ojcu i Romanowi, którzy ubawili się doskonale.

Marja Teresa miała sen niespokojny od czasu, gdy na balkonie swym ujrzała trzy potworne czaszki: głowę cukru, kaszkiet i mały kuferek.

I tej nocy w namiocie swym przewracała się na łóżku polowym, nie mogąc znaleźć pożądanego spoczynku.

Nagle usiadła na łóżku nadstawiając ucha. Zdało jej się, że słyszała w pobliżu namiotu jakiś głos dobrze sobie znany.

Zbliżyła się, unikając szmeru, do płóciennej zasłony, zamykającej wejście do namiotu, a usunąwszy ją na szerokość palca, ujrzała dwa cienie oddalające się w świetle księżyca.

Poznała w jednym natychmiast urzędnika banku francusko-belgijskiego, lecz co do drugiego wahała się, gdyż nie widziała twarzy. Dopiero gdy obydwa cienie zatrzymały się i zwróciły się ku namiotowi, wskazując nań ręką, Marja Teresa szepnęła: „Huascar“.

Skąd się tu wziął Huascar? I co znaczyła ta rozmowa nocną tuż przed jej namiotem? Dlaczego wskazywali ręką namiot?... Tymczasem obydwa cienie oddalały się znowu. Lecz teraz usłyszała w ciszy nocnej rżenie konia i wnet ujrzała też konia przywiązanego do drzewa i tupającego z niecierpliwości.

Huascar dosiadł konia, podczas gdy urzędnik bankowy odwiązywał cugle, ciągnąc dalej swą tajemniczą rozmowę i wskazując czasem namiot Marji Teresy.

Nareszcie jeździec znikł za namiotami, a równocześnie znikł i drugi cień. Zapanowała znowu cisza zupełna nad małym obozowiskiem.

Marja Teresa spędziła resztę nocy bezsennie. Niespodziewane zjawienie się Huascara nie mogło przyczynić się do zmniejszenia niepokoju, który odczuwała teraz stale w głębi duszy, chociaż nie przyznawała się do niego, wstydząc się swojej tchórzliwości.

Czy miała przyczynę obawiać się Huascara? Zdało jej się, że nie. Zdawała sobie dokładnie sprawę z tego, że Huascar kochał ją miłością psa wiernego, i że mogła liczyć na jego poświęcenie na wypadek, gdyby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo.

A jednak! A jednak!... A jednak co?

Gdzież było to niebezpieczeństwo? Miała ochotę wybić się porządnie. Zarzucała sobie, że jest jeszcze głupsza od swych starych ciotek, które żyły wśród swych starych wspomnień, starych mebli i starych głupich bajek.

Postanowiła nie mówić o tem, co widziała tej nocy, ani ojcu, ani Romanowi. Nie chciała uchodzić za małą, głupią dziewczynkę, która boi się cieni nocnych, rzucanych przez światło księżyca.

Powzięła jednak postanowienie przy najbliższej sposobności rozmówić się kategorięcznie z panem Capac Runtu.

Sposobność ta nadarzyła się już nazajutrz rano.

Gdy wszyscy podróżni dosiedli mułów i wybrali się w drogę niebezpiecznymi ścieżkami górskimi, muł urzędnika bankowego znalazł się jakby przypadkiem w sąsiedztwie jej muła.

— Dzień dobry, senor Huagna Capac Runtu! — rzekła z uprzejmym uśmiechem.

— Eh, seniorito, dajmy spokój tym wszystkim szumnym nazwom, które zmarły wraz z moimi przodkami. Mam prawo tylko do tego nazwiska, pod którem znają mnie w banku. Nazywam się Oviedo.

— Ach, przypominam sobie teraz... tak, tak, widziałam pana z końcem przeszłego miesiąca... Pan Oviedo... Dobrze więc, panje Oviedo, czy mogłabym wiedzieć, co pan robił tej nocy w pobliżu mojego namiotu z moim byłym urzędnikiem Huascarem?

Oviedo Huagna Capac Runtu ani nie mrugnął. Tylko muł jego lekko się poruszył. Powstrzymał go silną ręką.

— A! pani widziała Huascara? Przybył w nocy i kazał mnie obudzić. To mój stary przyjaciel. Wiedział o tem, że wybrałem się do Cajamarki, a że sam również tam się udaje, chciał się przywitać ze mną. Zatrzymaliśmy się rzeczywiście na chwilę przed namiotem pani, Gdy się dowiedział odemnie, że pani jest tu, polecił mi, abym czuwał nad panią... i odjechał natychmiast.

— Czy potrzeba, aby ktoś czuwał nademną? — zapytała Marja Teresa. — Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

— Zadne zgoła. Chyba takie niebezpieczeństwo, na jakie wszyscy są tu narażeni. Te przejścia górskie są w istocie niebezpieczne. Muł może zrobić fałszywy krok... siodło może się osunąć... i oto śmierć. To tylko miał na myśli Huascar i dlatego dziś rano wybrałem sam muła dla pani i umocowałem sam siodło...

— Dziękuję panu — rzekła oschle, niemile dotknięta tą nieproszoną pieczołowitością.

Franciszek Ksawery przyłączył się teraz do niej. Mówił z przechwałką o tem, z jaką łatwością przebywa tę drogę pełną trudności.

— A jednak — dodał po chwili — pytam się, jakim cudem mógł Pizarro z całą swą małą armją przejść bezpiecznie tę skalistą drogę?

— Tak, to prawie nie do uwierzenia — rzekł urzędnik bankowy. — Wie pan, byłem zainteresowany tą sprawą, więc studjowałem ją gruntownie. Miejscami droga była tak niebezpieczna, że jeden krok fałszywy mógł stracić rycerza wraz z koniem w przepaść na tysiące stóp głęboką. Przejścia i wąwozy w Sierra są ledwie przystępne dla półnagięgo Indjanina, lecz zupełnie niemożliwe są dla ludzi zbrojnych i dla koni.

— Lecz jak przez ten czas przejścia zachowywał się nieprzyjaciel? — zapytał Roman.

— Nieprzyjaciel — sennor — zachowywał się spokojnie. Były wszakże pertraktacje poprzednie, z których wynikało, że Pizarro przybywał jako przyjaciel...

— Przepraszam pana, panie urzędniku banku franko-angielskiego — przerwał markiz sarkastycznie: — Chciałbym postawić panu jedno pytanie: Czy sądzisz pan, że gdyby wasz król Atahualpa mógł przez jedną bodaj sekundę obawiać się, że jego pięćdziesiąt-tysięczna armja nie potrafi pokonać 150 Hiszpanów, czy czekałby w swym namiocie tak spokojnie na przybycie Pizarra i jego towarzyszy? Nie wyszedł na ich spotkanie, ponie-

waż poprostu nie obawiał się ich. I nie miał słuszności, panie Runtu!

Indjanin skłonił głowę z pokorą.

— Tak, panie markizie, oczywiście nie miał słuszności!

I wskazując palcem na jeden z najwyższych szczytów skalnych, odbijających się przed ich oczyma na czystym nieba lazurze, dodał:

— Powinien był zjawić się jak ten rycerz tam, nad naszymi głowami, a nie byłoby zostało i śladu z całej tej szalonej wyprawy; a Bóg nasz, słoneczny panowałby po dziś dzień nad cesarstwem Inkasów!

Wypowiadając z uroczystym patosem te słowa, urzędnik bankowy jakby wyrósł na swem siodle. Romantycznym gościem objął skalistego olbrzyma w łańcuchu Andów, który służył jako cokół dla Indjanina na koniu.

Stał on na szczycie nieruchomo, jak posąg z brązu wykuty i patrzył na przeciągającą pod stopami jego kawalkadę.

— Huascar! — zawołała Marja Teresa.

I wszyscy inni poznali w jeźdźcu skalnym, Huascara, i widzieli go przez cały czas swego przejścia przez Andy, to przed sobą, to z boku, lecz zawsze wysoko ponad sobą — czuwająca opatrność, czy czuwająca groźba?

Podróźni przepędzili jeszcze jedną noc w namiotach, a nazajutrz przybyli do doliny Cajamarka, strojnej całym wdziękiem przyrody, podobnej do kosztownego klejnotu na ciemnym tle Sierry.

Franciszek Ksawery podniecony myślą, że oto znajdował się na gruncie, na którym odegrało się najnieprawdopodobniejsze historyczne zajście, witał z wysokości swego muła entuzjastycznie Cajamarkę swych marzeń! Oviedo-Runtu zaś wskazywał mu miejsce, gdzie czekał Atahualpa wraz z 50.000 wojowników.

Wtem muł członka Akademii potknął się o kamień i zrzucił jeźdźca swego na trawę. Wszyscy pobiegli ku niemu i otoczyli go, ale wujaszek Ksawery podniósł się o własnych siłach i był bardzo rozweselony tą przygodą.

— Oto panowie i panie — zawołał śmiejąc się — zademonstrowałem wam przed chwilą, jak Pizarro wygrał swą pierwszą bitwę.

I wyjaśnił Marji Teresie i Romanowi, że w pierwszej potyczce między awanturnikiem hiszpańskim, a Inkasami, jeszcze przed przejściem przez Andy, mała garstka Hiszpanów omal nie została pokonana przez znacznie liczniejszych Inkasów.

Lecz nagle jeden z rycerzy potknął się i spadł z konia. Inkasi, którzy nie znali koni ani jazdy konnej i sądzili, że jeździec z koniem stanowi jedną istotę, zdębieli z przerażenia ujrawszy, że to nadzwyczajne zwierzę podzieliło się na dwie części. Wyjąc jak szaleńcy, uciekli co żywo z placu boju.

Podarunek Atahualpy.

Wśród rozmowy i śmiechów dotarli około wieczora do miasta i co najpierw zwróciło uwagę podróżnych, to ogromna ilość Indjan, spotkanych na ulicach miasta. Niemniej zadziwiło ich milczenie tych ludzi.

Cajamarca liczy zazwyczaj dwanaście do trzy-nastu tysięcy mieszkańców, tego wieczora jednak było ich co najmniej dwa razy tyle.

Cajmarkę nazwaćby można nekropolis Inkasów, tyle co krok spotyka się na ulicach i placach publicznych pamiątek dawnej świetności. Mieszkańcy miasta sami nie pamiętali takiego natłoku. Dotychczas święto „Interaymi“ nie gromadziło takich tłumów, a nawet podczas wielkiej uroczystości dziesięciolecia Indjanie raczej znikali z miasta, niż gromadzili się w niem.

Cóż więc oznaczał ten niezwykły ruch? Władze były dość zaniepokojone, lecz nie miały pretekstu do gwałtownego wystąpienia. Nieliczne wojsko, którem rozporządzano w Cajamarce, było skonsygnowane.

Markiz cokolwiek zatrwożony, przypomniał sobie, że wielki bunt krajowców w r. 1818 poprzedzony był podobnymi manifestacjami. Czy i tym

razem dwutygodniowe uroczystości Interaymī miały być hasłem do ruchawki ludowej, której rząd peruwiański dawno już przestał się obawiać?

W chwili, gdy markiz wypowiedział to pytanie, mała karawana podróżnych mijała duży gmach z napisem: „Urząd pocztowy“. Zatrzymał muła i zsiadł; Marja Teresa i Roman uśmiechnęli się do siebie. Nareszcie dowiedzą się, jaki to żartowniś przysłał bransoletę Złotego Słońca.

Zatrzymali swe muły i czekali na markiza z obojętnością może cokolwiek udaną.

Po dziesięciu minutach markiz wyszedł z biura pocztowego.

— Mam nazwisko i adres — rzekł z miną zaferowaną.

— A więc kto to taki? — zapytała Marja Teresa.

— Nazywa się Atahualpa! — odrzekł markiz, dosiadając muła.

— Cóż to znowu za żart? — zapytała Marja Teresa głosem zmienionym.

— Tak się zdaje — odrzekł markiz. — Mówiłem z urzędnikiem, który przyjął ten pakunek. Z łatwością przypomniał sobie nadawcę, bo imię Atahualpa i jego uderzyło. Puzderko przyniósł jakiś Indjanin quichuański, a na zapytanie urzędnika odpowiedział, że nazywa się naprawdę Atahualpa, co wreszcie nie było tak nieprawdopodobnem.

— Ponieważ mamy jego adres, więc udajmy się do niego — rzekł Roman.

— Właśnie miałem wam to zaproponować — rzekł markiz, poganiając muła i wskazując innym drogę.

Przebyli strumyk wpadający do Marannonu, następnie minęli ruiny San Francisco i pierwszy kościół zbudowany w Peru, poczem markiz wyprowadził swych towarzyszy na plac, na którym roilo się od Indjan.

Z jednej strony placu wznosiły się starożytne mury, które zachowały jeszcze kształty pałacu. Była to ostatnia siedziba ostatniego króla Inkasów.

Tu żył w swej świetności i sławie i tu też gotował się na śmierć męczeńską.

Tak, tu mieszkał niegdyś Atahualpa, i tu urzędnik pocztowy posłał markiza Krzysztofa de la Torre!

Porwani ruchem tłumu podróżni nasi popychani ku pałacowi, przekroczyli szeroką jego bramę, zaminię z dali sobie sprawę, jak się to stało.

Znajdowali się teraz w obszernej hali przepelnionej Indjanami. Jedni z nich stali z dumniemi minami naczelników narodu, drudzy korzyli się leżąc na ziemi dokoła dużego kamienia, świętego kamienia męczeństwa.

Za kamieniem na małej estradzie stał Indjanin, odziany w puncho o jaskrawo czerwonej barwie i wygłaszał mowę, której wszyscy słuchali w nastrojowem milczeniu.

Przemawiał w mowie quichuańskiej.

W chwili jednak, gdy Krzysztof, Marja Teresa, Roman i Franciszek Ksawery weszli do hali, jakiś głos przerwał monotonną recytację człowieka w czerwonym puncho.

Głos ten zawołał:

— Mów po hiszpańsku, aby wszyscy zrozumieli!

Markiz i Marja Teresa odwrócili się. Za nimi stał urzędnik banku franko-belgijskiego, kłaniając się uprzejmie, objaśnił ich, że w ich interesie właśnie interweniował.

I rzecz dziwna! To przerwanie świętego kultu, które wyglądało na profanację, nie wywołało wcale niezadowolenia. A Indjanin w czerwonym puncho, jak na rozkaz, zaczął mówić po hiszpańsku.

Oto co mówił:

„W owym to czasie król Inkasów był potężnym władcą i posiadał liczną i odważną armję. A miasto to, o budowlach kamiennych było miejscem obrotnem, posiadało cytadelę i klasztor, zamieszkały przez „Dziewice Słońca“.

„Inkas gościnnie, nie obawiający się niczego; nie znający zdrady, wpuścił do miasta swego ludzi białych i przyjął ich jako przyjaciół. Lecz naczeln-

nik białych wkroczył do miasta w porządku wojennym, nie znał bowiem wspaniałomyślnego serca naszego władcy. Inkas rzekł wówczas: „Ponieważ biali ludzie boją się naszej gościnności, opuścimy wszyscy to miasto, a spokój wejdzie w ich serca“.

„Tak więc, gdy zdobywca zbliżył się do miasta, nikt nie wyszedł na jego spotkanie i przeszedł puste ulice, nie usłyszawszy innego dźwięku prócz odgłosu ciężkich kroków swych wojowników“.

„Działo się to o późnej popołudniowej godzinie. Obcy przybysz wysłał natychmiast poselstwo do obozu Inkasów. Brat jego, który zwał się Fernando, przyszedł do obozu z dwudziestu rycerzami i zażądał rozmowy z królem. Ten przyjął go, siedząc na tronie, z czołem ozdobionem królewską koroną“.

„Obcy przybysze przemawiali miódowemi słowy. Lecz Inkas rzekł: „Powiedźcie waszemu naczelnikowi, że obchodzę post, który skończy się jutro. Wtedy odwiedzę go wraz z moimi głównymi dowódcami. Tymczasem pozwalam, aby on i jego ludzie zajęli publiczne budynki i place“.

Po tych dobrych słowach Dziewice Słońca podały im napój chicha w złotych konwach.

I wrócili obcy przybysze do Cajamarki.

Nazajutrz w południowej godzinie orszak Inkasa wybrał się ku miastu.

Poprzed tłumem, niesiona na barkach głównych naczelników narodu, poruszała się lektyka królewska. Za nią armja królewska rozlała się po rozległych błoniach tak daleko, dokąd oko nie sięgało. Nasz Atahualpa, syn Słońca, siedział w lektyce na tronie z szczerego złota.

Orszak przybył aż na sam środek placu, nie spotkawszy ani jednej białej twarzy. „Gdzież są obcy przybysze“? zapytał Atahualpa. W tej chwili mnich, którego nikt przedtem nie spostrzegł, zbliżył się do króla z krzyżem w ręku. Towarzyszył mu tłumacz quichuański, który powtarzał za mnichem zasady wiary chrześcijańskiej i żądał, aby król porzucił swoją wiarę i przyjął Boga chrześcijańskiego. Atahualpa odrzekł: „Wasz Bóg umarł

z ręki ludzi, których był twórcą! Mój natomiast, rzekł wskazując ręką słońce, które w całym swym blasku zniżało się na nieboskłonie, mój Bóg żyje dotąd na niebie, skąd czuwa nad dziećmi swemi“!

Gdy mówca w czerwonym puncho wyrzekł te słowa, oczy wszystkich Indjan zwróciły się ku słońcu, które z wolna znikało za górami i rozległy się dziwne okrzyki, już to radosne, już to wyrażające pożegnanie gwiazdy dziennej.

Scena ta była tak uroczystą, że wywarła na Marji Teresie i na Romanie silne wrażenie. Tak, trudno było wątpić o tem, Bóg-Słońca miał jeszcze swych wiernych! Wystarczyło spojrzeć na tych ludzi, drżących ze wruszenia, pełnych egzaltacji, którzy poprzez wieki przechowali swoją mowę i swoje obyczaje i swoją tradycję!

I kto wie, może nie było to legendą tylko, że tam gdzieś w głębi gór, w jakimś miejscu nieznanem przez inne rasy, miejscu chronionem przez nieprzekraczalny wał Andów, i wieczystych śniegów, ukrywali się kapłani, którzy bezustannie podsycaли i odnawiali święty ogień starego kultu słonecznego!

Nie było u Inkasów pisma, ni literatury, nie było poetycznego kłamstwa, jedynie tylko pamięć wierna, podtrzymywana quiposami (sznurkami o licznych rozmaicie ugrupowanych węzełkach, które służyły do liczenia i do przypominania) przekazywała z pokolenia w pokolenie te same słowa i te same zwyczaje.

Lecz kapłan czerwony swym monotonnym głosem psalmowym przypominał dalszy przebieg narodowej tradycji:

„Pizarro z rycerzami swymi czekał w obszernej sali pałacu. Mnich, który mówił Atahualpie o prawdziwym Bogu, wszedł do nich i rzekł: „Czy nie widzicie, że gdy my czas tracimy na próżnych słowach z tym psem niewiernym, pełnym pychy, błonie pokrywa się Indjanami? Rzućcie się na nich! Daję wam rozgrzeszenie!“

Teraz człowiek w czerwieni doszedł w opowiadaniu swem do właściwego dramatu, który tytułował „Zbrodnią obcego przybysza“.

I opowiadał dalej, jak Pizarro i jego żołnierze z okrzykiem wojennym: „Święty Jakóbie, kieruj naszą dłońią!“ wypadli z pałacu i wtargnęli na sam środek placu pomiędzy Indjanów, którzy zaskoczeni z nienacka, w strasznej panice zaczęli biec na oślep, by uniknąć śmierci.

Lecz obcy rycerze tratowali ich kopytami końskimi, strzelali na prawo i na lewo, a miecze ich błyszczące w pośród dymu budziły grozę u niešťczęśliwych krajowców, którzy nie widzieli nigdy konia, ni broni.

Pod naporem uciekających padł mur kamienny, okalający plac i tłumy Indjan wypadły na błonia, prześladowanej i nadal przez obcych rycerzy.

Atahualpa w swej lektyce na tronie z masywnego złota, musiał patrzeć na rzeź swego ludu.

Żołnierze hiszpańscy dotarli do niego i chcieli go zabić, lecz Pizarro zawołał głośno: „Komu życie miłe, niech nie dotknie się Inkasa!“ I rozkazał Atahualpę pod silną eskortą zanieść do tej oto hali.

Wszelki opór stał się niemożliwym. Wiadomość o losie króla rozeszła się szybko po całym kraju, budząc wszędzie rozpacz i przerażenie.

Nazajutrz rozpoczęło się plądrowanie. Nigdy Hiszpanie nie marzyli o takiej mnogości złota, i srebra, I oto Atahualpa odkrył w sercach swych zwycięzców namiętność potężniejszą niż zapal religijny, lub żądza chwały; było to gwałtowne pożądanie złota.

Postanowił więc wyzyskać dla siebie tę namiętność i pewnego dnia zaproponował Pizarrowi, że obowiązuje się wyłożyć złotem całą podłogę sali, w której znajdowali się, jeżeli zwróci mu wolność. Gdy Hiszpanie uśmiechali się z niedowierzaniem, dodał z naciskiem, że nie tylko podłogę pokryje, ale napełni złotem salę do wysokości, do jakiej sięgnąć zdoła ręką. Bogactwa i przepych niesłychany, jaki Hiszpanie napotkali w pierwszej

stolicy Peru, Cuzco, czyniły tę propozycję dość wiarygodną, po namyśle więc Pizarro kazał pociągnąć linię czerwoną na ścianie, w wysokości oznaczonej przez Atahualpę i sformułować przez notariusza dokładnie warunki układu.

Sala miała siedemnaście stóp szerokości a dwadzieścia dwie długości, linia zaś pociągnięta była na wysokości dziewięciu stóp od podłogi.

Atahualpa zażądał dwóch miesięcy dla spełnienia swej obietnicy. Wkrótce wysłannicy jego rozeszli się po wszystkich prowincjach cesarstwa. Króla naturalnie strzeżono surowo w więzieniu, trzymanie go w zamknięciu bowiem było nie tylko dla Pizarra rękojmią bezpieczeństwa, ale nadto osoba jego miała dlań obecnie znaczenie bajecznych skarbów.

Powoli sala zaczęła się napełniać kosztownymi przedmiotami. Były to po większej części naczynia z masywnego złota, wartości nieraz czterdziestu do sześćdziesięciu peso.

Chciwemi oczyma zdobywcy pochłaniali te skarby, znoszone na barkach Indjan i składane u stóp nieszczęśliwego monarchy.

Oprócz przedmiotów cennych posłańcy przynosili także pieniądze i około dwieście ogromnych brył szczerego złota. Atahualpa widział więc z radością, że zbliżała się chwila dopełnienia jego okupu.

Zanim to jednak nastąpiło zaczęła dochodzić wieść, że w Cuzco krajowcy podnieśli bunt; Hiszpanie musieli udać się tam pospiesznie, lecz za nic w świecie awanturnicy nie byliby zostawili w Cajamarce takich skarbów. Postanowili zatem podzielić się nimi. Nie była to rzecz łatwą wobec ogromnej różnorodności przedmiotów z których każdy przedstawiał wartość odmienną. Były tam facy, wazy, miski, dzbany wszelkiej wielkości, ozdoby i dekoracje z świątyń i pałaców królewskich, płyty, pokrywające ściany i dachy publicznych budynków, wyroby złote, naśladujące zwierzęta i rośliny. Z tych ostatnich do najpiękniejszych należała kukurudza złota, otulona szerokimi srebrnymi liścia-

mi. Podziwiano także fontannę, tryskającą proszkiem złotym, podczas gdy w basenie u spodu pluśkały się w doskonale wykonanej wodzie, ptaki i inne zwierzęta. Nadzwyczajna piękność i ścisłość rysunku, oraz precyzja w wykonaniu tych wyrobów budziły podziw lepszych znawców, niż prostacy zdobywcy Peru.

Ponieważ w celu przeprowadzenia podziału skarbów musiano wszystko sprowadzić do wymiennej wartości pieniędzy, powierzono jubilerom przetopienie wszystkich tych arcydzieł sztuki złotniczej, czyli skazano ich na zniszczenie dzieła rąk własnych.

Przedtem jednak wysłano pewną ilość przedmiotów, wydzielonych z skarbcza królewskiego, do cesarza Karola V., ażeby powziął wyobrażenie o zręczności krajowców i o wielkiem znaczeniu odniesionego zwycięstwa.

Przetopienie wszystkich skarbów trwało przeszło miesiąc, poczem otrzymano wartość w złocie wynoszącą milion trzykroć dwadzieścia sześć tysięcy pięćset trzydzieści dziewięć pezos, czyli co, wedle wartości pieniężnej w XVI wieku, znaczy siedemdziesiąt siedem i pół miliona franków.

Lecz gdy zdobywcy podzielili się skarbami, król uwięziony stał się dla nich bardzo niewygodnym. Udzielenie mu wolności połączone było dla nich z największem niebezpieczeństwem. Cóż więc mieli z nim począć? I oto powstała ohydna i zdradziecka myśl zamordowania go.

Przedewszystkiem więc oskarżono go, że przygotował potajemnie bunt przeciw Hiszpanom. Wszelkie protesty i zapewnienia niewinności nie pomogły. Żołnierze żądali śmierci króla. Pizarro wzbraniał się lub udawał, że wzdryga się przed taką zdradą, w końcu jednak musiał się poddać wyrokowi sądu, który orzekł, że Atahualpa winien jest podżegania do buntu i że ma być żywcem spalony.

Wyrok ogłoszono przy odgłosie trąb na wielkim placu w Cajamarce, a w dwie godziny po zachodzie słońca żołnierze hiszpańscy zgromadzili się

na plaza, aby przy świetle pochodni uczestniczyć przy egzekucji. Było to 29. sierpnia 1593. Atahualpa wyszedł z tej oto sali okuty w kajdany! Męczennik nasz przeszedł przez tę oto bramę!”

Gdy czerwony mówca doszedł do opisu momentu wprowadzenia na stos nieszczęśliwego monarchy, zwrócił się nagle w tę stronę sali, gdzie ścisnięci pomiędzy tłumem wiernych stali markiz Krzysztof de la Torre i jego towarzysze. I słowa jego stały się groźne i prorocze.

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, przekłęci są synowie tych, którzy kłamstwo mieli na ustach. Zginą jako synowie psów i nie zaznają nigdy rozkoszy w przybytku Słońca synowie tych, którzy ośmielili się twierdzić, że Atahualpa w chwili śmierci zaparł się naszej świętej wiary! Syn Słońca pozostał wiernym Gwiazdździe dziennej!”

Podczas gdy Indianin protestował i przeklinał katów Atahualpy, gdy w ekstazie wskazywał na kamień, na którym król oddał ostatnie westchnienie, dokoła obcych gości zaczął szerzyć się, potęgując się szybko groźny pomruk gniewu i nienawiści. Mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli cisnąć się dokoła grupy otaczającej markiza z zamiarami tak wyraźnie wrogimi, że Roman zawołał zaniepokojony:

— Wyjdźmy stąd!

— Tak, wyjdźmy stąd, wyjdźmy stąd jak najspieszniej! — powtórzyła Marja Teresa.

W istocie sytuacja była dość krytyczna. Już zaczęto wyciągać noże z pochwy i krew byłaby popłynęła niechybnie, gdy wtem nagle powstał ruch w sali. Jakiś człowiek wysokiej postaci zaczął torować sobie drogę ku obcym gościom, a wszyscy ustępowali się przed nim z oznakami wszelkiej czci. Marja Teresa, Krzysztof i Roman poznali Huascara.

Gdy znalazł się tuż obok nich, ujął za lejce muła Marji Teresy, a głos jego donośny przygłuszył wszelkie szemrania i pomruki: „Biada temu — zawołał — ktooby dotknął się Dziewicy Słońca!” Po tych słowach opadły natychmiast wszystkie za-

ciśnięte pięści i podniesione ramiona i zapanowała głęboka cisza. Wtedy głos Huascara odezwał się raz jeszcze: „Ustąpcie się przed Dziewicą Słońca!”

Z Huascarem na czele wyszli bez dalszej przeszkody na plac przed pałacem, gdzie otoczyła ich straż miejska, tłumacząc im jak nieostrożnie jest puszczać się w to środowisko fanatyzmu indyjskiego w przeddzień święta Interaymi.

— Zaprowadzimy państwo do hotelu — rzekli.

Markiz chciał podziękować Huascarowi, lecz Inojanin znikł w tłumie.

Marja Teresa i Roman pobledli i milczeli. Nawet Franciszek Ksawery stracił fantazję i przestał notować.

W hotelu znaleźli jeden tylko pokój wolny. Gdy się w nim zamknęli, Roman pierwszy wyrzekł słowo fatalne:

— Gdyby to było prawdą!

— Ach Boże! — zawołała Marja Teresa. —

Gdyby to było prawdą?

— Co? co miałyby być prawdą? co? co? — pytał markiz prawie oszalały, rozumiał bowiem dobrze, o czym tamci mówili.

— Gdyby ta historia z małżonką Słońca była prawdziwą!

Przez chwilę milczeli wszyscy pod obuchem tej myśli nadzwyczajnej, śmiesznej do absurdu i potwornej. Spoglądali na siebie wystraszonemi oczami, jak dzieci, przysłuchujące się jakiejś okropnej bajce. Roman rzekł w końcu głosem stłumionym:

— Słyszeliście, co mówił Huascar: Biada temu, kto dotknie się Dziewicy Słońca! i potem: Ustąpcie się przed Dziewicą Słońca!

— To u nich może taki sposób mówienia — zauważył Franciszek Ksawery, to nie może być co innego!

— Co? Co innego? Co innego? — wołał znów markiz, który tracił głowę i żałował w głębi duszy, że przybyli do Cajamarki.

Franciszek Ksawery zaczął tłumaczyć się nieśmiało: Oczywiście, cóżby to mogło być innego... Gdyby panna Marja Teresa miała być tą „mał-

żonką Słońca“, nie byłiby jej przecie puścili...
byliby ją przytrzymali...

— Cio? Co? Czy panu się w głowie pomie-
szało? — zawołał markiz. — Czy pan sądzi, że
im wolno nas przytrzymywać tak sobie...! Ależ
my tu jesteśmy panami, nie oni.... mamy przecież
policję, mamy wojsko... wszyscy ci warjaci są prze-
cież naszymi niewolnikami! Słowo daję, że wszys-
cyśmy chyba rozum potracili.

— Tak, to prawda, — rzekła Marja Teresa
w zamyśleniu — wszyscyśmy rozum potracili.

— Radzę, abyśmy wyjechali z Cajamarki jak
najspieszniej — rzekł Roman.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Był to służący
hotelowy, który przyniósł list zaadresowany do
Marji Teresy.

Przeczytała głośno następujące słowa: „Opuść-
cie Cajamarkę i wróćcie do Limy jeszcze tej nocy“.
Nie było podpisu, lecz Marja Teresa rzekła bez
wahania:

— To Huascar daje nam tę radę.

— I musimy go posłuchać — zauważył Roman.

Zapukano po raz drugi i wszedł sam dyrektor
policji w Cajamarce. Przeprosił markiza za przy-
krość, jaka go spotkała w mieście i dodał, że był
u niego jakiś urzędnik banku franko-belgijskiego
z Limy, który twierdził, że zna pana markiza i jego
rodzinę i prosił, ażeby dyrektor poradził mark-
izowi, aby nikt z nich nie pokazywał się nazajutrz
na ulicach miasta, gdyż ludność miejscowa jest
bardzo wzburzona. Było to wielką nieostrożnością
wejść w przeddzień święta Interaymi do pałacu
Atahualpy podczas modłów wieczornych.

Dyrektor policji był najwidoczniej zaniepoko-
jony i pragnął widzieć markiza i jego towarzyszy
o sto mil z Cajamarki. Uspokojono go zapewnie-
niem, że wyjazd nastąpi jeszcze tej nocy.

Dyrektor uradowany postarał się o mowę muły,
dostarczył dobrego przewodnika, i dał markizowi
eskortę z czterech żołnierzy, którzy mieli od-
prowadzić towarzystwo aż do najbliższej stacji
kolei żelaznej.

Powrót do Limy odbył się w czasie o połowę krótszym, niż przyjazd. Roman spieszył najbardziej i on zazwyczaj tak spokojny, był ze wszystkich najbardziej zdenerwowany. Dopiero następnego wieczora, gdy siedzieli bezpiecznie w pociągu jadącym z Pascamayo, podróżni zdali sobie sprawę z tego, że ta ucieczka była cokolwiek śmieszna.

— Jesteśmy bardziej dziećmi, niż ciotka Agnieszka i stara Irena — rzekł śmiejąc się markiz. I wszyscy zgodzili się z tem zdaniem.

Skoro tylko wrócili do zwykłego, cywilizowanego środowiska, nie pojmowali wprost, jak mogli zdenerwować się tak bardzo takim dzieciństwem i podróż skończyła się wśród wesołej rozmowy i dowcipów.

Porwanie.

Powróciwszy do Limy, Marja Teresa zastała w swem biurze dużo zaległości. Musiała więc pograżyć się aż po uszy w robocie. Nie miała nawet czasu myśleć teraz o bransolecie złotego Słońca. Będąc w Callao w swem biurze nie wstawała prawie od swych ksiąg rachunkowych aż do chwili, gdy Roman zapukał do okna, aby jej dać znać, że czas wracać do Limy.

Pewnego wieczora — w tydzień po podróży do Cajamarki, zapukano do okna Marji Teresy w Callao wcześniej niż zazwyczaj. Wstała, aby powitać narzeczonego i otworzyła okno. Lecz w tejże samej chwili cofnęła się, wydając głuchy okrzyk. Nie był to Roman, lecz... lecz... nie, nie rozróżniła już zapewne wyraźnie przedmiotów w zapadającym zmierzchu. Przetarła oczy, jakby chciała odegnać jakąś halucynację. Po chwili zebrała całą swą odwagę i wychyliła znowu głowę z okna... Zdawało jej się, że coś dziwnego chwije się niepewnym chodem w pośród cieniów... coś, co przypominało czaszkę „głowa cukru“. Odwróciła się drżąc na całym ciele... a wtedy ujrzała także w dwóch ciemnych rogach swego pokoju, chwając się ruchami wahadłowymi i zbliżając się ku niej „czaszkę

kaszkiet“ i „czaszkę mały kuferek“. Zrazu myślała, że to jakiś obłąd i że jest jeszcze pod wpływem tych wszystkich zajęć, które towarzyszyły jej w dniu jej pojawienia się bransolety Słońca.

Z ogromnym wysiłkiem próbowała odęgnąć z mózgu swego, i z przed oczu to straszne widziadło... To szaleństwo! To szaleństwo!... Wiedziała przecie, że czaszki pogrzebanych mumji nie wracają na ziemię na żywych barkach... A jednak zbliżały się, zbliżały się wciąż ruchem wahadłowym. Wtedy wydała okrzyk straszliwy, przejmujący, wołający o pomoc: Romanie!... Ale okrzyk ten natychmiast zamarł, utkwił jej w gardle. Trzy żywe czaszki poskoczyły ku niej, „czaszka głowa“ cukru skoczyła oknem do pokoju; wszystkie trzy pochwyciły ją kościstymi palcami, unieruchomiły ją, zatkały jej usta i wyniosły ją przez otwarte okno na ulicę. Tu czekał samochód, a przy kierownicy siedział chłopak, który przyjął ich dziwnym uśmiechem. Samochód ruszył z całą szybkością, skoro tylko wsiadły doń trzy potwory wraz z swoją zdobyczą, trzy przebrzydłe czaszki, które kościstymi haczykowatymi palcami żywych mumji zaciskały usta charczącej ofiary...

KSIĘGA III.

Roman Ozoux przechadzał się melancholijnie po ulicy Limańskiej, oczekując chwili, kiedy będzie mógł udać się po Marię Teresę.

Był właśnie w porcie Darsena i myślał o tem, co mu mówili niedawno inżynierowie. Nie ukrywali przed nim wcale, że przy obecnej sytuacji politycznej w kraju, trudno mu będzie przez pewien czas myśleć o podjęciu robót w starodawnych kopalniach złota w Cuzko. Od dwóch dni były tam starcia. Pretendent Garcia miał zyskać przewagę nad armją republikańską i rezeszła się nawet ogłoska, że opanował Cuzko.

Stanowisko prezydenta Veintemilla było zachwiane. Roman uzyskał był za wstawieniem się

markiza de la Torre od prezydenta potrzebną kaucję do podjęcia robót inżynierskich, lecz po zwycięstwie Garcii koncesja ta byłaby bez wartości.

Jako człowiek czynny, lubujący się w pracy, tak samo jak Marja Teresa, Roman rozpaczał na myśl, że będzie musiał czekać przez długie miesiące z założonymi rękami na wynik rewolucji, która była dopiero w zaczątkach.

Przeszedłszy ulicę Limańską, Roman spojrział na zegar i stwierdził, że jeszcze zawczasie, aby iść po Marię Teresę.

Nie chciał jej przeszkodzić w robocie i wiedział, że niechętnie to widziała.

Kochali się z całego serca, lecz „interes przedewszystkiem“.

Wszedł do kawiarni Circulo de los Amigos de las Artes (klub Przyjaciół sztuk pięknych), aby przeczytać gazety. Sala była pełna gości, w licznych grupach toczyły się hałaśliwe dyskusje o najnowszych wieściach. Wtem zadyszani kameloci zaczęli wywoływać na ulicy nowe wydanie oficjalnej gazety.

Jeden z członków klubu Przyjaciół sztuk pięknych skoczył na stół i zaczął odczytywać z gazety proklamację prezydenta Republiki, w której tenże stanowczo zaprzeczał, iżby Cuzko było wzięte przez powstańców, prosił o zachowanie spokoju i przyrzekał, że po uroczystościach Interaymi, gdy Indianie powrócą do zwykłej swej apatji, rząd republikański z łatwością usunie raz na zawsze Garcie i jego zwolenników.

Po przeczytaniu proklamacji wszczął się ogromny hałas, a przyjaciele Sztuk pięknych, wznosili głośnie okrzyki na cześć prezydenta.

Roman wyszedł z kawiarni pocieszony nieco i skierował się szybkim krokiem ku domowi, gdzie znajdowało się przedsiębiorstwo Marji Teresy, gdyż zmierzch zapadał i bał się, aby się nie spóźnić.

Wszedł w labirynt małych uliczek, które po wylądowaniu w Peru przebiegał był z takim wzruszeniem, a które znał już doskonale z listów Marji Teresy do jego siostry.

Z daleka ujrzał światło w oknie wychodzącem na werandę i widział, że okno było otwarte, tak samo, jak w dniu jego przybycia.

„Czeka na mnie“, pomyślał, i serce zakochanego biło silnie. Zbliżył się i wysunął naprzód głowę.

Tak samo uczynił, gdy przybył tu po raz pierwszy i ujrzał ją wtedy pochyloną nad księgą rachunkową, notującą coś w swym karneciku, zapisującą cyfry, a równocześnie głosem stanowczym, głosem dobrej Kupcowej, która zna się na interesach, przemawiała do jakiegoś niewidzialnego klienta:

„Jak pan sobie życzy. Ale za tę cenę możesz pan otrzymać tylko guano fosfatowe, zawierające zaledwie 4 proc. azotu!“

Miał jeszcze w uszach te słowa. Nie wydawały mu się wcale śmiesznymi. Kochał ją za to może więcej jeszcze, tak bardzo cenił powagę, praktyczność, nawet kupieckie zdolności u młodej dziewczyny, zwłaszcza w porównaniu z młodemi gąskami, które spotykał w salonach, na balach u swej siostry.

Roman był uczciwym i dzielnym mieszczaninem, który może nie byłby się nawet zakochał w Peruwiance, gdyby nie podziw, iż była zdolną prowadzić o własnych siłach tak wielkie przedsiębiorstwo. Gdy się o tem dowiedział, wówczas po raz pierwszy zwierzył się swojej siostrze Joasi. „Jest piękna“, zauważyła Joasia. „Ma mózg męski“, odrzekł na to.

A jednak oboje z swymi dwoma mózgami męskimi — jakże mogli nie lepiej jak stare, tchórzliwe kobiety — uleść tak zupełnie wrazeniu takiej historii, jak legenda o tej bransolecie Słońca!... Nie, będzie się śmiał z tego jeszcze długo, długo, gdy dawno już będą pobrani i „Małżonka Słońca“ będzie jego własną żoną!

— Dobry wieczór, Marjo Tereso!

Milczenie. Roman podchodzi do okna.

— Dobry wieczór, Marjo Tereso!

Lecz Marji Teresy niema w pokoju. Roman podnosi się na palcach, zagląda: nie ma nikogo! I... cóż to takiego? stoły powywracane, księgi i papiery porozrzucane po podłodze!

— Marjo Tereso! Marjo Tereso!

Roman skoczył na okno, a z okna do pokoju. Patrzy przerażony dokoła siebie. Woła. Nie pojmuje. Co oznacza ten straszny zamęt i straszniejsze jeszcze milczenie? Głosem dzwicznym, chociaż drżącym, woła służbę. Lecz nikt się nie zjawia. Ani jednego służącego! Ani jednego dozorca! Ani jednego urzędnika! A drzwi wszystkie otwarte!

— Marjo Tereso! Marjo Tereso!

Roman wychodzi na pusty dziedziniec, to znów wraca do biura. Znajduje tylko straszne potwierdzenie swego nieszczęścia.

Wszystko dowodzi, że miały tu miejsce walka, gwałt, porwanie, meble pchnięte w róg pokoju, firanka zerwana z okna, zbita szyba.

Teraz już nie woła zrozpaczony młodzieniec, ale charczy, jęczy, szlocha: Marjo Tereso! Marjo Tereso!... Porwano ją! Nie wątpi już, że to Indjanie zabrali ją, jako swą zdobycz! Indjanie tego Huascara, którego darzyła pełnem zaufaniem, a który kochał ją nie jak brat, lecz jak wielbiciel. O! Roman wiozłał, jakim wzrokiem Huascar patrzył na Marję Teresę!

Żaden mężczyzna, zwłaszcza zaś mężczyzna kochający Marję Teresę, nie pomyliłby się co do znaczenia tego wzroku!

Roman wychyla się z okna, pyta nocy, cieniów, milczenia i woła raz po raz: Marjo Tereso! Marjo Tereso! Nikt mu nie odpowiada.

Szuka daremnie jakiejś wskazówki, jakiegoś śladu, któryby mu dał możność biedz na ratunek swej narzeczonej. Jak ci nędznicy mogli się odważyć na popełnienie podobnej zbrodni? I widzi przed sobą nieszczęśliwą dziewczynę, wrywającą się z ramion Huascara i wołającą na pomoc Romana, podczas gdy on przechadzał się spokojnie na wybrzeżu i słuchał bzdurstw „Przyjaciół Sztuk pięknych“.

Ach, dlaczego nie przyszedł wcześniej!... Byłby przychwycił Huascara... Tak to przed tym Indjaninem należało się mieć na baczności, gdy oni tymczasem byli zahypnotyzowani tą śmieszną historją o bransolecie Słońca i słuchali, jak dzieci, wszystkich bajek o „małżonce Słońca“.

Indjanin zakochany w Europejce! Indjanin szukający zemsty! To nie mrzonki, to rzeczywistość!... Miał go jeszcze przed oczyma takim, jakim go widział po raz pierwszy w tym pokoju; widział go stojącego u drzwi, dumnie udrapowanego swoim puncho i podnoszącego groźnie pięść zaciśniętą, gdy Marja Teresa wygnała go wraz z jego towarzyszami! Wszystkie te obrazy zjawiały się nagle, mieszały i chwiałały się w jego wzburzonym umyśle... Precz z nimi! Musi zebrać swe myśli, musi badać, szukać... i jednym skokiem znalazł się znowu na ulicy prawie ciemnej, oświetlonej słabo jedną latarnią, wiszącą na rogu ulicy na sznurze. Lecz widzi tylko zamknięte drzwi magazynów, gładkie mury i cienie... cienie...

A tam, na zakręcie ulicy, słychać jakieś głosy! Przypomina sobie, że gdzieś w pobliżu jest wyszynk, jedyna rzecz żywa w tej martwej dzielnicy. Biegnie tam. Drzwi są otwarte — wchodzi. Przyskakuje do dozorcę magazynu Dominga i pyta, chwytając go za ramię:

— Gdzie twoja pani?

Domingo przerażony, nie rozumie o co idzie i odpowiada nieśmiało, że sądził, iż senorita wróciła do Limy z Romanem, jak każdego wieczora, bo widział niedawno przejeżdżający automobil!...

— Jaki automobil? Jaki automobil?

Domingo wzruszył ramionami. W Callao i w Limie niema prawie więcej automobilów?

— A kto kierował?

— Nasz boy!

— Libertad?

— Tak, senior, Libertad!

— I nic nie mówił do ciebie przejeżdżając tędy?

— O, nie widział mnie wcale.

— A widziałeś swoją panię?

— Dach był podniesiony... nie mogłem widzieć wyraźnie, powóz jechał z ogromną szybkością. Oto cała prawda. Juro que es la verdad!

Domingo podniósł rękę jak do przysięgi!

Roman potrząsał nim jak drzewkiem owocowym.

— Cóżes ty tu robił? Dlaczego nie byłeś przy swojej pani, na swoim posterunku?

— Jeden z Quichuasów zaprosił mnie na szklaniczkę prawdziwego pisco, señor!

Roman wypchnął go z izby, wyrzucił na ulicę, zaprowadził do biura.

— Es horrororo! horrororo!...

Domingo wyrывał sobie włosy, ale Roman chwycił go za gardło i patrzył mu w oczy, które wystąpiły z orbit, jak pestka z miąższu czereśni. Głupiec, czy zdrajca? Bałwan, czy współwinny?

Lecz Roman wnet zluźnił uścisk palców na gardle sługusa, gdyż po tym dowodzie swej siły miał zamiar wyciągnąć z niego dokładniejsze wiadomości. I otrzymał je natychmiast.

Nie było wątpliwości, że zbrodnia dokonana została za współudziałem czynnym mieszkańca Libertada, którego Marja Teresa przyjęła z litości, a dla jego inteligencji uczyniła zeń kierownika samochodu.

Dzień i godzinę porwania wybrano dobrze: w sobotę wieczorem nie było już nikogo w magazynach.

— Kiedy udałeś się do szynkowni z tym Indjaninem, czy samochód, czekał już? — zapytał Roman.

— Tak, señor! był tu już od pół godziny.

— A czy dach był podniesiony?

— Nie! Libertad siedział sam na koźle, jak zwykle.

Roman szybko pobiegł w kierunku portu Darsena, jedyną drogą, którą mógł jechać samochód. Fakt, że porwanie zostało dokonane w samochodzie Marji Teresy, ułatwiał poszukiwania. Samochód nie mógł dojść daleko z braku odpowie-

71
Zakłady S. J. J. J. J. Wody
BIBLIOTEKA
KAWA
Ks. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100

dnich dróg do jazdy kołowej. Można też było natychmiast odkryć ślady uciekających.

Biegnać niemal bez opamiętania. Roman potknął się w pobliżu latarni na jakiegoś człowieka, który z wielką ostrożnością, wychodził z bramy i był zły, że go potracono.

Po fryzowanych loczkach, po sztucznej młodości tej lalkowatej postaci, Roman poznał tego samego pana, którego ujrzał w oknie między dwoma wazonami kwiatów, gdy przejeżdżał przez Callao z Marją Teresą; częstego gścia w dzielnicy miłości, dyrektora policji!

Krzyknął tak głośno i zastąpił mu drogę tak gwałtownie, że tamten zawołał przestraszony:

— Kto to taki?

— Przepraszam, senor inspector superior! Jestem Romanem Ozoux, narzeczonym Marji Teresy de la Torre. Przed chwilą porwali ją bandyci!

— Co pan mówi! Czy to możliwe? Senorite Marje Teresę?

Pospiesznie w kilku słowach Roman opowiedział, co się stało, oskarżając z całą stanowczością Indjan i Huascara.

Urzędnik był zrozpaczony tą historją, która go zaskoczyła w chwili, gdy się wybierał na wesołą kolacyjkę, lecz ponieważ był uczciwym człowiekiem, rozumiejącym swój obowiązek, więc oświadczył natychmiast swą gotowość pomocy. Próbował tylko o chwilę cierpliwości, ażeby mógł uwiadomić swą przyjaciółkę o zaszłej przeszkodzie.

Roman nic nie odpowiedział i poszedł ku portowi, pytając po drodze kupców, stojących na progu swych sklepów, czy widzieli automobil. Nie mogło upłynąć więcej jak pół godziny od przejazdu samochodu.

Roman był przekonany, że nie zobaczy już urzędnika policji, lecz pomylił się, gdyż wkrótce usłyszał, iż ktoś biegnie za nim.

— Nie oczekiwaleś mnie już, senor? Oto jestem! Na Natividada zawsze liczyć można.

Nazywał się właśnie Perez, ale z powodu jego lalkowatej główki, dano mu przydomek Nati-

vidad (tzn. „dzieciątko Jezus“). Wiedział o tem i śmiał się z tego, a był prawie zawsze w dobrym humorze.

W ogólności Natividad był dobroduszny, miał jednak i on swoje „bete noire“. Nienawidził Indjan, miał wstętność do tych Quichuasów, brudnych, leniwych i chytrych, zdolnych do najgorszych czynów. To też zbrodnia popełniona obecnie nie zdziwiła go wcale.

Zanim doszli do portu, przechodząc przez małą uliczkę San Lorenzo, Natividad zatrzymał Romana i przycisnął go do muru, nakazując mu milczenie. Uliczka była ciemna i pusta. Tylko z niskich drzwi oszklonych o kilka kroków od nich padało słabe światło. Drzwi te otworzyły się teraz i jakaś głowa wyjrzała ostrożnie na ulicę. Roman omal nie krzyknął z radości. Poznał Huascara!

Indjanin gwizdnął i natychmiast dwa cienie zjawiły się w uliczce, jakby odcepiły się od murów. Nowo przybyli mieli na głowie szerokie indyjskie kapelusze.

Huascar wyszedł na ulicę, zamknawszy drzwi za sobą i między trzema Quichuasami zawiązała się szybka, szeptem prowadzona rozmowa w narzeczu indyjskiem aimara. Potem dwa cienie ruszyły ku portowi, Huascar zaś wrócił do domu o oświetlonych szybach i znów cisza zupełna zapanowała na uliczce.

Przez cały ten czas Natividad ścisnął za ramię Romana, unieruchamiając go tym sposobem. Młody człowiek drżał z niecierpliwości. Co to znaczy? Co się tam dzieje? Czy zrozumiałeś pan, co mówili? Może Marja Teresa jest tam zamknięta z tym nędznikiem?

Natividad nie odpowiadał, lecz przyczołgał się na palcach do niskich drzwi i narażając się na odkrycie, zajrzał przez szyby. Roman poszedł za jego przykładem. Widzieli bardzo wyraźnie, że pokój zapełniony był Indjanami.

Siedzieli przy stole, lecz nie pili, ani nie kurzyli fajek, a zachowywali dziwne milczenie.

Huascar przechadzał się wzdłuż pokoju, jakby pogrążony w ponurych pomysłach. Na chwilę znikł za drzwiami wychodzącymi na schody, które prowadziły na pierwsze piętro. Natividad obawiając się, by go nie ujrano, pociągnął Romana do pobliskiej bramy.

— Nie wiem i nie pojmuję — rzekł — co ci Indjanie tu robią podczas święta Interaymi. Co oznacza to zgromadzenie? Prawie wszyscy Quichuasi wyjechali w góry i wrócą dopiero za jakie dziesięć dni. W każdym razie nie przypuszczam, aby Huascar był wykonawcą tego porwania. Kto ma zamiar uprowadzić szlachetną Peruwiankę, nie zwierza się z tego wszystkiego Indjanom, z których każdy może przyjść do mnie i sprzedać mi sekret za parę centavos!

— Czekajmy! — rzekł Roman. — Znajdziemy przecie wnet samochód, chociaż bez wątpienia pusty i jestem pewny, że Huascar wie o porwaniu Marji Teresy, chociaż może sam nie wykonał go. Nie traćmy go z oka!

— Nie będziemy długo czekali — rzekł urzędnik policyjny, nastawiając ucha na szmer dochodzący z ulicy. Oto wracają Indjanie i jestem do prawdy zaintrygowany... Jaktó? czyby z powodu Interaymi? — O, o! cichooo!

Zbliżył się tupot końskich kopyt, tak, że Natividad z Romanem musieli się cofnąć z uliczki i ukryć w wąziutkiej poprzecznicy, przecinającej ulicę San Lorenzo; stąd mogli obserwować wszystko, co się działo w pobliżu niskich drzwi oszklonych, poza któremi zgromadzeni byli Indjanie z Huascarem.

Na odgłos kopyt uderzających o bruk ulicy wszyscy Indjanie powstali i zwrócili głowy ku drzewom, jakby oczekując kogoś.

Naprzód zjawił się Huascar, potem Indjanin, w którym Roman poznał natychmiast mowcę z kłamienia męczeńskiego v. Cajamarceli, następnie wszedł młody człowiek ubrany po europejsku w eleganckim garniturze z magazynu Zarate: Oviedo Huayac Runtu (we własnej osobie).

I oto stała się rzecz prawie nie do uwierzenia! Wszyscy ci ludzie, którzy ani drgnęli na widok Huascara i kapłana Cajamarki, przyklekli, gdy przechodził przed nimi Huayac Runtu, pochylałi czoła przed tym urzędnikiem banku francusko-belgijskiego i składali ręce z wyrazem najgłębszego korzenia się.

W tej chwili cała gromada koni i mułów stała już przed niskimi drzwiami. Wszyscy Indianie wyszli teraz z pokoju na ulicę z latarniami, oświetlając całą kawalkadę. Pierwszy urzędnik bankowy dosiadł konia, przyczem pomagał mu Huascar, trzymając mu cugle w postawie pokornej. Z kolei Huascar i kapłan Cajamarki wsiedli na konie i wzięli między siebie Huayac Runtu, trzymając się cokolwiek z tyłu za nim.

W tej chwili na znak dany przez Huascara zaszedł dziwny wypadek, który przyczynił się w straszny sposób do wyjaśnienia całej sytuacji w oczach Natividad. Oto wsiadając na konie lub muły, wszyscy Indianie odrzucili w tył wierzchnie okrycie i ukazali się przy świetle latarni i pochodni przybrani w jaskrawo-czerwone punchos!

— Czerwone punchos! Czerwone punchos! — zawołał przytłumionym głosem Natividad, chwytając za ramię Romana.

Usłyszeli w głębi ulicy gwizdanie, któremu odpowiedziało natychmiast gwizdanie pochodzące gdzieś ze strony portu Darseña... i cała kawalkada ruszyła.

Roman chciał biedz za nią, lecz Natividad powstrzymał go.

— Poczekajmy! Poczekajmy! Musimy wiedzieć, w którą stronę pokierują się!

Śladem czerwonych punchos.

Natividad nastawił znowu ucha. Po chwili wiedział już, co chciał,

— Jadą drogą ku Chorillos! Założyłbym się, że połączą się z automobilem.

— Konia! Dajcie mi konia! — wołał rozpaczliwie Roman.

— Chodź pan ze mną, mamy coś lepszego niż konia! Mamy telefon i kolej żelazną! — rzekł Natividad.

I znowu powtórzył kilkakrotnie: Czerwone punchos! czerwone punchos!

— Cóż to znowu takiego te czerwone punchos? Czerwone, czy szare, wszyscy oni należą do bandy Huascara i pomogli mu w wykonaniu sztuczki! To dla mnie rzecz tak jasna, jak ta noc tropikalna!

— Tak, panie Ozoux, jestem teraz pańskiego zdania — rzekł Natividad, który dysząc, biegł za Romanem w kierunku dworca kolei... — Miałeś pan słusność!... To oni porwali senioritę de la Torre!... czerwone punchos!... kapłani słońca.

Roman zatrzymał się nagle w biegu. Ostatnie słowa urzędnika policji obudziły w nim obawę straszego losu, jaki mógł spotkać Marję Teresę!

— O nieszczęście! straszne nieszczęście! — zawołał drżąc cały. — Więc te stare kobiety Agnieszka i Irena mówiły prawdę! O dlaczego nie uwierzyłam im!

Zaczął znów biedz, jak szalony i w biegu mówił urywanym głosem:

— Każesz pan aresztować całą tę bandę? nieprawdaż? I spotka ich kara surowa!... Uratujemy ją, wszak prawda?

— Uczynimy, co tylko będzie możliwe! Jest ich około trzydziestu, my zaś nie rozporządzamy obecnie żadnym wojskiem w Callao, powołano wszystkich do walki przeciw Garcii w góry.

— Możesz pan przecież zatelefonować po pomoc do Limy!

— Tak! I znów będą mnie uważali za wariata, jak przed dziesięciu laty! — odrzekł zagadkowo Natividad.

— Czy będziemy w Chorillos przed nimi?

— Z pewnością! Pociąg odchodzi za dziesięć minut!

— Ach, lepiej byłoby, gdybym miał konia! Daj mi pan konia! — naglił Roman — pojedę za nimi, dogonię ich, muszę wiedzieć dokąd idą. Stanę sam jeden przeciw wszystkim!

— Nie, nie! pójdę z panem, nie opuszczę pana!

I snując dalej myśl poprzednią, Natividad dodał jeszcze pół głosem:

— Nie chcieli mi wierzyć przed dziesięciu laty. I oto znowu ta sama historia!

Ale Roman nie słuchał. Chciał działać jak najrychlej i obawiał się, że stracą ślady, gdy pojedą pociągiem.

— Ale oni jadą drogą równoległą do szyn. — rzekł Natividad. — Porozumię się z naczelnikiem pociągu, Skoro tylko ujrzymy samochód, każę zatrzymać pociąg.

Jeżeli spotkamy czerwonych punchos, wyprzedzimy ich i będziemy ich aresztować w Chorillos, gdzie władze będą już powiadomione. Nic straconego, panie Ozoux.

Na dworcu Natividad zarządził telefonicznie, aby komisarz z Callao skomunikował się z policją w Chorillos, która powinna bezwarunkowo zatrzymać w drodze wszelki samochód jadący z Callao.

Podczas gdy Roman i Natividad rozmawiali z szefem, czekając na pociąg, z pociągu przychodzącego z Limy wysiedli markiz, Franciszek Ksawery Ozoux i mały Krzysztof; wszyscy z oznakami najwyższego niepokoju zbliżyli się ku nim.

— Gdzie jest Marja Teresa? Dlaczego jesteś tu sam? Gdzie ona? Co się stało? Mów na miłość Boską! — wołał markiz, a mały Krzysztof już uczeplił się kolan Romana i płacząc, pytał o siostrę.

Wtem pociąg gwizdnął, Natividad przynaglił wszystkich, aby wsiedli do pociągu, który ruszył natychmiast.

Roman na wszystkie pytania odpowiedział tylko: Tak, porwali ją Indianie, ale wiemy, gdzie się znajduje; jest w Chorillos!

Markiz przysięgał, że zabije własną ręką wszystkich Quichuasów. Mały Krzysztof szlochał. Lecz Roman pytał z kolei, skąd się tu wzięli? Kto ich uwiadomił?

I dowiedział się, że o godzinie nabożeństwa wieczornego Agnieszka i Irena spostrzegły, że ktoś skradł bransoletę ze słońcem, którą ofiarowały były na ołtarz Matki Boskiej z San Domingo. Przerażone świętokradzkim czynem, wróciły do domu, wiedzione złem przeczuciem i chciały jak najspieszniej poradzić Marji Teresie, aby się miała na baczności. Pierwszy człowiek, którego spotkały, był markiz, który był również mocno zaniepokojony. Przybył właśnie z klubu, gdzie mu wręczono list podobny do owego listu, który doradził mu ucieczkę z Cajamarki. Radzono mu, aby dniem i nocą czuwał nad Marją podczas uroczystości Interaymi, a przedewszystkiem, ażeby nie pozwolił jej udać się do Callao w najbliższą sobotę!

Markiz od tygodnia nie był w klubie, gdzie list czekał na niego, a dziś właśnie była owa sobota! Minęła godzina siódma, a gdy ani Marja Teresa, ani Roman nie wrócili z Callao, nie pozostało nic innego, jak biedz za nimi do Callao!

Obie starszki chciały również jechać, gdyż przeczuwały katastrofę i mała Izabela prosiła, aby ją zabrać, postanowiono jednak zostawić kobiety w domu.

Markiz wsiadł do najbliższego pociągu z wujaszkiem Franciszkiem Ksawerym, a mały Krzysztof prośbą ani groźbą nie dał się powstrzymać i pojechał z nimi.

Te opowiadania o zaniepokojeniu w rodzinie de la Torre i o uprowadzeniu Marji Teresy z Callao, przerywane były rozpaczliwymi okrzykami, przekleństwami markiza, płaczem małego Krzysztofa i westchnieniami Romana. „Żeby rzecz podobna była możliwą w pełni cywilizacji, w kraju, gdzie jest kolej żelazna, to przechodzi wszelkie wyobrażenie“!

Zrozumieli, że tu nie było mowy o zuchwałym czynie jakiegoś zakochanego szaleńca, lecz,

że to porwanie wykonane było w celu popełnienia rytualnego mordu!

Urzędnik policyjny Natividad nie miał pod tym względem najmniejszej wątpliwości. Dziwne to było, że jako człowiek uczciwy był z jednej strony bardzo zmartwiony tem zdarzeniem, z drugiej zaś strony odczuwał pewną satysfakcję, ponieważ w administracji centralnej wyśmiewano go zawsze, gdy posyłał sprawozdanie ostrzegawcze o pewnych tajnych obchodach u Indian Quichuasów, o rytualnych mordach dzieci i kobiet. Zarzucano mu, że robi „literaturę“.

Natividad odczuwał tę zniewagę z wielkiem oburzeniem; obecnym wypadkiem czuł się pomuszonym: Porwanie Peruwianki podczas świąt Interaymi i wśród jakich okoliczności! Z całym orszakiem czerwonych punches!

Jakże wyśmiewano się tam w „wyższych sferach“ z tych „mitycznych“, czerwonych kapłanów słońca, a oto zobaczą ich teraz przy robocie!

Słuchano go w milczeniu i rozpaczy, a Natividad widząc to głębokie przygnębienie, jał pocieszać wszystkich, że Indianie nie mogą być daleko z swoją cenną zdobyczą. Wszystkie przejścia w górach poobsadzone były wojskiem Veintemilli i od nich zawsze można będzie zażądać pomocy. Najważniejsza rzecz, aby nie stracić śladu.

Właśnie w tej chwili pociąg wjechał na drogę równoległą do wybrzeża i podróżni odtąd nie spuszczały już z oka tego szerokiego pasma oświetlonego księżycem. Minęli kilka chat zapadłych, kilka domów bambusowych, a potem rozległa się już tylko piaszczysta pustynia. Markiz, Roman i urzędnik policyjny, przytuleni do okna natężali wzrok, by z daleka zobaczyć cośkolwiek. Nagle wszyscy drgnęli i okrzyk: „Auto“! — wyrwał się im z ust prawie równocześnie.

Spostrzegli w istocie automobil stojący przed bramą jakiejś haciendy. Natividad pocisnął już guzik sygnałowy i pociąg zatrzymał się. Podróżni

nasi zeszli z wagonu, a Natividad polecił naczelnikowi pociągu, aby przysłał natychmiast z Chorillos policję, żołnierzy a przede wszystkim konie. Wszyscy spieszyli w stronę samochodu, a wyprzedził ich Roman, który biegł bez tchu piaszczystą drogą, nie zważając na przestrogi Natividad, ażeby nie spłoszył nieprzyjaciela.

Stanął zadyszany przed samochodem, z rewolwerem w rękę, gotów zastrzelić pierwszego Indianina, który się nawinie. Lecz nie widział nikogo.

Nie było nikogo ani w powozie, ani w pobliżu. Ciemne mury samotnej haciendy, oblane bładem światłem księżyca, lśniły się tajemniczo. Drzwi były otwarte.

Libertad.

Roman wszedł do haciendy. Zdawała się zupełnie opustoszałą. Ani żywej duszy na wielkim dziedzińcu otoczonym budynkami, po części wałącymi się. Widocznie było to coś w rodzaju małego folwarku, którego właściciele uprawiali rośliny warzywne i wynosili do miasta na sprzedaż. Roman ujrzał po lewej stronie dom mieszkalny. I tu również były drzwi otwarte. W tej chwili markiz i Natividad podążyli za Romanem. Wziąwszy z powozu latarnię, którą zaświecili, weszli wszyscy w milczeniu do domu.

Zaledwie minęli pierwszy pokój, uderzył ich dziwny ciężki i oszałamiający zapach. Nagle wszyscy wydali okrzyki przerażenia; na podłodze leżały meble rozrzucone w nieładzie, a Roman wszedł w kałużę krwi!

Teraz wszędzie spostrzegli ślady krwi!

Roman i markiz, drżący ze wzruszenia i bólu, wołali w śmiertelnej trwodze: „Marjo Tereso!“ Nagle umilkli, gdyż zdawało im się, że ktoś im odpowiada.

— Mój Boże, mój Boże!... — zawołał Roman — mordują ją, mordują ją!...

I podskoczył ku schodom prowadzącym na pierwsze piętro, skąd dochodził dosłyszalnie teraz dla wszystkich głos jęków przeciągłych...

Młodzieniec w biegu poślizgnął się i musiał oprzeć się ręką o poręcz schodów... poczuł coś lepkiego i ciepłego, spojrział na rękę z przerażeniem, była czerwona, umaczana we krwi!

Pragnęli dotrzeć do śladu zbrodni — oto mieli ślad nieomylny, który wiódł ich prosto do owych jęków żałośnych, rozbrzmiewających ponurem odgłosem po całej haciendzie.

Przebiegli w trwodzie dwa pokoje — tu musiała odegrać się straszna zbrodnia, tu zabijano, tu broniono się rozpaczliwie...

Biegli, wołając wciąż: Marjo Tereso! Marjo Tereso! Przebyli jeszcze sieni, jeszcze jakieś drzwi i byli w ciemnym pokoju, skąd wychodziły jęki... i potknęli się o ciało, drgające w kurczach przedśmiertnych!

Padli na kolana, otoczyli ramionami to ciało, podnieśli je i usłyszeli charczący okrzyk „Libertad!...“ Tak, to tylko Libertad umierał tu na progu! I oto wszyscy teraz dziękowali Niebu, że to tylko Libertad umierał!

Nieszczęśliwy „boy“ był formalnie podziurawiony pchnięciami nożów. Miał rany na piersiach, na plecach, na twarzy — na całym ciele. Charczał, dusił się i żądał powietrza.

Pociągnęli go do okna i zaczęli wypytywać. Przyznał się, że to kara za popełnioną zbrodnię... Ale Roman chciał tylko dowiedzieć się, gdzie jest Marja Teresa i skoro tylko Libertad gościem wskazał na Sierre, drogę wiodącą z gościńca w góry, natychmiast wybiegł z domu jak szalony, gdyż zrozumiał, że czerwoni kapłani już daleko uprowadzili jego narzeczoną.

Na ulicy ujrzał swego wujaszka Ozoux, który nadaremnie usiłował pocieszyć małego Krzysztofa. Malec znalazł w pustym samochodzie płaszcz świętej siostry i szlochając głośno, wołał bezustannie: Marjo Tereso! Marjo Tereso!

Gdy zobaczył Romana, rzucił mu się na szyję, wołając: Uprawdzili ją ci niegodziwcy! Lecz Roman odepchnął go tak brutalnie, krzycząc z całych sił: „Konia! Dajcie mi konia“! iż Krzysztof nagle zrozumiał, że nie czas teraz na dziecinne płacze i skargi...

Lecz skąd wydstać konia, lub muła, by puścić się w pościg!

...Bo ten głupi samochód, który posłużył do uprowadzenia ofiary, nie przyda się na nic na tych ścieżkach górzystych, którymi unoszą ją czerwoni kapłani.

W tem mały Krzysztof nadstawia ucha... zdawało mu się, że słyszał, jakby uderzenie kopytami o deskę i jakby rzenie...

Czyżby się mylił? Może tam w głębi podwórza jest stajnia? Biegnie... i znajduje lamy, trzy wybiedzone, wychudłe lamy, zbyt wyniszczone od dźwigania przez długie lata ciężarów, ażeby dziś mogły unieść nawet dziecko!...

Ale lama nie rzy przecie, a Krzysztof słyszał wyraźnie rzenie... Biegnie więc dokoła hacjendy i nagle... przyciska się do muru... tam, na środku równiny widzi jeźdźca na koniu, nieruchomego, jakby strzegącego hacjendy. A tuż przy nim, w postawie również nieruchomej a czujnej, lekkie zwierzę, o zgrabnych chyżych nogach, o wydłużonej szyi i nastawionych uszach, to lama kordylerska, która biegnie za jeźdźcem, jak pies wierny za swym panem.

A więc koń i lama! Cudownie!

Chłopak wstrzymuje oddech!

Tak, ale co zrobić z tym jeźdźcem?

Ledwie to pomyślał, ujrzał, że koń nagle cofnął się wstecz, a równocześnie usłyszał wystrzał i zakłęcie. Jakiś cień, jakby nagle wyrósł z ziemi, wycelował i dał ognia. Jeździec rozczapierzył ramiona, zachwiał się i upadł na piasek, w mgnieniu oka cień rzucił się ku cugłom i wskoczył na siodło. Mały Krzysztof już był przy nim.

— Powiedz ojcu, że m już zabił jednego z nich i że zdobyłem konia! — zawołał Roman i pogonił drogą ku Sierze.

Lecz dziecko nic nie odpowiada, lecz pędzi co sił starczy za lamą biegnącą za koniem, a dopędziwszy ją, wskakuje na nią, chwytając się rączkami wełny, ściska jej boki kolanami... i oto dwaj rycerze, duży i mały, lotem strzały mignęli przed oczyma wujaszka Ozoux, który z przerażeniem podniósł ku niebu swe długie, chude ramiona.

Tymczasem w hacjendzie Libertad ciągnął dalej swą ponurą a tak cenną opowieść. Natividad zatrzymał niemal przemocą markiza, przekonywując go, że nie da się nic zrobić przed przybyciem koni i ludzi z Chorillos.

Chciał zaś mieć świadka przy tych zeznaniach, które potwierdzały wszystkie jego dawniejsze twierdzenia co do zbrodni tajemniczych, popełnianych przez Indjan. Postanowił więc dręczyć Libertada, jak długo biedakowi tchu stanie.

Z jego zeznań, przerywanych jękami i charczeniem przedśmiertnym, wynikało jasno jak na dłoni, że cała sprawa była od dawna przygotowana i że przed dwoma miesiącami już córka markiza de la Torre była przeznaczoną na przyszłą ofiarę podczas święta Interaymi.

W tym to czasie bowiem zaczęto dobierać się do wierności Libertada, która nie długo opierała się dość znacznej nagrodzie pieniężnej. Żądano od niego jednej tylko rzeczy, ażeby był gotów pewnego wieczora poprowadzić automobil na miejsce wskazane, nie troszcząc się o to, co się będzie działo za jego plecami.

Zgodził się uczynić to za dwieście soles, z których pięćdziesiąt otrzymał jako zadatek.

— Z kim zrobiłeś ten układ? — zapytał inspektor.

— Z urzędnikiem banku franko-belgijskiego, który przychodził czasem do naszego biura, a nazywa się Oviedo.

Markiz zadrżał: „Oviedo Huaynac Runtu!“ — ten człowiek, który nie odstąpił ich podczas całej

podróży do Cajamarki! Indjanin, ubrany w garnitur od Zarata! Tak! Jeżeli ten łotr przygotował uprowadzenie Marji Teresy w Callao, nie dziw, że niechętnie patrzył na wyjazd jej do Cajamarki!

Tym sposobem tłumaczyły się jego stárania i grzeczności po drodze i kroki poczynione u dyrektora policji w Cajamarce, ażeby skłonić podróżnych do szybkiego powrotu do Limy.

— Kiedy uwiadomiono cię o dniu i godzinie? — zapytał umierającego chłopca inspektor, podtrzymując go, ażeby się nie udusił.

— Dziś rano Oviedo przyszedł do mnie i rzekł: „Dziś wieczorem przystąpi ktoś do ciebie i powie słowa: „Dios anki tionrata“ (dzień dobry w języku aimara). Wtedy wsiedziesz na automobil i od tej chwili nie odwrócisz głowy, cokolwiek się stanie. Powiedzą ci, dokąd masz jechać i nie zatrzymasz się, pod grozą śmierci, aż otrzymasz rozkaz.

Libertad w przerywanych i częstokroć niedokończonych zdaniach skreślił dalszy szybki przebieg dramatu.

Okolo godziny wpół do siódmej, ktoś na ulicy dotknął się jego ramienia i wyrzekł słowa: „Dios anki tionrata“. Gdy się odwrócił, ujrzał z przestraczem dziwną głowę, jaką widział tylko na cmentarzu inkasów.

Opanował się jednak i wykonał polecenie. Chociaż nie odwracał głowy, słyszał jednak, co się działo za oknem i zrozumiał, że uprowadzają córkę markiza de la Torre.

W tej chwili żałował swego postępku, lecz za późno było, aby się cofnął.

Na dany rozkaz pojechał przez ulicę San Lorenzo ku Darsena. Tu wyszedł ku nim Huascar i zatrzymawszy na chwilę automobil, zajrzał do wnętrza, poczem kazał jechać dalej i nie zatrzymywać się aż przed hacjendą.

W powozie była cisza zupełna. Czy senorita umarła? Nie słyszał ani jednego słowa, ani jednego westchnienia?!

Gdy stanął przed hacjendą widział, że drzwi były otwarte i że dom wydawał się pusty. Odwrócił głowę instynktownie, i ujrzał trzy poczwary, jedną podobną do głowy cukru, drugą kwadratową, trzecią podłużną; właśnie wynosili z powozu Marję Teresę, którą poznał po luźnym złotym welonie.

Wnieśli ją do domu.

On zaś, Libertad, usiadł i czekał już tylko niecierpliwie na swoją nagrodę, aby mógł jak najspieszniej umknąć w górę i wyjść cało z tej awantury.

W tem nadjechało około trzydziestu jeźdźców w czerwonych punchos, a na ich czele Oviedo i Hucascar. Ten ostatni kazał mu iść za sobą do domu.

Libertad był nie mało zdziwiony, gdy w pierwszym pokoju ujrzał z pół tuzina kobiet, owiniętych od stóp do głów w ogromne czarne welony i trzymających straż przed drzwiami do innego pokoju, do którego z pewnością przyniesiono córkę markiza de la Torre.

— Mammakony! — wykrzyknął inspektor. — Ach wiemy teraz z kim mamy do czynienia!...

...Lecz dalej! dalej!... mów nieszczęsny wszystko, co wiesz, a Bóg ci przebaczy!

— Tak, to były mammakony!... Lecz Bóg zlituje się nademną... Nie wiedziałem, że chcą uprowadzić senoritę, panie markizie!... Ale ona nie będzie stracona!... Nie, Bóg nie zezwoli!... Ura-tujecie ją od tej okropnej śmierci!... Tak... tak... słyszałem, co mówili... nie wiedzieli, że rozumiem ich mowę... nie krępowali się przedemną. Mówili, że Atahualpa będzie miał piękną małżonkę! Że synowie Słońca mogą się cieszyć. I wszyscy upadli plackiem na ziemię, gdy przechodziła.

— Więc widziałeś ją przechodzącą?! — zawołał markiz pochylony nad Libertadem, jak gdyby z jego ostatniego technienia chciał wchłaniać jego słowa.

→ Tak, widziałem ją, senor.. widziałem tę, którą sprzedałem za dwieście srebrników... Ale

ona mi przebaczy, gdy ją wyrwiecie z rąk tych potworów.. bo jest dobrą... bardzo dobrą...

— Jakże ona tędy przechodziła? — indagował gorączkowo inspektor. — Nie była już więc uśpioną?

— Wyszła z pokoju prowadzona przez te czarne kobiety... a te trzy poczwary tańczyły dookoła nich... Ona zdawała się zupełnie bezsilną... musieli ją odurzyć jakimś napojem, a może jakimś silnym zapachem... Widziałem senioritę... była odziana w złociste szaty i owinięta w żółty welon... z twarzy widoczne były tylko jej duże oczy... patrzyła niemi bezprzytomnie... nie widziała mnie... oczy były tak straszne... że upadłem na kolana z przerażenia...

Mammakony wyprowadziły ją z domu... pobiegłem do okna... Tam na ulicy czekali czerwoni kapłani... wszyscy wsiedli na konie... trzymając w ręku pochodnie... mammakony wsiadły na muły, a jedna z nich wzięła na muła przed siebie senioritę, która jak martwa leżała w czarnych ramionach... Oviedo Runtu dał znak do odjazdu... i wszyscy wkrótce znikli na ścieżce, prowadzącej w góry.

Poniesli ją... do świątyni Słońca... bo będzie... małżonką Słońca!... Ale nie!... nie... wy ją uratujecie... i Bóg mi przebaczy!

Zamknął oczy i sądzono, że już skonął, ale po chwili odetchnął znowu i otworzył powieki.

— A któż to ciebie tak urządził? — zapytał Natividad. — Czy chciałeś może obronić swoją panią?

Lecz umierający uśmiechnął się z goryczą.

— Oni! Spotkała mnie zasłużona kara!... Gdy odwróciłem się od okna, był w sali tylko Huascar, Zapytałem: „Czy dasz mi teraz zapłatę? Nie odpowiedział mi ani słowa, lecz wskazał ręką na stół, gdzie leżały wyliczone moje srebrniki... ani jeden więcej. Rzekłem więc: „Za taką robotę to nie dużo! Nie wiedziałem, że chcieliście uprowadzić moją panią“! Wtedy raczył przemówić:

— A gdybyś był wiedział, co bylibyś uczynił?...

Odpowiedziałem mu: — Byłbym zażądał co najmniej czterysta soles! Daj mi czterysta soles, a nic nie powiem nikomu!“.... — Ta odpowiedź zgubiła mnie. Huascar miał rękę prawą ukrytą pod czerwonym puncho; nagle wyciągnął sztylet i pchnął mnie nim silnie w piersi... zachwiałem się, zacząłem uciekać... on mnie dopędził i kłuł mnie nożem, gdzie trafił... wyrwałem się... krzyczałem... błagałem... kłuł mnie wciąż nareszcie,, upadłem tu na progę... sądził, że już umarłem... teraz... umieram... umieram.

Ale markiz i urzędnik policyjny nie czekali aż skończy... usłyszeli wystrzał i rzucili się ku oknu.

Wujaszek Ozoux chodził naokoło samochodu... Zapytali go o Romana i małego Krzysztofa.

— Właśnie ich szukam, odrzekł, a w tejsze chwili ujrzeli z szybkością błyskawicy przeskakujących rampę kolejową i pędzących ku ścieżce górskiej Romana na koniu, a małego Krzysztofa na lamie.

Wołania ich przebrzmiały bez skutku.

Zaledwie jednak zniknęli widzom z oczu, ci usłyszeli od strony drogi prowadzącej do Chorillos tupot kopyt końskich; wkrótce też ujrzeli jeźdźców na drodze.

— Jesteśmy uratowani! — zawołał Natividad. — Niema wątpliwości, że nasi Indianie udali się do Cuzko, albo do Titicaca przez Sierre, muszą się więc spotkać z wojskiem Veintemilli. Potrzeba nam tylko gonić za nimi i uwiadomić pierwszego spotkanego po drodze oficera, a przysła nam zbrojną pomoc.

Zeszli z hacjendy, by rozmówić się z przybyłymi; byli to czterej żołnierze, wysłani z Chorillos. Zaledwie jednak zsiadli z koni, już markiz dosiadł pierwszego konia i pogonił tą samą drogą, którą przedtem pogonił Roman i mały Krzysztof.

— Co za szaleństwo! — krzyknął Natividad. — Spotkają tę dziką bandę.

— Więc cóż należy uczynić zdaniem pana? — pytał błagalnie Franciszek Ksawery, którego los

biednej Marji Teresy obchodził wprawdzie żywo, który jednak przy tej awanturze chętnie byłby się trzymał cokolwiek z tyłu.

— Śledzić ich z daleka — odrzekł Natividad.

— Doskonale! Naturalnie, widzieć, gdzie są i czyhać na nich w przechodzie.

— Opierając się na pewnych wiadomościach, których dostarczymy... Jest jeszcze rząd w Peru, jest jeszcze policja, która nie cofa się przed ofiarą dla dobra publicznego!... — zawołał Natividad.

Mówiąc to, zwrócił się do czterech żołnierzy, których mu przysłano i którzy w danej chwili byli całą siłą brojną pozostałą na wybrzeżu.

W tej chwili przybyli jeszcze z Callao trzej agenci policyjni, którzy odstąpili szefowi swemu swe muły.

Natividad wrócił jeszcze na chwilę do hacjendy, wyrwał kartkę z swego karnetu i zawiadomił na niej prezydenta Veintemillę o uprowadzeniu córki markiza de la Torre przez quichuańskich kapłanów Interaymi.

Była to dla szefa policji Natividadą niemałą satysfakcja. Przed dziesięciu laty biedny Natividad popadł był prawie w niełaskę u Veintemilli, nie chcącego nic słyszeć o raportach swego podwładnego, który podjął się dostarczyć dowodów na „rytualne“ uprowadzenie panny Marji Krystyny d'Orellana!...

Natividad wręczył kartkę jednemu z agentów, który miał natychmiast wrócić do Callao. Dwaj inni otrzymali zlecenie zajęcia się trupem boy'a Libertada, oraz rozpoczęcia śledztwa w okolicy hacjendy. Następnie inspektor Natividad i Franciszek Ksawery dosiedli mułów i na czele małej trupy żołnierzy puścili się w drogę na Sierre.

— Potrafimy jeszcze chyba dopędzić te mammakony! — rzekł inspektor.

— Jakto, mammakony? Więc one tu były? — zawołał stary Ozoux mocno zaintrygowany.

— A jakże, niczego tu nie brakło, senor... byli i czerwoni kapłani i mammakony i trzej potworni strażnicy świątyni, gdyż tylko oni i mamma-

kony mają prawo dotknąć się małżonki Słońca... Ależ senor, oto już od piętnastu lat kładę w uszy naszym władzom, że u tych dzikich wszystko zostało po dawnemu: Czyż nie używają wciąż swego języka? Czy nie jedzą, nie piją, nie żenią się i nie modlą się wedle tego samego kultu, jak przed pięciuset laty?

O gdyby mi byli uwierzyli!... Ale nie, wyśmiano się ze mnie i przeczuwałem, że chcą mnie wylać... a zatem stuliłem uszy i poddałem się, ale podziemnie, pokryjomu pracowałem dalej. Nauczyłem się nie tylko języka quichuańskiego, ale przyswoiłem sobie także język aimara — który jest językiem świętym w okolicy Cuzco i jeziora Titicaca.

Z tych stron wyszedł cały kult inkaiczny... i jestem pewnym, że i teraz Indianie w tę stronę nas prowadzą!... nie do jakiejś świątyni wiadomej wszystkim lecz do swego templu tajnego... tam, gdzie kapłani ich od zwycięstwa Hiszpanów pracują i celebrują bez przerwy!...

Porwanie małego Krzysztofa.

— Ale my ich dopędzimy, nieprawdaż? — zapytał Franciszek Ksawery, nieco zgorzony tem, że inspektor wśród tak strasznych okoliczności mógł cieszyć się swoim tryumfem nad władzą przełożoną.

— Ależ tak, uspokój się senor... w górach natkną się na wszystkich żołnierzy Veintemilli... na wybrzeżu zaś wszyscy naczelnicy gminni są do mojej dyspozycji... O świcie ujrzymy wyraźnie ich ślady... byle tylko ci panowie niecierpliwi, którzy nas wyprzedzili, nie popełnili jakiego głupstwa!

W istocie tuż przed świtem znaleźli się u stóp And, a po dwugodzinnym wypoczynku zaczęli w promieniach wschodzącego słońca wdrapywać się na gigantyczny łańcuch górski.

Już na pierwszym etapie, przeszukując okolicę, spotkali roztratowane kopytami końskimi ogromne kwiaty żółte, rosnące w tej okolicy.

— Oto najwidoczniej ślady przechodzącej tędy kawalkady — rzekł Natividad.

Wkrótce jednak pocziwy inspektor zaczął się poważnie niepokoić.

Cóż to mogło znaczyć, że nie spotkali dotychczas ani Romana, ani Krzysztofa, ani markiza, którzy wszakże znacznie wcześniej od nich musieli przechodzić tą drogą, Muły ich i konie tymczasem pięły się coraz wyżej i wyżej po ścieżkach górskich.

Nie widzieli już nic, prócz szczytów i nieba, i droga stawała się wciąż uciążliwsza i bardziej niebezpieczna; równocześnie przejmujący chłód dawał się we znaki.

Mała eskorta wojskowa zaczęła szemrać i Natividad musiał im przypomnieć, że idą z rozkazu „supremo gubernio“, bo mieli najwidoczniej ochotę pozostać w tyle.

— Czy jesteś pan pewny tych ludzi? — zapytał Franciszek Ksawery.

— Tak pewny, jak samego siebie — odrzekł Natividad.

— Do jakiej rasy należą ci żołnierze?

— Do rasy quichuańskiej, naturalnie... skądżebyśmy wzięli żołnierzy, jeżeli nie u Indjan?

— A czy chętnie dają się rekrutować? — pytał dalej członek Akademji i ku osłupieniu inspektora, wyciągnął swój karnecik z ołówkiem.

— O, co to, to nie, illustre senor!...

...U nas rzeczy te odbywają się bardzo prosto: oto oddział wojska przebiega wsie i zabiera gwałtem wszystkich Indjan, którzy nie zdołali się wczas ukryć. Tych rekrutów oznacza się naturalnie mianem „ochotników“.

— A to doskonale! I nie obawiacie się, że was ci wasi ochotnicy rozstrzelają, gdy im dacie broń do ręki?

— O, senor! Po kilku dniach czują się tak dobrze w swoim zawodzie, że nie chcą więcej

wracać do rodziny. Oni to właśnie stają się potem bezlitośnymi naganiaczami. Zresztą nie źli są z nich żołnierze — tylko leniwi, więc nie chce im się piąć po górach... Ale cóż to?... A! a! Tu oczywiście popas odbyto!

I rzeczywiście, w miejscu, gdzie skała rozszerzała się w rodzaj okragłej terasy, podróżni zobaczyli ślady pobytu wielkiej liczby ludzi; po jednej stronie wzniecono ogień, po drugiej odbyła się uczta; puszki z konserw i resztki żywności wszelkiego rodzaju pokrywały grunt. Nie było wątpliwości, że tu był pierwszy etap eskorty małżonki Słońca.

Nagle Franciszek (Ksałwery zatrzymał się i krzyknął:

— Cóż to? Mój muł nie chce ruszyć z miejsca! Hej! naprzód, głupie bydlę!

Ale muł wciąż nie ruszał się, mimo uderzeń obcasami, Natividad wówczas pochylił się.

— Tu lama leży! — zawołał.

W istocie ciało lamy leżało przed mułem, i zagradzało mu drogę.

Natividad zsiadł z swego muła, podniósł głowę zwierzęcia, znalazł ranę, z której sączyła się krew, w końcu pchnął zwłoki w przepaść i dosiadł napowrót muła.

— Nie ulega wątpliwości, że to lama, na którą wsiadł mały Krzysztof.

Widać, że chłopak popędził zwierzę z całej siły, aby je podniecić, zadał mu nawet dużą ranę na grzbiecie, gdyż lama jest zazwyczaj powolna i leniwa.

— Biedne zwierzę! — rzekł Franciszek Ksałwery, zapisując pilnie w swym karnecie.

— Biedne dziecko raczej! — poprawił Natividad. — Kto wie, jaki los je spotkał.

— Uspokój się pan, panie inspektorze, nie był przecie sam. Roman z pewnością go nie opuścił. A zresztą i markiz tam był.

— To prawda, — odrzekł Natividad — ale kto wie, co się z nimi wszystkimi stało!

w tej chwili na zakręcie ścieżki, okalającej wyskok skalny, znaleźli się oko w oko z markizem na koniu i z Romanem idącym pieszo. Małego Krzysztofa nie było. Roman był blady, a markiz wyglądał jak trup!

— Te łotry zabrali mi oboje moje dzieci! — rzekł markiz z rozpaczą i opowiedział, co się stało.

Markiz miał złego konia i z największym trudem przebył tę mozolną drogę. Czasami musiał zsiadać i ciągnął konia za sobą. Nakóńiec o świcie przybył do okrągłej terasy, gdzie Indjanie popasali. Nie było ich jednak już i daremnie szukał jakiegoś śladu, lub śladu zostawionego przez Marję Teresę.

O, małżonka Słońca musiała być dobrze strzeżona!...

Gdy znalazł ciało lamy zadrzał, lecz nie wątpił, że dziecko jest przy Romanie i piał się dalej tą straszną drogą. Cokolwiek później wydał okrzyk przerażenia, gdyż ujrzał przed sobą Romana, ale samego, bez małego Krzysztofa!... Narzeczony Marji Teresy opowiedział zrozpaczonemu ojcu niesłychane zdarzenie, którego był świadkiem.

Z początku mały Krzysztof pędził z tak szaloną szybkością, że przegonił Romana, tak, iż tenże stracił go z oczu.

Niedługo potem koń Romana potknął się na wąskiej ścieżce i runął w przepaść. Roman zaś uratował się, chwyciwszy się klamry skalnej. Teraz pieszo szedł dalej tą drogą, przeznaczoną dla kóz i mułów. Wnet ujrzał znowu małego Krzysztofa i to właśnie w chwili, gdy wraz z lamą padł na poprzek drogi.

Zawołał chłopca, a ten widocznie usłyszał wołanie, gdyż powstawszy z ziemi, zwrócił głowę ku niemu. Natychmiast jednak począł biedz naprzód, wołając z całej siły: „Marjo Tereso! Marjo Tereso“! Wówczas młody inżynier zwrócił wzrok ku górze i ujrzał ponad swą głowę, na zygzakowatej serpentyńie okalającej skały, całą bandę indjań-

ską wraz z przekłętymi „mammakonami“! Dziecko zbliżało się ku nim, oni zaś widocznie czekali.

Skoro tylko chłopak dotarł do pierwszego Indjanina ze straży tylnej, ten pochwycił go w mig na swe siodło, podczas gdy młody więzień krzyczał w niebogłosy: „Marjo Tereso! Marjo Tereso!“

Roman rzucił się pędem naprzód, lecz był zbyt daleko od nich, a Indjanie pochwyciwszy dziecko, z przyspieszoną szybkością pogonili w górę i wkrótce znikli mu z oczu. Zatrzymał się wyczerpany i wkrótce spotkał się z markizem.

— To nie są złe nowiny — oświadczył Natividad. — Dowodzi to, że Indjanie są niedaleko i że nie możemy stracić ich śladu. Uspokój się pan, panie markizie! Sprawa dla nich straszna!

— Jakto? — zapytał Franciszek Ksawery — czy mógłś pan sądzić bodaj przez chwilę, że oni mogli wygrać sprawę?

— O tak, senor, obawiałem się tego i, na honor najwyższy już czas, abyśmy sprawę wygrali, gdyż nie mógłbym bez trwogi czekać na ostatni dzień uroczystości Interaymi, wiedząc, że mają w swem ręku córkę i syna markiza de la Torre!

— Czy istotnie sądzi pan, że mogliby torturować nawet dziecko?

— Ciszej, ciszej senor — żeby markiz nie usłyszał. Zapewniam pana — ciągnął dalej szeptem — że niema istoty tak pięknej, tak młodej i tak niewinnej, którejby ci dżicy nie chcieli poświęcić swemu bożyszczu!

— Czy być może? — zapytał Franciszek Ksawery.

— Gdybyś pan wiedział, do jakich ohydnych czynów są zdolni, gdy idzie o zlanie krwią wroga kamiennej posadzki świątyni Słońca! Czy pan uprzytomnił sobie, że te trzy groteskowe potwory, które mają w swych rękach „senorite“, spełniają właśnie wyznaczoną im funkcję dostarczania ofiar do ołtarzów „Interaymi“ i sprowadzenia „małżonki Słońca“? ...I te potwory nigdy nie giną dla kultu, zawsze zmartwychwstają! Od najwcześniejszej młodości przeznaczają się ich do tej strasznej

funkcji. Gdzieś w jakimś ukrytym zakątku Andów „mammakony“ preparują trzy czaszki na strażników świątyni. Dzieci te muszą być tego samego dnia urodzone i muszą także zginąć tego samego dnia. Jeżeli jeden z nich ulegnie, dwaj inni muszą iść za nim do grobu.

„Opowiadałem panu o uprowadzeniu nieszczęśliwej Marji d'Orellana, opowiem panu jeszcze o jednej zbrodni rytualnej, o której w swoim czasie doniosłem najwyższej władzy, która jednak kazała mi rzecz całą „stłumić“. Otóż robiąc poszukiwania w pewnej jaskini, z której w pośpiechu ulotnili się Indianie, obawiając się mojego przybycia, znalazłem porzucone na ziemi dwa kawałki ciała zabitego dziecka około pięcioletniego. Przerznięli dziecko jednym cięciem noża na dwie połowy w poprzek i „wypili jego krew!“ I cóż pan sądzi? Czy biedny Natividad nie stracił niemal swej posady za to, że ofiarował się dostarczyć dowodów na to? A jednak miałem słuszność!... O teraz nie odważą się już traktować mnie jako idjotę!... Pan jesteś uczonym, panie Ozoux: czy słyszał pan kiedyś o „świątyni Śmierci“? „Tak? A zatem, czy wiadomo panu, ile ofiar znaleziono dokoła mumji Hujana Capae w świątyni Śmierci? Nie mniej jak cztery tysiące ofiar ludzkich, z których jedne poniosły śmierć dobrowolnie, inne zaś zostały zarznięte lub uduszone na cześć „Śmierci“).

...A w „Domu Wężów“? Czy wiadomo panu, co się działo w „Domu Wężów“?

— Opowie mi to pan innym razem... ale, pozwól pan, że już dziś podziękuję panu serdecznie za tak zajmujące i pouczające wiadomości, senor inspector superior! — rzekł członek Akademii uprzejmie, ale z wyraźną ironią.

Podczas całej tej smutnej i tragicznej wyprawy Franciszek Ksawery Ozoux zachowywał się z godnością, przynoszącą zaszczyt Akademii fran-

*) 4000 ofiar ludzkich, wedle dochodzeń uczonego Sarmiento (Relation M. S. cap. LXV.), padło podczas pogrzebu ostatniego Incasa, zmarłego przed zwycięstwem Hiszpanów.

cuskiej. Żyjąc przez tyle lat życiem bibliotecznym, nie mógł żadną miarą uwierzyć, aby wszystko, co słyszał teraz, było żywą, teraźniejszą rzeczywistością. Zdawało mu się, że bierze udział w ekspedycji naukowej, specjalnie dla niego, Franciszka Ksawerego Ozoux, urzędzonej. I był przekonany, że w rezultacie wszystko skończy się dobrze... Oto zbliżali się właśnie do wybrzeża; przed nimi wznosiły się ślady wspaniałych granitowych łuków, które byłyby w podziw wprawiły Rzymian, resztki drogi inkaicznej, która przerywała Południową Amerykę od końca do końca, od Chili do Ekwadora! Szlachetne pozostałości dawno zaginionej przeszłości Inkasów! I oto ci ludzie chcieli wmówić w niego, że ci właśnie Inkasi z czasów zamierzonych zrabowali im dziś młodą dziewczynę i małego chłopca, aby ich ofiarować swemu bóstwu!... O nie!... nie da się nikomu wziąć na kawał!...

Podróżni tymczasem z Nativadadem na czele musieli się uzbroid w cierpliwość. Jakkolwiek znajdowali się teraz w okolicy zamieszkałej, rzadko tylko spotykali kogoś, ktoby ich mógł poinformować o przejściu kawalkaty indjańskiej. Okolica była jakby wyludnioną z powodu święta Intaraymi, a spotykani z rządu Indjanie odpowiadali na pytania z ogromną nieufnością, ba, nawet wprost wrogo. Na szczęście spotkano kilku Peruwiańczyków, którzy dostarczyli nieco szczegółów o ucieczce Huascara i towarzyszy jego. Cała banda przebiegała galopem wzdłuż wybrzeża, tak, iż przechodnie nie mogli spostrzedz, czy wieźli z sobą kobietę i dziecko. Indjanie zresztą po drodze pokrywali ceremonialne czerwone punchos, które musieli włożyć dla rytualnego przyjęcia „małżonki Słońca“. Huascar wyprzedził ich już o dwie godziny, a wobec napotykaných trudności odległość zwiększała się z każdą chwilą. Natividad zaczął znów niepokoić się. Nie rozumiał zgoła tej taktyki Indjan kierowania się ku morzu, do miasta Canete, gdzie musieli się spotkać z przedstawicielami władzy. Gdy pod wieczór i nasi podróżni wkroczyli do Canete, zastali tam festyn nocny.

z ogłuszającym hukiem petard i pochodem z pochodniami. Połowa krajowców była w stanie nietrzeźwym. Po przybyciu do miasta, Natividad złożył zaraz wizytę gubernatorowi, który go objaśnił, że cała ta manifestacja odbywała się na cześć prezydenta Garcji i potwierdził wiadomość, że Garcia zdobył Cuzko i odparł wojsko republikańskie. Gdy inspektor ze swej strony wyjaśnił mu, w jakiej strasznej sytuacji znajdują się dzieci markiza de la Torre, gubernator zachował się niedowierzająco, twierdząc, iż gdyby Indjanie mieli rzeczywiście na sumieniu taką zbrodnię, nie mieliby chyba śmiałości pokazać się tu w mieście.

— Nie mogli przecie pozostać w górach. — odrzekł Natividad. — Może mają zamiar wsiąść na łodzie i dostać się morzem do prowincji Arequipa, a potem wrócić do Cuzko!

— To bardzo możliwe — rzekł z pospiechem gubernator, chcąc jak najrychlej uwolnić się od inspektora. — Rzeczywiście w przejeździe przez miasto zaopatrzyli się szybko w zapasy żywności i ruszyli w drogę lku Pisco. A zresztą, w czym mógłbym być panu pomocny? Nie mam ani jednego żołnierza, ani jednego policjanta. Zawezwano wszystkich do pomocy przeciw Garcji.

W tejże chwili pod oknami przechodziła dziwna kawalkada, coś w rodzaju procesji tańczącej, śpiewającej i wykrzykującej, a na jej czele Natividad ujrzał czterech żołnierzy ze swej własnej ekspedycji. Wychylił się z okna i wołał na nich, ale ani rozkazy, ani groźby nie skutkowały. Biedny inspektor wyszedł w najsmutniejszym nastroju od gubernatora. Mielizby ci Indjanie wywinąć mu się jeszcze w ostatniej chwili? Nie dawszy czekającym podróżnym żadnych wyjaśnień, zakomenderował tylko:

— Dalej, w drogę do Pisco!

W Pisco markiz i jego córka byli znanymi i szanowanymi osobistościami. Mieli tu wielkie składy fosfatowego guano, mieli magazyny portowe, urzędników i przyjaciół. Markiz postanowił sam rozmówić się z gubernatorem. Gdy przybyli

do miasta przemęczeni i zdenerwowani, zastali ludność w większej jeszcze egzaltacji radosnej z powodu zwycięstwa Garcji, niż w Canete. Markiz zastał jednak magazyny swe opustoszałe — widocznie urzędnicy schronili się przed „radością“ tłumu.

— Do gubernatora! — zawołał markiz.

Lecz gdy czterej podróżni pozostali po ucieczce żołnierzy, weszli w jedyną ulicę, prowadzącą do domu gubernatora, zabarykadował im drogę ogień wzniecony przez Indjan na cześć Garcji. Indjanie palili święcone liście kukurudzy, narażając przytem na niebezpieczeństwo małe okoliczne domki zamożnych mieszkańców, zamieszkujących prowincję.

Szał alkoholu i petard opanował wszystko, co żyło, Indjanie splądrowali fabrykę „pisco“, rodzaj wódki tłoczonej z gron malaga. Podnieceni trunkiem porywali z ognia pałace się liście kukurudzy i obrzucali się nimi, wykrzykując językiem aimara: „Niech zginie licho! Niech zginie licho!“ Parzyli się przytem niemilosierdzie, ale nie zdawali sobie sprawy w swem szaleństwie.

Natividad spostrzegł mieszkańca, stojącego spokojnie na progu swego mieszkania. Twarz jego wyrażała smutek; zapewne obawiał się pożaru swego domu, lub splądrowania swej piwnicy. Zapytał go, czy mógłby widzieć gubernatora.

Mieszaniec odrzekł spokojnie:

— Proszę za mną!

I poprowadził podróżnych długim trotuarem z desek, które zaczynały się palić, na arenę, tj. olbrzymi plac przed kościołem, wysypany wysoko piaskiem. Arena ozdobiona była czterema suchotniczymi palmami. Dokoła jednej z nich krajowcy tańczyli, dorzucając liści do wznieconego właśnie ognia. Z gałęzi palmy zwisało coś długiego.

Mieszaniec wskazał to inspektorowi.

— Oto gubernator! — rzekł spokojnie.

Natividad, Markiz i Roman wzdrygnęli się z przerażenia, lecz mieszaniec szepnął coś do ucha inspektorowi.

— Uciekajmy! Uciekajmy! — zawołał tenże do swych towarzyszy.

— Co to ma być? — zapytał flegmatycznie Franciszek Ksawery.

— To ma znaczyć, że mają go pożreć.

— Nie może być! — rzekł członek Akademii z niewzruszonym sceptycyzmem.

Lecz Natividad nie zwrócił uwagi na ten filozoficzny spokój uczonego. Uciekał co żywo, gdyż miał jeszcze dobrze w pamięci tragiczny koniec braci Guttiery, wyniesionych wołą tłumu do godności prezydentów, a potem przez ten sam tłum zmasakrowanych, powieszonych na katedrze i pożartych przez ludność, która wzniciła ogień na placu publicznym i piekła rozdzielone między siebie kawałki ciał swych prezydentów!*)

Markiz i Roman pospieszyli tuż za inspektorem, Franciszek Ksawery zaś zamykał pochód, powtarzając uparcie:

— O nie, nie dam się wziąć na kawał tym waszym manekinom, zawieszonym na palmie!

KSIĘGA CZWARTA.

Dyktator.

W Arequipa był dzień świąteczny i weselny. Cała ludność miejska i przedmiejska tłoczyła się na wielkim placu publicznym i w ulicach okolicznych, aby uczestniczyć w tryumfalnym powrocie zdobywcy Cuzko, dzielnego generała Garcíę, który swoim zwolennikom przyrzekł, że w ciągu dwóch tygodni zmiecie prezydenta Veintemillę, obie Izby i cały aparat parlamentarny, który, zdaniem jego, zrujnował kraj peruwiański.

*) „Podróż do Peru“ przez Karola d’Ursel, sekretarza poselstwa. Str. 270.

Mieszkańcy Arequipy byli przygotowani na te wypadki; niespokojnego usposobienia, zajmowały się bezustannie polityką, stąd też wychodziły wszystkie rewolucje. Dawno już nie widzieli „zbawcy“ na koniu! A że dziś miał im się ukazać w największej paradzie, włożyli i oni suknie odświeżone. Zwłaszcza kobiety były postrojone, miały róże we włosach, czarowne uśmiechy na ustach, a ręce pełne kwiatów, którymi miały obrzucać bohatera.

Nagle zadzwoniły dzwony, huk armatni rozdarł powietrze, a w ślad za tem odezwały się trąby i rozpoczął się pochód wojska. Na jego czele ukazał się Garcia na wspaniałym koniu, przybrany w uniform błyszczący. Ogromnego wzrostu, przewyższał niemal o głowę generałów i pułkowników, otaczających go. Wielki jego pióropusz o jaskrawych barwach powiewał wesoło. Jechał powoli przy akompaniamencie wojowniczych trąb i bębnow. Był piękny, był promienny, był zadowolony. Podkręcał czarne wasy i ukazywał białe zęby. A buty jego lśniły się jak zwierciadło. Uśmiechał się do dam, przejeżdżając przed balkonami.

Damy wołały go po imieniu: Pedro! i rzucały mu kwiaty odpięte od stanika, albo zasypywały go listkami róż. W ten sposób powoli okrążył plac dwa razy i zatrzymał się.

Wówczas młode dziewczęta, białe ubrane, zbliżyły się do generała i wręczyły mu ogromne wieńce.

Garcia podziękował grzecznie i wetknął sobie wszystkie wieńce na prawe ramię, a potem podniósł ramię wraz z wieńcami i nakazał milczenie.

Powstała uroczysta cisza. Dyktator zawołał gromkim głosem:

— Niech żyje wolność!

Owacyjne aklamacje.

I znów podnosi ramię ozdobione wieńcami. Teraz dyktator wyłuszcza lapidarnie i treściwie swój program.

— „Wolność dla wszystkiego, z wyjątkiem tego, co złe! Czy przy takim programie potrzebny nam parlament?“

— Nie! Nie! Nie! — ryczał tłum w zachwycie. — Niech żyje Garcia! „Muera, muera Veintemilla!“ (śmierć Veintemilli!).

Garcia był mówcą ludowym, chciał dowieść to raz jeszcze, wyprostował się więc na siodle i podniósł znów obwieszone wieńcami ramię, gdy wtem — zdarzenie niegodne bóstwa, które miało czuwać nad wspaniałością obchodu — straszna ulewa spuściła się na bohatera i tłum.

Wszystko rzuciło się do ucieczki. Rycerze, coś w rodzaju huzarów — pospiesznie zeskoczyli z koni, pozdejmowali siodła i włożyli je sobie na głowy. Panie zarzuciły na głowy swe spodnice, w braku parasoli. Garcia był wściekły z tak śmiesznego zakończenia swego tryumfu.

Nie chciał też ustąpić z miejsca i zagroził śmiercią generałom i pułkownikom, którzyby go opuścili. Wszyscy więc zostali pod tuszem. Garcia stał wyprostowany w siodle i patrzył na niebo groźnym wzrokiem, wygrażając mu pięścią.

W tej chwili zbliżył się do niego szef sztabu generalnego, oddał trzykrotny pokłon wojskowy i rzekł:

— Ekscelencjo! Niebo niewinne, niebo nie śmiałoby uczynić tego. To ekscelencja sam rozkazałaś chmurom swymi armatami! Huk armat rozdarł chmury.

— To prawda! — zawołał Garcia — a ponieważ one to narobiły bigosu, rozkazuję im obecnie, aby zło naprawiły!

I natychmiast na rozkaz Garcji ustawiono baterję i puszczano bezustannie ogień ku chmurom, tak długo, aż żywiły się uspokoiły. Wówczas Garcia zawołał stentorowym głosem:

— A więc w tej walce z niebem, miałem ja ostateczne słowo!“*)

* * *

*) Fakt autentyczny, odnoszący się do dyktatora Dara.

Tym zajściom na placu publicznym w Arequipie przyglądali się z okna hotelu Jockey-Clubu markiz de la Torre i inspektor Natividad. Czekali z największą niecierpliwością na koniec tej ceremonii, gdyż pragnęli mówić z Garcia, w którym skupiła się teraz cała ich nadzieja.

W Pisco nabyli pewności, że eskorta „małżonki Słońca“ wsiadła na okręt, który był własnością markiza i służył do przewożenia guana z wysp Chincha do Callas, co było dowodem, że cała ta wyprawa była od dawna przygotowana i że użyto do niej Indjan, napędzonych przez Marię Teresę, a którzy byli doskonale obznajomieni z procedurą magazynową i przewozową.

Cały poprzedni pochód czerwonych przez Sierre miał tylko na celu zmylenie śladu i pociągnięcie markiza i jego ludzi na tak mozolną wyprawę górską. W rzeczywistości zaś podróż była z góry ułożona, miała się odbyć w kierunku wybrzeża, a potem okrętem z Pisco do Arequipy, a stąd do Cuzco. Tę samą drogę obrała więc w Pisco nasza czwórka i przybyła do Arequipy w kilka godzin później, niż „czerwoni kapłani“.

Zastali jednak miasto w takim wzburzeniu z powodu tryumfu Garcji, że nikt nie odpowiedział im nawet na pytania i czystym przypadkiem tylko poznawszy zdaleka Huascara, poszli za nim i odkryli dom, w którym więziono Marię Teresę i jej braciszka.

Był to mały budynek z cegieł na końcu odległej ulicy, już u wejścia do rozległych pól. Dzieśięciu uzbrojonych Indjan w czerwonych punchos, trzymało straż przed domem.

Lecz Roman i markiz nie mogli się nawet zbliżyć do nich, gdyż w oddaleniu 50 metrów stał oddział żołnierzy i bronił im przystępu.

Tak więc żołnierze Garcji czuwali nad „małżonką Słońca!“

— To przechodzi wszelkie wyobrażenie! — zawołał markiz. — Garcia, naturalnie, nie wie, co się tu dzieje, bo inaczej byłby z pewnością wyrwał moją córkę ze szponów tych dzikich ludzi.

Znam go. Ma swoje wady, lecz jest człowiekiem cywilizowanym. Prosił mnie o rękę mojej córki. Idźmy więc do niego!

Lecz Roman nie chciał oddalić się od murów, za którymi znajdowała się jego narzeczona i gdyby go nie powstrzymano, byłby się rzucił i dał się zastrzelić jak zając. Lecz Natividad trzymał go silnie i perswadował mu, że w tym czasie rewolucyjnym jeden trup więcej — cóż to znaczy? I czyż to oswoodzi Marję Teresę?

Roman przyrzekł w końcu, że nie popełni szaleństwa, że ukryje się w łodzi nadbrzeżnej i będzie tam siedział cicho, z oczami wlepionymi w drzwi, strzeżone przez Indian i przez żołnierzy.

Markiz i Natividad udali się do jedyne go hotelu, gdzie mogli dostać trochę żywności i czekali niecierpliwie na przybycie Garcji. Zastanawiając się nad sprawą, markiz nabierał coraz silniejszego przekonania, że Garcia mu pójdzie na rękę. Przedewszystkiem był z nim na dobrej stopie — a potem miał przyrzec mu swoje poparcie w Li mie. Zresztą jako człowiek cywilizowany, Garcia nie mógł pozwolić na rzecz tak ohydną!

Franciszka Ksawerego podróźni stracili z oczu i byli pewni, że na placu tryumfalnym robi swoje zapiski o nowym dyktatorze.

Widząc z okna hotelu, że Garcia zabiera się do odejścia, markiz i inspektor wyszli i postępowali za nim aż do pałacu dyktatora. Tu markiz oddał swój bilet wizytowy i po chwili jeden z podoficerów zaprosił panów, aby poszli za nim.

Poprowadził ich przez szerokie schody pałacowe, na których po jednej i drugiej stronie spali znużeni żołnierze. Potem oficer pchnął jakieś drzwi i wpuścił gości do sypialni eksce lencji, gdzie odbywała się rada nowo mianowanych ministrów. Niektórzy z tych funkcjonariuszy siedzieli na łóżku, inni na stole, a nawet na tłu maku z brudną bielizną. W taki to sposób debatowano tu nad ważnymi sprawami państwowemi.

Garcja przyjął gości nader grzecznie. Był wprawdzie w negliżu, miał rękawy u koszuli pod-

kasane i golił się właśnie, lecz gdy zobaczył markiza, pobiegł ku niemu z miną uradowaną, strzeżując z siebie pianę mydlaną i zawołał:

— Najmocniej przepraszam!... To prostota klasyczna!... Przyjmuję pana w mojej sypialni, jako przyjaciela! Spodziewam się bowiem, panie markizie, że przybywasz pan jako przyjaciel nowego rządu. Pozwoli pan, że go przedstawię!

Rozpoczął przedstawienie od ministra wojny, który siedział na poduszce, a skończył na ministrze poczt i telegrafu, okropnym mieszkańcu, który siedząc na brudnej bieliźnie, żuł liście coca.

— Czy widzieliście panowie mój pochod? Co za żołnierze! Prawda? Jaka armja! A ten deszcz! Czy widziałeś pan, jak się zatrzymał na mój rozkaz?... A coż tam mówią o mnie w Limie, panie markizie?

Mówiąc to wszystko, Garcja badał wyraz twarzy swych gości, chcąc odgadnąć, czy nie są może wysłannikami Veintemilli.

— Przychodzę do władcy Peru! — rzekł markiz uroczyście.

„Władca Peru“ — co oznaczał ten frazes? — pomyślał Garcja, który wiedział o tem, że markiz był przyjacielem Veintemilli.

Natividad zaś przy słowach markiza zaczerwienił się i schylił głowę.

— Jestem stanowczo skompromitowany — pomyślał ze strachem i żałował, że przyszedł.

Lecz markiz ciągnął dalej:

— Przychodzę do władcy Peru, do niego, który może zrobić wszystko, co zechce, do niego, który głosi hasło: „Wolność dla wszystkiego, z wyjątkiem tego, co złe“ — przychodzę prosić go, aby kazał mi oddać moją córkę i mojego synka, których uprowadzono!

— Czy być może! — zawołał Garcja. — Czy to możliwe, żeby panu skradziono dzieci? Ależ to ohydna zbrodnia, a winni muszą być ukarani śmiercią! Przysięgam! — Świadczę się moim przodkiem Pedro de la Vega, który poświęcił swe ży-

cie dla szlachetnej sprawy w walce chrześcijan z niewiernymi w r. 1307.

Markiz wprawdzie w swym klubie zaprzeczał temu, jakoby Garcia pochodził od Pedra de la Vego, lecz teraz nie ważył się protestować.

— I właśnie ci niewierni, zabrali mi córkę, ekscelencjo!

— Tę czarującą senioritę? Co pan mówi? Niewierni? Jacy niewierni?

— Ekscelencjo! Znasz pan moją córkę, Marję Teresę. Indianie quichuasi porwali ją z moich magazynów w Callas... a łotry! bandyci!... porwali ją z nastaniem święta Interaymi, aby ją poświęcić w swej świątyni, jako „małżonkę Słońca!“.

— Co?... Hę?... Co pan mówi? Poświęcić senioritę!... Kto panu to powiedział? To bajka! To rzecz niemożliwa!

— Jestem zupełnie pewny, że ją porwano. Ekscelencjo. Pozwól mi przedstawić sobie pana Natividada, starszego inspektora policji w Callao, człowieka, który równie jak ja, będzie ci oddany, a który wie o wszystkim. Opowiedz pan, co wiesz, panie inspektorze!

Przygnębiony do reszty tem przedstawieniem, Natividad potwierdził słowa markiza, jękając się i mówiąc sobie w duchu:

— Jeżeli Garcia nie napędzi Veintemille, jestem zgubiony!“

— Dlaczego jednak przychodzisz pan do mnie? Porwano panu córkę w Callao!, Czyż ja jestem za to odpowiedzialny? Dotychczas jeszcze Veintemilla jest władcą w Callao, Udaj się pan do niego!

— Ekscelencjo! Moja córka i mój synek są tu! u pana! W tem mieście, w pańskiej stolicy, a dom, w którym ich uwięziono, jest strzeżony przez pańskich żołnierzy!

— To niemożliwe! Musiałbym o tem wiedzieć! Ale gdyby — jakimś zagadkowym wypadkiem, który musi się wyjaśnić — było tak, jak pan mówi, to naturalnie, że miałeś pan słuszność, udać się do mnie, panie markizie.

— Znam pańską szlachetność, ekscelencjo! wiedziałem, że nie napróżno zwrócę się do pana! Dzieci moje są uratowane! Nie zapomnę panu tego nigdy i może pan liczyć na mnie i na moich przyjaciół w Limie, ekscelencjo! A wiesz pan, że mam przyjaciół! I ten pan (wskazując na Natividadą) ma ich także. Cała policja w Callao będzie po pańskiej stronie! Czekamy niecierpliwie pańskiego przybycia!

— Ale teraz ekscelencjo — proszę mi wybaczyć, nie mamy chwili do stracenia... Proszę nam towarzyszyć do bram miasta, a mój majątek i moje życie należą do pana!

— Nie mogę niestety w tej chwili oddać się, bo konsul angielski zamówił się na audjencję — rzekł dyktator z wyrazem ubolewania — ale dam panu mego ministra wojny, który będzie panu towarzyszył i załatwi wszystko tak samo, jak ja, mój drogi markizie!

To mówiąc świsnął na swego ministra wojny, który podniósł się leniwie z poduszki.

— Idź i przekonaj się, co się tam dzieje w okolicy Rio Chili — rozkazał Garcia — i powrócisz natychmiast z raportem.

...Między nami mówiąc panowie — rzekł, zwracając się do markiza — obawiam się, czy sobie z pana nie zażartowali. Ale proszę mi wierzyć, że zrobię wszystko, co będzie możliwe w tej dziwnej awanturze!

Sam otworzył drzwi na znak, że audjencja skończona.

Markiz spiesznie pociągnął za sobą ministra wojny, który ogromną swą szablą uderzył z głośnym stukiem o kamienne schody.

Garcia zamknąwszy za sobą drzwi, zawołał głośno:

— Cóż to znowu za historia? Założę się, że Oviedo Runtu umaczał w tem swoje ręce. Jeżeli to prawda, że porwał senoritę de la Torre, to odbije się to djabło źle na naszej sprawie w Limie!

Wkrótce wszedł, wprowadzony przez oficera angielskiego, konsul angielski, który nie szczędził pochlebstw dla zdobywcy Cuzko.

Gdy Garcia wychwalał swe wojsko, gładki Anglik zauważył:

— Żołnierze nic nie znaczą bez dobrego generała.

Garcia ukłonił się, lecz konsul przehołował, dodając:

— Między nami mówiąc, ekscelencjo, znamy to wojsko quichuańskie i wiemy, że ono nie wiele warte i gdyby nie pan...

— Co? Moje wojsko nie wiele warte? — huknął Garcia.

— Zobacz pan tylko — odrzekł konsul — wszyscy śpią na schodach!

— Moi żołnierze śpią na schodach? — zawołał generał i otworzył drzwi prowadzące na schody.

Ujrzał rzeczywiście całą swoją gwardję przyboczną rozciągniętą na stopniach kamiennych i chrapiącą w najlepsze.

Obudził ją grzmiącym głosem.

Biedni huzarzy zerwali się z błogich snów, a Garcia błąd z wściekłości zawołał oficera i kazał ustawić wszystkich ludzi w sieni.

— Moi żołnierze nie śpią nigdy! — zawołał Garcia, zwracając się do konsula. — Czyż wyglądają jak ludzie senni? Zobacz pan, zabawimy się teraz w gimnastykę, prawda chłopcy! Raz... dwa..., ra-a-z-dwa..., raz-dwa,,, i wszyscy jak jeden mąż skoczą przez okno!

Wyciągnął ramię i wskazał rozkazująco na okno otwarte, umieszczone w ścianie na pięć do sześciu metrów ponad brukiem kamiennym.

Był to widok straszny.. Żołnierze nie zawahali się — wyskoczyli wszyscy, został tylko oficer.

— Cóż to komendancie? Musisz pan towarzyszyć swoim ludziom.

A gdy oficer zawahał się, Garcia chwycił go za barki i wyrzucił przez okno.

Konsul angielski, ministrowie i Garcia, który śmiał się z swego dowcipu do rozpuku, spojrzeli przez okno. Trzech żołnierzy złamało sobie nogi, oficer rozbił sobie czaszkę i zginął na miejscu. Reszta żołnierzy zabrała się do wyniesienia rannych i trupa*).

Ledwie skończyło się to ćwiczenie gimnastyczne, gdy minister wojny powrócił z markizem i inspektorem.

— A więc? — zapytał Garcia, zamykając okno.

— A więc? — odrzekł minister, mrugając porozumiewawczo na swego szefa, mamy do czynienia z czerwonymi kapłanami! Oviedo Runtu* kazał im strzedz tego domu u bram miasta i dał im do pomocy naszych żołnierzy. Zresztą czerwoni kapłani opuszczają już jutro Arequipę i udają się do Cuzko.

— No i cóż dalej? — zapytał Garcia, gryząc nerwowo koniec swych zamasztych wąsów.

— Powiadają, że nie mają najmniejszego pojęcia o porwanej pannie i o małym chłopcu.

— Ekscelencjo! — zawołał markiz, wzbudzony do najwyższego stopnia — trzeba przesukać ten dom z góry do dołu, te łotry ukrywają tam moje dzieci!... Niejmą chwili do stracenia!... Nie może pan pozwolić, aby ci fanatycy zawieźli mi dzieci do Cuzko!... Wiesz pan przecie, do czego są zdolni! Tam przygotowują się straszne rzeczy... Za kilka dni uroczystości Interaymi będą skończone i ohydna ofiara spełniona!... Ojciec i przyjaciel błaga pana!... Generał Garcia nie splami swej sławy tą straszną zbrodnią, która wyrzuciłaby go poza nawias cywilizacji!... Ekscelencjo! idzie tu o życie lub śmierć mojego małego Krzysztofa, ostatniego potomka słynnej rodziny, która od wieków walczyła u boku pańskich przodków... Idzie o życie mojej córki, którą pan kochałeś!

Garcia odwrócił się żywo do „ministra wojny“:

— Musiałeś przecie coś widzieć, czy wnikałeś do tego domu?

*) Autentyczny ten fakt odnosi się do prezydenta uzurpatora Malgagero.

— Ależ Ekscelencjo! to niemożliwe! To miejsce dla nas zakazane! Czerwoni kapłani i mamakony strzegą tam swych świętości, które wiozą z Cajamarki do Cuzko. Gdybym tam wtargnął gwałtem, żołnierze quichuańscy na rozkaz Owieda Runtu zbuntowaliby się przeciw nam!

— Wyjdźcie stąd! — zawołał Garcia ponuro i wyrzucił za drzwi wszystkich swoich ministrów.

— Panie markizie — rzekł, gdy zostali sami — jeżeli to prawda, że dzieci pańskie dostały się do rąk tych łotrów, to jest to rzecz straszna, bo nie mogę nic uczynić dla pana!

Markiz otrzymawszy ten cios, o mało nie zemdlął. Oparł się o ścianę i charczał.

— Panie Garcia — wyrzekł po chwili z trudem — jeżeli ta rzecz się stanie, zapewniam pana, że uczynię pana osobiście odpowiedzialnym przed cywilizowanym światem. Krew rozlana spadnie na pańską głowę. I nigdy Peru nie przebaczy panu tego!

Padł na kolana przed Garcia i łkając wołał:

— Oddaj mi pan moje dzieci!

Garcia podniósł go szybko i otulił ramionami jak małe dziecko, ale markiz wywinął się jak węgorz, stanął na swych krótkich nogach i krzyczał już niemal bez przytomności:

— Puść mnie pan!... puść mnie pan!... jesteś pan generałem morderców!

Garcia zbladł.

Przestraszony Natividad był pewnym, że ma zamiar dosłownie pożreć markiza, gdyż wyraźnie słyszał zgrzytanie zębów.

Markiz de la Torre zwrócił się już ku drzwiom, nie miał bowiem nic do powiedzenia po tej obeldze; był jednak również niemal pewnym, że zostanie z tyłu zaatakowanym i powalonym. Jakże więc zdziwił się, gdy nagle odezwał się szeptliwy, łagodny głos dyktatora:

— Nie odchódź pan jeszcze, panie markizie, nie mogę nic uczynić dla pana, lecz mogę przynajmniej dać panu dobrą radę.

Markiz odwrócił się; Garcia wskazał ręką, aby usiadł.

Ale markiz czekał, stracił już zbyt dużo cennego czasu z tym człowiekiem.

— Mów pan — rzekł niecierpliwie — czas uchodzi!

— Czy masz pan pieniądze? — zapytał nagle Garcia.

— Pieniądze? A to po co? Czy na to, aby... — zamilkł, gdyż spojrzał przypadkiem na Natividada, który poza plecami dyktatora robił mu uspakajające znaki.

Garcia spostrzegł, że poza jego plecami odbywa się pantomina, odwrócił się więc, wziął bez ceremonii Natividada za barki i wyrzucił go za drzwi. Potem usiadł przy stole, podparł głowę łokciami i zaczął mówić:

— Nie mam władzy nad czerwonymi kapłanami, ani nad maimakonami. Słyszałeś pan, co powiedział przed chwilą mój minister wojny: Miejsce, gdzie przebywają ci kapłani i te kapłanki indyjskie, jest święte i niedostępne. Przypuszczam, że to, co pan twierdzisz, jest okropną prawdą. Lecz zechciej pan iść za tokiem mojego rozumowania. Kto strzeże dzieci pańskich? Sądzi pan, że to moi żołnierze? Myli się pan, nie mam w tem najmniejszego udziału. Są to żołnierze wysłani tam przez Ovieda Runtu. Kto jest ten Oviedo Runtu? Spotkałeś go pan zapewne w Limie i sądzisz pan, że jest to sobie zwykły urzędnik banku franko-belgijskiego? Otóż mogę panu odpowiedzieć: Tak i nie. Jest urzędnikiem bankowym, ale jest zarazem tym, przed którym korzą się wszyscy Indianie quichuasncy i wojskowi. Zarabia za kantorkiem dwieście soles miesięcznie, a jest prawdopodobnie królem Quichuasów! Marzy on o odrodzeniu swej rasy i o wykorzystaniu dla swego narodu obecnego przewrotu w Peru. Huascar, który był u pana w służbie, jest jego prawą ręką! W chwili, gdy wszcząłem rewolucję w prowincji Arequipa, Huascar przyszedł do mnie jako wysłannik Ovieda Runtu i ofiarował mi sojusz. A ja nie mogłem ode-

pchnąć jego pomocy! Idę więc ręka w ręka z tym Oviedo Runtu, ponieważ inaczej postąpić nie mogę... Czy mnie rozumiesz, panie markizie? Ja nie stoję panu na przeszkodzie, lecz Oviedo Runtu! On winien wszystkiemu!

— Tak, w istocie, on to przygotował porwanie mojej córki i on je wykonał przy pomocy swych kapłanów!

— Widzi pan!... Niechże pan nie zwala ciężaru odpowiedzialności za tę straszną sprawę na głowę człowieka, który marzy o podniesieniu Peru na szczyt nowoczesnej cywilizacji! Lecz chwilowo mam ręce związane wobec tego człowieka... Obmyślałam wszystkie możliwości i przychodzi mi na myśl, że ten człowiek może kocha córkę pańską i uprowadził ją dla siebie! Lecz cokolwiek bądź, nie mogę nic uczynić, jak tylko udzielić panu rady. Nie zdołasz pan pokonać czerwonych kapłanów, lecz możesz ich pan przekupić. Quichuasów można mieć wszystkich za pieniądze. I dlatego pytałem pana, czy pan masz pieniądze?

— Niestety! nie mam ich przy sobie! — rzekł markiz, który chciwie wchłaniał słowa dyktatora. — Wyjechałem w pośpiechu i wydałem już, co miałem.

— Ale ja mam pieniądze panie markizie!

Gwizdnął w jakiś umówiony sposób i natchmiast ukazał się we drzwiach minister finansów.

— Gdzie jest mój skarb wojenny? — zapytał Garcia.

— Pod łóżkiem, ekscelencjo! — brzmiała odpowiedź.

I minister finansów w swym paradnym uniformie rzucił się jak długi na ziemię, wyciągając z pod łóżka kuferek okuty żelazem i posunął go ku dyktatorowi.

— A teraz wynoś się! Na co czekasz jeszcze?

Gdy zostali sami, generał wyjął z kieszeni mały kluczyk, otworzył kuferek i wydobył paczkę banknotów, którą rzucił na stół.

— Bierz markizie, ile panu potrzeba! Oddasz mi je, gdy będę prezydentem w Limje. Wystarczy na pobalenie wszystkich czerwonych kapłanów. Wierz mi pan!... Do widzenia markizie i dobrego powodzenia!

— Ekscelecjo! — zawołał markiz, oddając tytuł człowiekowi, którego przed chwilą nazwał mordercą. — Nie dziękuję panu, ale gdy mi się to powiedzie...

— Wiem, wiem, markizie, pański majątek, pańskie życie będą na moje usługi!

— Ekscelecjo! jeszcze słowo! Spróbuję przeproczyć także pańskich żołnierzy, którzy strzegą domu...

— Ależ próbuj pan, próbuj!

— A gdy mi się nie uda, ekscelecjo, uprzedzam pana, że mimo, iż jest nas mało, i że z góry przygotowani jesteśmy na śmierć, zaatakujemy kapłanów Słońca i całą ich eskortę. Czy w takim razie mogę liczyć na pańską neutralność?

— Ależ naturalnie! — zawołał Garcia dobrodusznie. — A gdyby przypadkiem udało się panu poturbować trochę Owiada Runtu, potomka Huayna Capac, to możesz pan być pewnym, że nie wezwę pana, za to przed sąd wojenny!

Podali sobie dłonie i markiz wyszedł spiesznie. Garcia zaś ściągnął ramiona i rzekł z ironją:

— Córnka jest stracona, lecz kupiłem sobie ojca! Idjota! Wszystko to nie byłoby się stało, gdyby był mi ją dał za żonę!

Przysięga Huascara.

Markiz połączył się z oczekującym go na ulicy inspektorem i obaj spotkali wnet idącego szybko ku nim Romana. Młody człowiek był blady i wzruszony.

— Co się stało? — zapytał markiz.

Roman rzekł z pośpiechem:

— Spieszcie się! musimy wrócić do hotelu i pówziąć nareszcie jakieś postanowienie. I cóż Garcia?

— Nie może w tej chwili nic zrobić dla nas, lecz dał mi radę i pieniądze. Może jeszcze nie

wszystko stracone. Lecz dlaczego opuściłeś twój posterunek obserwacyjny? Czy się coś stało? Czy oni są tam jeszcze?

— Tak! Jeden tylko człowiek wyszedł z domu strzeżonego przez czerwonych punchos: był to Huascar! Poszedłem za nim, zdecydowany zmusić go do stanowczej rozprawy. Chciałem mu powiedzieć, że jeśli nie odda Marji Teresy, zabiję go jak psa! Lecz widziałem, że skierował na główną ulicę i ku mojemu zdziwieniu wszedł do naszego hotelu. Nie widział mnie, trzymałem się bowiem w ukryciu; słyszałem, że pytał się gospodarza, czy może się widzieć z markizem de la Torre. Gdy się dowiedział, że udałeś się pan do dyktatora i że masz wnet wrócić, rzekł: W takim razie poczekam na niego!

— Dzieci moje uratowane! — zawołał markiz z rozradowaną miną — bo oczywiście, pocóżby Huascar chciał mówić ze mną, gdyby nie miał zamiaru uratować moich dzieci!?

— I ja tak sądziłem — rzekł Roman — lecz człowiek ten miał w twarzy wyraz tak ponury, że się zachwiałem. Boję się tego Huascara odkąd go znam! Nie zapominajmy, że mamy do czynienia z fanatykiem, który ma się za co mścić na Marji Teresie!

— Żona moja, markiza de la Torre — rzekł markiz — która była uosobioną dobrocią, uratowała Huascara od najstraszniejszej nędzy! Nie mogę uwierzyć, aby mógł o tem zapomnieć! — rzekł markiz. — Byłem zdziwiony, słysząc, że przyłożył rękę do tej sprawy, lecz w głębi duszy zawsze miałem nadzieję, że dlatego tylko bierze w niej udział, aby uratować Marję Teresę! Jestem pewny, że to on posłał mi uwiadomienie do klubu, które niestety dostało się do mnie za późno!

— Oby to prawdą było! — rzekł Roman tonem, który wskazywał, że nie dzieli ufności markiza. — Bądź co bądź skoro przychodzi do nas, nie puścimy go, dokąd nie poznamy jego zamiarów i przysięgam panu, że zakłuję go jak barana, jeśli nie da nam zupełnego wyjaśnienia.

— Nie zapominajmy tylko, że oni mają u siebie naszych zakładników!...

Gdy przybyli do hotelu, Natividad ujrzał przyściśniętą do muru i ukrywającą się za małym wózkiem jakąś dziwną postać.

Był to starzec słusznego wzrostu, chudy, kościsty, opierający się drżącą ręką o kij owczarski. Z ramion zwisał mu płaszcz potargany w łachmany, a na bladą twarz i na wybladłe oczy spadały kosmyki siwych włosów.

Natividad zatrzymał się na chwilę przed tem widmem, pytając się w duchu:

— Gdzie ja widziałem tę twarz?

Markiz polecił Romanowi, aby odszukał Huascara i przyprowadził go, sam zaś, udając się do swego pokoju, spostrzegł Natividadą, wpatrującego się w dziwnego starca. Mimowolnie skierował ku niemu swój wzrok i wchodząc na schody, zapytał się również: „Skąd ja go znam? Nie po raz pierwszy go widzę!“

Po chwili do pokoju markiza wszedł Huascar, strzeżony jak więzień przez Romana i Natividadą.

Indjanin zdjął kapelusz i pozdrowił markiza w języku aimara: „Dios anki tiourata“! — co było oznaką wielkiej czci.

Gdy markiz nie odpowiedział na przywitanie i tylko surowo patrzył w twarz jego, Huascar rzekł po hiszpańsku:

— Senor! przynoszę panu wiadomość o pańskiej córce i pańskim synu. Jeżeli Bóg chrześcijański, którego nauczyła mnie czcić moja dobrodziejka, markiza, wesprze ramię Huascara, dzieci pańskie będą panu wkrótce zwrócone cało i zdrowo.

Markiz, mimo głębokiego wewnętrznego wzruszenia, usiłował na zewnątrz okazać się tak spokojnym i panem siebie jak Indjanin. Skrzyżował ręce na piersi i zapytał:

— Dlaczego ty i twoi ludzie popełniliście tę zbrodnię?

— Dlaczego pan i pańscy ludzie dopuścili do uprowadzenia Mariji Teresy? Czy nie byłeś pan uprzedzony? Czy mogłeś pan wątpić, że to Huascar

cię uprzedził? Huascar dla pana zdradził swych braci, swego Boga i swoją ojczyznę! Lecz Huascar pamiętał o tem, że dobra senora pewnego dnia w Callao znalazła nagie dziecko indyjańskie i zapiekowała się niem i przysiągł sobie, że uratuje senioritę od strasznego zaszczytu, jaki ją czeka w cudownej krainie Słońca!

Umilkł. Markiz wyciągnął ku niemu rękę. Indjanin jednak nie przyjął jej.

— Garcia senior — rzekł tylko ze smutnym uśmiechem.

— A mój syn, Huascarze, czy i on będzie mi zwrócony?

— Synowi pańskiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, Huascar czuwa nad nim!

— Tak, tak! Huascar czuwa nad moim synem, czuwa nad moją córką, a jutro może nie będę już miał dzieci!

— Nie będziesz miał dzieci! — odrzekł ponuro Huascar — jeżeli nie spełnisz wszystkiego, co ci powie Huascar! Lecz jeżeli spełnisz, co ci radzi Huascar, przysięgam na święte cienie Atahualpy, który oczekuje córkę swoją, a którego zdradzam ku wieczystemu swemu potępieniu, że seniorita będzie uratowana!

— Więc cóż radzisz nam czynić?

— Nic! I dlatego właśnie przychodzę do ciebie, by ci powiedzieć: Nie czyńcie nic! Zostańcie tu! Nie zbliżajcie się do małego domu strzeżonego przez kapłanów! Nie prześladujcie ich! Nie obudźcie ich czujności! Zostawcie mnie wszystko! Ręczę za dobry wynik, jeżeli dasz mi pan słowo że ani pan, ani pańscy przyjaciele nie pokażą się więcej w pobliżu naszych. Znają was już i mammarykony zacieśniają łańcuch czarny dokoła narzeczonej Słońca, gotowe zabić ją, gdy ukażą się obce twarze i ofiarować ją Atahualpie martwą, skoro nie będą mogły ofiarować żywej! Nie ruszaj się pan z tej oberży! Jeżeli dasz mi pan na to słowo, mogę ci przyrzec już teraz, że dziś około północy przyprowadzę ci twego ukochanego Krzysztofa, a nawet i córkę swą będziesz miał w swych objęciach!

Markiz zdjął ze ściany mały krucyfiks i podał go Huascarowi.

— Markiza — rzekł — wychowała się w naszej religji: przysięgnij mi na Chrystusa, że uczynisz coś przyrzekł:

Huascar wyciągnął rękę i złożył przysięgę.

— Co do mnie — rzekł do markiza — żądam tylko pańskiego słowa honoru!

— Masz je! — odrzekł markiz. — Oczekujemy cię tu o północy!

— O północy! — powtórzył Huascar i włożywszy kapelusz, wyszedł.

— Panowie — rzekł markiz — dałem słowo i musimy je dotrzymać. Wierzę, że Huascar nas uratuje. Nie możemy wątpić w jego szczerłość, po dwukrotnem ostrzeżeniu, które mi dał w Cajamarce i w Limie.

— I ja tak sądzę! — rzekł Natividad.

— A ty, co sądzisz, Romanie? Jakie na tobie zrobił wrażenie?

— Złe! — odrzekł młodzieniec. — Lecz być może, że się mylę. Nienawidzę go i czuję, że i on mnie nienawidzi. Nie możemy więc wydawać sądów o sobie. Tymczasowo jesteśmy jego więźniami!

Natividad w tej chwili otworzył okno i zawołał głośno:

— Ależ zapewniam pana, że widziałem już gdzieś tę twarz!

A markiz wychyliwszy się z okna odrzekł:

— I mnie również nie jest ona nieznaną!

Roman zaciekawiony przystąpił bliżej i ujrzał stojącego na placu kościstego starca.

Oparty o swój kij, to przystawał, to ukrywał się w sposób dziecinny, to za wózkami, to za krzakiem, śledząc przytem z natężoną uwagą Huascara, który trzykrotnie zawracał z drogi i przyglądał się temu człowiekowi.

Nagle markiz zbladł, cofnął się od okna i rzekł:

— O! poznaję tego człowieka! To ojciec Marii Krystyny d'Orellana!

Natividad w tej chwili wydał okrzyk:

— Tak, tak, to on! Znaliliśmy go w Limie wszyscy, zanim spotkało go to nieszczęście!

Zjawił się przed nimi jak widmo, aby im przypomnieć, że i on miał córkę piękną i kochaną, która znikła przed dziesięciu laty podczas świąt Interaymi.

Dziś markiz nie miał już wątpliwości co do tego faktu. Roman zaś zbiegł szybko na dół, pobiegł za starcem, który zwrócił się w stronę domu strzeżonego przez Indjan, a dopędziwszy go, położył mu rękę na ramieniu.

Starzec odwrócił się i zapytał głosem bezdzwięcznym i słabym:

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym dowiedzieć się, dlaczego pan śledzisz tego człowieka? — zapytał wskazując na sylwetkę Huascara znikającą w oddali.

— Jakto? nie wiesz pan? — odrzekł starzec zdziwiony. — Czy nie wiadomo panu, że zbliża się główny dzień Interaymi i że ten człowiek dowodzi eskortą, która wiezie moją córkę na ofiarę wielkiemu Atahualpie? Ale tym razem nie pozwolę, aby ją zabili, uratuję ją i powrócimy do Limy, gdzie czeka na nią jej narzeczony. Gracias señor!

I oddalił się dużymi krokami, opierając się o swój kij.

— To obłąkanie! — zawołał Roman głośno i chwycił się rękami za głowę, jakby w obawie, aby i on rozumu nie postradał. Cierpiał teraz niewymownie — bardziej niż podczas szalonej gonitwy za quichuasami, bardziej nawet niż w chwili, gdy dowiedział się o porwaniu. Ta nadzwyczajna sytuacja, która mu nakazywała pozostawać tu bezczynnie, o dwa kroki od domu, gdzie więziono i torturowano jego narzeczoną, napęłniała go wściekłością i rozpaczą. Nie móc niczego przedsięwziąć, lecz siedzieć tu i czekać na dobrą wolę, a może i na zdradę Huascara!... I to miało trwać aż do północy!... Nie..., nie wytrzyma tego krew w nim się burzy... złamię słowo markiza... rzuci

się ku strzeżonemu domowi, przedostanie się przebojem przez wał sfanatyzowanych dzikich i padnie bodaj skrwawiony i umierający u stóp Marji Teresy, by przy niej oddać ostatnie tchnienie!

I ściskając kurczowo w kieszeni rewolwer, po-pędził jak szalony.

— Dokąd senor, dokąd? — zapytał Huascar, który nagle stanął przed nim i pochwycił go za ramię.

— Wiesz dobrze, dokąd idę! — rzekł hardo Roman, i chciał przejść.

Lecz Huascar przeszkodził temu.

— Wróć pan do hotelu — rzekł spokojnie. — Za dwie godziny przyprodzę markizowi syna. Ale nie rękę za życie pańskiej narzeczonej, jeżeli postąpisz pan o krok dalej.

Głos Huascara drżał, gdy wymawiał słowa „pańskiej narzeczonej“.

Roman spojrział w oczy Indjanina i wyczytał w nich nienawiść. „Marja Teresa jest zgubiona“! pomyślał z rozpaczą. Lecz nagle jakiś promień rozświetlił przepaść, w którą miał runąć wraz z Marją Teresą.

— Huascarze — rzekł tonem uroczystym — jeżeli uratujesz córkę markiza de la Torre...

Zatrzymał się, gdyż serce uderzało mu niby młotem o klatkę piersiową, a tych kilka sekund milczenia, które poprzedziły to, co miał powiedzieć Huascarowi, wydawało mu się wiecznością. Wyrzekł nakoniec te słowa, które Huascar przyjął z posagowym spokojem: „Jeżeli ją uratujesz, przysięgam ci na Boga, że Marja Teresa nie będzie moją żoną“.

Huascar milczał przez chwilę, potem odrzekł:

— Uratuję ją! A teraz wróć do oberży! Będzie tam o północy.

I odszedł, nie oglądając się już więcej za Romanem.

Ten ostatni wracał powoli i niemal mechanicznie na Plaza mayor, a w głowie miał zamęt taki, że nie wiedział, co się z nim działo. Myślał tylko o tem, że teraz doprawdy uratował Marję

Teresę i z bolesną rozkoszą uprzytomniał sobie swoją ofiarę. Nie słyszał tupotu koni, nie widział zbliżającej się kawalkady i dopiero gdy jeden z jeźdźców potrącił go silnie, podniósł głowę. Ujrzał otoczony huzarami paradny czworokonny ekwipaż, a w nim dwóch ludzi: Generała Garcia w stroju galowym z wszystkimi swymi orderami i galonami, obok niego zaś w czarnym fraku i niepokalanej białości plastronie i krawacie spokojna i tajemnicza postać Ovieda Runtu. Gdy Roman poznał tego ostatniego, zapomniał o wszystkim i chciał się rzucić ku koniom, lecz tłum go odepchnął i porwał z sobą. Wkrótce nie wiedząc sam, jak się to stało, Roman znalazł się w jakiejś sali teatralnej. Chciał wyjść, lecz nie udało mu się.

Garcia, wychylający się z łoża prezydenta, otoczony całym swym sztabem generalnym, witał tłum, który oklaskiwał go entuzjastycznie.

Jakaś artystka paryska z „Comedie Francaise“ recytowała z patosem po hiszpańsku poemat, w którym słaawiła Garcie, jako „zbawcę ojczyzny“, a równocześnie przed ustawionym na scenie biustem, który już był reprezentował kilku generałów, a obecnie symbolizował Garcie, defilowali wszyscy artyści, składając u podstawy wieńce i palmy.

Gdy skończyła się ta apoteza, odezwały się tłumne okrzyki: „Niech żyje Garcia!“ a w ślad zatem zabrzmiały okrzyki: „Niech żyje Huayna-Capac-Runtu“!

W łożu prezydenta zaś generał Garcia przygarnął do swej gwiazdzistej piersi niepokalany plastron urzędnika banku franco-belgijskiego i ucałował przed całą publiką zacnego potomka królów Inkasów.

Zachwyt tłumów nie miał granic. Lecz przedstawienie skończyło się. Roman zrozumiał, jak bezowocne musiały być starania markiza uzyskania pomocy dyktatora. Nie on tu był panem, lecz Oviedo. Jedyłą nadzieją Romana był teraz Huascar.

Gdy Roman dostał się do hotelu była godzina jedenasta.

Zastał markiza i Natividadą niepokojących się o niego. Co do wujaszka Franciszka Ksawerego, nikt go nie widział od przybycia do Arequipy i nikt nie troszczył się o niego.

Roman opowiedział o swoim spotkaniu się z Huascarem i dodał tylko, że ponowił swoją obietnicę i to w taki sposób, że tym razem mógł mu uwierzyć.

Trzej mężczyźni siedzieli teraz przez całą godzinę milcząco przy oknie i wyczekiwali północy. Nakoniec zegar na kościele wydzwonił dwanaście uderzeń. Latarnie na placu przed hotelem były pogaszone, lecz noc była jasna i można było wyraźnie odróżnić poruszające się cienie. Lecz żaden z nich nie zbliżał się w stronę hotelu.

Kwadrans na pierwszą!... Nikt z czekających jeszcze słowa nie wymówił.

Pół do pierwszej!... Markiz westchnął z jękami prawie. O trzy na pierwszą Roman zbliżył się do kopczącej lampy na stole, przejrzał dokładnie swój rewolwer, nabił go i rzekł:

— Huascar zdradził nas. Zwiódł nas, jak dzieci. Przyszedł tu w jasny dzień, nie obawiając się swoich i nie ukrywając się przed nimi. Oczywiście był z nimi w zмовie. Udało mu się trzymać nas tu uwięzionych przez dwie godziny, za jaką cenę, o tem się wnet dowiemy. Nie mam już nadziei. Marja Teresa jest stracona. Lecz dostanę się do niej, albo zginę przed nią.

Wyszedł.

Markiz nie wyrzekł słowa, lecz uzbroił się również i wyszedł za Romanem. Natividad uczynił to samo.

Gdy weszli w uliczkę, wiodącą do domu strzeżonego, Natividad zapytał markiza, co zamysła uczynić przeciw pięćdziesięciu uzbrojonym ludziom.

— Pierwszemu czerwonemu puncho, którego spotkam, ofiaruję tysiąc soles, aby porozmawiał ze mną, a gdy ich nie przyjmie, lub nie zrozumie

o co idzie, wypalę mu w łeb! Co potem będzie, zobaczymy.

Lecz gdy uszli jeszcze sto kroków, zobaczyli, że dom, do którego zdążali, nie był już strzeżony i brama była otwarta.

Straszne przecucie ścisnęło mu serce. Wniknęli do domu. Wszędzie pustki. Tylko w jednej z izb uderzył ich ten sam silny zapach, który już znali z hacjendy, w pierwszej pogoni za eskortą.

Markiz wybuchł głośnym płaczem, łkał i krzyczał naprzemiennie, wołając córkę i syna...

Wtem jakiś hałas powołał go napowrót do wyjścia. Roman pochwycił i przytrzymał tu gospodarza tego domu, mieszańca, który był pijany i drżał z przestrawu. Groźba śmierci wróciła mu jednak przytomność i opowiedział, co wiedział:

Około godziny jedenastej zajechał przed dom zamknięty powóz, wsadzono kogoś do powozu, a jakieś kobiety i czerwone punchos otoczyli powóz i odprowadzili go pieszo na dworzec. Mieszaniec z ciekawości poszedł za nimi, lecz na dworcu kolei, jakiś Indjanin, którego nazywali Huascarem, dał mu pieniądze, aby się oddalił i żądał przyrzeczenia, że przed rankiem nie wróci do domu.

— Łotr! — zawołał Roman. — Wiedział, że przyjdziemy tu! A teraz szybko na dworzec!..

Lecz gdy przyszli na dworzec, dowiedzieli się od drzemiącego urzędnika, że grupa Indjan odjechała o godzinie jedenastej specjalnym pociągiem, zamówionym już poprzednio przez Owieda Runtu. Najbliższy pociąg wyjechać miał dopiero rano, nie pozostało zatem nic innego, jak tylko przeczekać noc.

Jakaż to straszna noc była dla naszych trzech podróżnych! Spędzili ją błądząc po ulicach.

Markiz wpadł w stan blizki obłąkania, Roman wrócił do pustego domu i rzuciwszy się na podłogę w izbie przesiąkniętej dziwnym zapachem, oddał się bezgranicznej rozpaczce. Natividad zaś z współczucia i zmęczenia był nawpół żywy, tak, że nad ranem trzy widma wsiadły do pociągu.

Pociąg dochodził tylko do Sicuani, stąd zaś automobile odwoziły gości do Cuzko.

W chwili, gdy wychodzili z dworca i mieli wsiąść do samochodu, podszedł ku nim Franciszek Ksawery Ozoux, spokojny, pogodny i wypoczęty.

— Oho! Gdzieżeście się podzieli? — zapytał łagodnie uczony. — Straciłem was z oczu w Arequipie, ale pomyślałem sobie: Znajdziemy się z pewnością tam, gdzie będą czerwone punchos. Poszedłem za jednym z nich i ujrzałem mały domek strzeżony przez żołnierzy. Pomyślałem sobie: „Tam muszą więzić naszą biedną Marję Teresę i naszego małego Krzysztofa“.

...Tu więc czekam na was. Gdybyście nie przyszli, myślałem, że wyprzedziliście czerwonych punchosów i wyjechaliście wcześniej. Odjechałem więc o jedenastej wraz z nimi. Wprawdzie robiono mi trudności, bo to pociąg „specjalny“, ale za dwa soles urzędnik puścił mnie. Gdy po przybyciu do Cuzko nie zastałem was, byłem pewny, że przyjedziecie rannym pociągiem, przyszedłem więc na dworzec!

Biedny wujaszek nie przeczuwał, że w tej chwili markiz i Roman mieli ochotę rzucić się na niego i udusić go za ten ohydny spokój i dobry humor.

— Dokąd powieźli Marję Teresę? — zapytał Roman brutalnie, nie myśląc o tym, że może wujaszek mimo woli lepszą obrał drogę.

— Dokąd? Czyż nie wiecie? — Do świątyni Węża.

— Do świątyni Węża? — zawołał Roman, chwyciwszy gwałtownie za rękę inspektora. — Co pan wiesz o tem?

— Świątynia Węża — odrzekł, wzdrygnawszy się Natividad — to już przedsiomek śmierci!

W świątyni Węża.

Marja Teresa otworzyła oczy. Z jakiegoż to snu obudziła się? W jaki sen zapadła na nowo?

Lecz żalсны głos Krzysztofa przywiódł jej do przytomności całą straszną rzeczywistość. Wyciągnęła ku niemu ramiona, lecz nie czuła ani jego pocałunków, ani lez.

Powieki jej podnosiły się z trudem i nie mogły zrzucić jeszcze z siebie ciężaru magicznego snu, który je przytłaczał. Dokoła bladej jej twarzy spływały rozwiane ciemne włosy; próbowała odechnąć głębiej; była jak topielica niezupełnie jeszcze martwa, która powraca na powierzchnię wody, do powietrza i życia.

Tak i ona wracała z krainy cieniów i snów, w które pogrążała ją niemal momentalnie saszetka zawsze przygotowana i ukryta w dłoni jednej z trzech żywych, potwornych mumji.

Mammakony miały również swe magiczne kadzidła, które zapalały, gdy chciały pogrążyć ją w nieruchomość.

Gdy w kosztownych wazach ze złota i "drogich kamieni zapalały korę drzewa sandja, silniej woniejącą niż kadzidło i głębiej usypiającą niż opjum, „małżonka Słońca“ zamieniła się w posąg, a wówczas mogły bez przeszkody śpiewać i odprawiać swój dziwaczny kult.

Dziwna rzecz! W tym stanie nieświadomości senna jej wyobraźnia przenosiła ją zawsze do kantoru w Callao, do chwili, gdy usłyszawszy przez okno głos Romana, opuściła na ziemię grubą zieloną księgę rachunkową i pobiegła ku niemu... Lecz gdy zbliżyła się do okna, nie widziała Romana, tylko trzy potworne mumie wyrosły nagle przed nią i jakieś kościste, brutalne ręce zamknęły jej usta... Gdy się budziła z letargu, zdawało jej się, że to był sen, lecz gdy ujrzała rzeczywistość, nie wiedziała już, czy właśnie ona nie była snem.

Gdy Marja Teresa tym razem otworzyła oczy, była w świątyni Węża.

Wiedziała już o tem, że w dniu, w którym obudzi się w tem miejscu, będzie już blizką śmierci, gdyż tu miano ją oddać do rąk przedostatniego z królów Inkasów, Huayna Capac, który ją

poprowadzi do Atahualpy, do cudownej krainy Słońca.

Pouczyły ją o tem mammakony w chwilach przytomnych, które jej zostawiono, aby ją nakarmić i uświadomić o obowiązkach „małżonki Słońca“.

Miała nadzieję z początku, że postrada zmysły: popadła w tak silną febrę w ramionach swych dręczycielek, że sądziła, iż dusza jej ułotni się, zanim ciało jej poddadzą męce.

Ale mammakony miały lekarstwo na tę febrę. Podawały jej do picia jakąś czerwoną wodę, a gdy piła, śpiewały: „Gorączka owionęła cię swym jadem. Nienawidzimy twą rasę i przysięgłyśmy, że nie udzielimy wam nigdy tajemniczej wody, która leczy jadłowitą febrę. Lecz miłość nasza dla małżonki Słońca silniejszą jest, niż nienawiść ku białym. Pij w imieniu Atahualpy, który cię czeka!...

Podczas całej swej kilkudniowej podróży nie widziała znajomej twarzy. Dopiero tu w świątyni Węża, ujrzała Huascara, który zbliżył się ku niej, niosąc coś osłoniętego welonem.

— Przychodzisz ratować mnie! — zawołała, nie zważając na otoczenie. Lecz Huascar odrzekł: „Jesteś własnością Słońca, lecz zanim się z nim połączysz, doznasz wielkiej radości: Oto możesz uściskać twego braciszka“.

Podniósł zasłonę i ujrzała śpiącego Krzysztofa. Chciała rzucić się ku niemu, lecz Huascar cofnął się, gdyż nie wolno mu było dotknąć się małżonki Słońca.

Trzej potworni strażnicy świątyni dali znak mammakonom i jedna z nich przyniosła Marji Teresie dziecko.

Uścisnęła i ucałowała je i po raz pierwszy zapłakała, odkąd była uwięziona. Łzy jej obudziły dziecko.

— Skąd się tu wziął? Wszak nie zrobicie mu nic złego? — zapytała.

A gdy chłopiec uwieszony u jej szyi szlochał i powtarzał wciąż: „Marjo Tereso, Marjo Tereso!“

Huascar rzekł dobitnie, kładąc nacisk na każde słowo:

— Stanie się, jak brat twój zechce. Chcę go oddać ojcu. Niech sam rozstrzyga o swym losie; niech uważa na swoje słowa. Oto wszystko, co mogę uczynić dla was, Świadczę się strażnikami świątyni.

Trzy potworne czaszki zakołysały się twierdząco.

Marja Teresa podniosła swą piękną twarz, na której malowała się nowa trwoga.

— Cóż to znaczy: niech uważa na swoje słowa? Czyż małe dziecko umie ważyć swoje słowa?

Lecz Huascar zwrócił się do chłopca i zapisał go:

— Powiedz, czy chcesz pójść ze mną? Odprawdę cię do ojca!

— Chcę zostać z Marją Teresą! — odrzekł mały Krzysztof.

— Dziecko rozstrzygło — rzekł Huascar — pozostanie przy tobie. Tak nakazuje reguła, nieprawdaż?

I znów trzy poczwary poruszyły swe ohydne czaszki.

— Huascarze, na miłość boską, przypomnij sobie moją matkę, miej litość nad nami!...

Ale Huascar pozdrowił strażników i wyszedł ze świątyni.

Marja Teresa, przyciskając do serca małego Krzysztofa, pytała go w rozpacz:

— Nieszczęsne dziecko! Pocoś tu przyszedł?

— Aby ci powiedzieć, żebyś się nie obawiała... Tatuś i Roman szukają cię... są już blisko i uratują nas. A jeżeli nie... jeżeli umrzesz, to i ja chcę umrzeć z tobą!

I płakali oboje i całowali się, a twarze ich ociekały od wspólnych łez.

Potem znów mammakony poustawiały swe trójnogi, swe święte wazy i pozapalały sandja. I Marja Teresa z Krzysztofem pograżyli się we śnie, trzymając się w objęciach.

Lecz teraz, gdy się obudziła Marja Teresa w świątyni Węża, nie czuła już pocałunków, ani lez Krzysztofa, słyszała tylko, że krzyczał i wołał ją... Otworzyła oczy i podniosła się w fotelu, Ujrzała dziecko nagie zupełnie, wijące się w rękach mammakon. Przerazona chciała biedz na pomoc, lecz mammakony otoczyły ją, dowodząc, że dziecku nic złego się nie stanie, że go tylko odziewają wedle przepisu w skórę nietoperza i że i ona włoży teraz tę należną jej szatę. Przytem po raz pierwszy nazywały ją „coya“, to znaczy „królowa“.

Wzięły ją w swe ręce, jak lalkę, zdjęły z niej suknię złocistą, w którą odziały ją jeszcze w hacjendzie i poczęły ją nacierać oliwą i wonnymi ziołami, oraz perfumami.

Były to kobiety silne i piękne i wcale nie groźne. Dwie z nich miały umrzeć z Marją Teresą, aby „przygotować dla niej komnatę ślubną“ w pałacu Słońca. I one nie rozpaczały wcale, lecz przeciwnie, były szczęśliwe i wesołe. Wychwalały przed Marją Teresą rozkosze, jakie ją czekały i zazdrościły jej, że była wybrana między wszystkimi.

Podczas całej tej manipulacji jedna myśl uspakajała Marję Teresę. Ojciec jej i Roman wiedzieli, gdzie się znajduje i w jakim celu ją wprowadzono. Jeżeli dotychczas nie przybyli jeszcze, to pewnie dlatego, że chcieli wszystko przygotować. Była pewna, że ta rzecz straszna nie stanie się, że ją uratują.

Lada chwila oczekiwała zjawienia się swych wybawców wraz z policją i wojskiem. I wszyscy ci dzicy uciekną w góry, i skończy się ten straszny sen. Myśl ta dodawała jej siły i pozwalała jej bez oporu poddać się manipulacjom tych kobiet.

Mammakony śpiewały: „Śmierć puka do bram ziemskich pałaców i złe duchy roztańczają swe skrzydła nad naszymi lasami, lecz u boku Słońca i tarczy księżycy, która jest jego siostrą i pierwszą żoną*), żyć będziesz wiecznie, wiecznie“!

*) Pierwszą żoną Inkasa była zawsze jego najstarsza siostra.

I włożyły na pachnące włosy Marji Teresy królewską zastłonę, której frenzle zwieszały się aż do oczu, nadając jej piękność hieratyczną.

Zadrżała, gdy wciągnięto jej na nągą skórę odzienie ze skóry nietoperza... Teraz wsunęły jej na ramię... bransoletę Słońca!

Patrząc na nią przypominała sobie Marja Teresa z goryczą ową chwilę szczęśliwą, gdy po raz pierwszy ujrzała tę bransoletę, przypominała sobie wesołe żarty z przerażenia ciotki Agnieszki, sceptyzm markiza, uwagi zakochanego Romana! Gdzie byli teraz ci ludzie drodzy jej sercu? Dlaczego nie przyszli jeszcze po nią? Na co czekali? Wszak to czas najwyższy!

Oddano jej dziecko, odziane podobnie jak ona, a Marja Teresa otuliła je ramionami i załkała głośno.

— Nie płacz siostrzyczko, nie płacz — prosił Krzysztof — oni przyjdą, z pewnością! Cicho!... czy słyszysz?

W istocie poza murami powstał jakiś szmer, a po chwili weszła gromada smutnych ludzi, którzy usiedli dokoła Marji Teresy i zaczęli grać na fletach, zrobionych z kości zmarłych!

Dziwna to była muzyka, stokroć smutniejsza od śpiewu „de profundis“ i czoło Marji Teresy pokryło się zimnym potem..

Z ogromnym wysiłkiem woli zaczęła uprzątnąć sobie sytuację. Gdzie znajdowała się obecnie? Oto w „świątyni Węża“.

Słyszała od ciotki Agaty o tej świątyni i wiedziała, że była ona w Cuzko. Wiedziała, że cyklopie mury tej monumentalnej budowy składały się z olbrzymich sześciobocznych kamieni, nie spojonych innym cementem, prócz własnego ciężaru.

Spojrzała dokoła siebie i poznała, że opis ten odpowiadał rzeczywistości. Była więc w Cuzko, w gmachu dobrze znanym, odwiedzanym przez podróżnych, historyków i archeologów... w gmachu, do którego każdy mógł wejść, z którego mógł wyjść dowolnie. A zatem!... Czegoż miała się oba-

wiać?... Co oznaczała ta komedja?... Dlaczego nie przychodzą po nią?...

Lecz oto słyhać znowu szmer... Tam poza złocistą kotarą, ciągnącą się przez całą szerokość sali, słyhać jakby kroki i głosy ludzkie.

Pochyla się i pyta dwie mammakony, siedzące u stóp jej. Odpowiadają, że wkrótce tu wejdzie król Huayna Capac, aby ją odprowadzić do Atahualpy... Co one bredzą?... Wszak król Huayna nie żyje już od wieków, jakże może przyjść po nią?

— A co się stanie z tym małym chłopcem? — pyta Marja Teresa.

Lecz mammakony odwracają głowy i nic nie odpowiadają. Marja Teresa tuli silniej do piersi swej małego Krzysztofa, obsypując go pocałunkami i oblewa łzami. A dziecko pociesza ją: „Nie płacz siostrzyczko! Oni przyjdą!“ A smutni gracze wydobywają bezustannie ponure pogrzebowe tony z fleatów, zrobionych z kości zmarłych!...

Lecz nagle rytm się zmienia; tony przechodzą w dźwięki przeraźliwe, niemal rozdzierające uszy. Równocześnie rozsuwa się kotara i ukazuje się ogromna sala, przepelniona tłumem, zalegającym ziemię w zupełnem milczeniu. Poza tłumem na stopniach z czerwonego porfiru stoją trzej strażnicy świątyni o potwornych czaszkach, a o stopień niżej wyprostowany Huascar skrzyżował ramiona nad swym czerwonym puncho. Na niższym jeszcze stopniu leżą również w czerwonych szatach i czapkach z nausznikami cztery „strażnicy ofiarni“. Głowy ich były tak nisko pochylone ku ziemi, że twarze były niewidoczne.

Gdy Marja Teresa ujrzała ten tłum ludzi, była pewną, że znajdzie się między nimi ktoś, co ją uratuje. Wstała więc wraz z dzieckiem, i krzyczała rozpaczliwie: „Ratujcie nas! Ratujcie nas“. Odpowiedział jej tylko stugębny okrzyk: „Muera la Coya! Muera la Coya!“ (Śmierć królowej)!

Mammakony pochwyciły ją i zmusiły, aby usiadła napowrót, co uczyniła widząc, że wszelki opór był nadaremny. Była teraz pewna, że ona

i dziecko jest stracone. Pochyliła się tylko do mamakon i rzekła szeptem: „Zapalcie przynajmniej wasze zioła, abyśmy stracili przytomność i nie cierpieli“! Lecz obie mammakony, które miały umrzeć odrzekły: „Musimy umrzeć z całą przytomnością umysłu i serca, ażebyśmy umysł i serce odzyskały, gdy odżyjemy na nowo“.

Teraz już i pogrzebowi fleciści umikli i zapanowało straszliwe milczenie. Wtem odezwał się głos Huascara: „Niechaj nastanie milczenie w świątyni Węża! Zmarły król nadchodzi! Słuchajcie!“

Jak gdyby trzęsienie ziemi wstrząsnęło cyklopie mury, a równocześnie usłyszano głuchy huk grzmotu, lecz nie z nieba, ale z wnętrza ziemi pochodzący.

W tej chwili mały Krzysztof zadrżał w objęciach siostry i szepnął jej do ucha: „Spojrz Marjo Tereso, spojrz na tych czterech kłęczących czerwonych kapłanów, tuż pod Huascarem!“ Marja Teresa podniosła głowę, spojrzała w wskazanym kierunku i zadrżała także. Gdy pod wpływem przerażenia, wywołanego hukiem i wstrząśnieniem, cały tłum padł twarzą na ziemię, cztery głowy w czerwonych czapkach z nausznikami podniosły się i pod włosami, spadającymi im na twarze, pomalowane na ciemno, małżonka Słońca poznała swego narzeczonego, swego ojca, Natividadę i wujaszka Ozoux.

Radość niezmierna zalała jej serce i silnie przycisnęła do siebie Krzysztofa. Lecz cztery czerwone czapki pochyliły się znów ku ziemi, podczas gdy wszyscy obecni podnosili głowy i słuchali zapowiedzi Huascara.

Gmach zachwiał się pod nowem wstrząśnieniem, a Huascar, wskazując ręką na mur, który się rozstąpił, zawołał zwrócony do Marji Teresy: „Oto zmarły król“.

KSIEGA PIĄTA.

Część muru, ozdobiona rzeźbami, przedstawiającymi ptaki o głowach ludzkich i inne tajemnicze insygnia, zachwiał się i cofnął wstecz i w tejże chwili Marja Teresa krzyknęła głośno, gdyż z głę-

bi ciemnego otworu, który powstał przez usunięcie się muru, zbliżał się ku niej zmarły król. Gdy mur znalazł się na dawnym swym miejscu, Marja Teresa ujrzała go tuż przed sobą siedzącego na złotym tronie o dwóch siedzeniach, z których jedno było niezajęte. Tłum wołał: „Sława Inkasowi!“ i rzucił się znów twarzą na ziemię. Fleciści zaintonowali na nowo swe ponure melodie na instrumentach z kości zmarłych.

Dwie mammakony, które miały towarzyszyć Marji Teresie do uroczystej krainy Słońca, usiadły po prawej i lewej stronie tronu, inne zaś utworzyły przed niemi dwa szeregi i kołysały się w prawo i w lewo powiewając długimi, czarnymi welonami. Śpiewały przytem: „Oto jest król królów, wielki Huayana Capac! Przybył tu przez krążanki śmierci po nową królowę, którą lud Inkasów ofiarowuje jego synowi, Atahualpie!“

Marja Teresa, ściskając wciąż w ramionach małego Krzysztofa, wpatrywała się w zmarłego, a zmarły wpatrywał się w nią. Zdawało się, że jakaś moc hipnotyczna unieruchomiła młodą dziewczynę wobec tego wysłannika z inkaicznego piekła, czy też nieba.

Król miał na sobie również szatę ze skórek nietoperzy — lecz z poza szarego płaszcza widoczne były szaty królewskie i złote sandały. Twarz jego surowa i nieruchoma była odkryta. Zachowała ona swą naturalną, brunatną cerę. Na włosach kruczo-czarnych miał taką samą lekką koronę z frenzlami spadającemi na czoło, jak Marja Teresa. Najdziwniejsze jednak były jego oczy. Czy strażnicy świątyni Śmierci wsadzili pod zabalsmowane powieki lśniące kryształy, czy też Indjanie posiadali do takiego stopnia doskonałość sztuki balsamowania, że potrafili zachować blask naturalny w źrenicach królewskich? Faktem było, że ten zmarły monarcha patrzył na Marję Teresę żywymi oczami i to wprawiało ją w przerażenie. Siedział w pozycji zupełnie naturalnej z rękami opartymi o kolana, a Marji Teresie zdawało się, że od-

dychał, tak dalece ta mumja miała wszelkie pozory rzeczywistego życia *).

Lecz teraz Huascar podniósł rękę i dał znak dwoma palcami, poczem natychmiast nastąpiła cisza zupełna. Trzy potworne czaszki podeszły do mammakon otaczających Marję Teresę i wskazały im siedzenie na tronie obok zmarłego króla, mówiąc przytem: „Królowo, bądź szczęśliwa i słodka, król cię woła“. Równocześnie złoty tron zakreślił okrąg i stanął frontem do całego tłumu i do czterech czerwonych ofiarników.

Marja Teresa zamknęła oczy, aby nie widzieć się u boku zmarłego, a zarazem w obawie, aby spojrzenia jej nie skrzyżowały się ze wzrokiem Romana, lub markiza, gdyż wiedziała, że to mogłoby ich zdradzić i udaremnić pomoc. Lecz mimo zamkniętych oczu, wiedziała co się dzieje, gdyż mały Krzysztof szeptał jej urywane zdania: „Roman podniósł głowę i spojrzał na nas... Tatuś dał nam znak... nie wolno mówić o tem“... A więc byli tu — myślała Marja Teresa, ale byli bezwładni... bo gdyby mieli władzę, czyż potrzebowaliby się ukrywać?... Przyszliby tu z policją i z wojskiem!... Co się stało!... Czy Indianie są panami kraju? Przypomniała sobie rewolucję i Garcję, który prosił o jej rękę. Dlaczego nie udali się do Garcji, aby przybył z wojskiem na jej ratunek. Co to wszystko miało znaczyć? A jednak musieli mieć jakiś plan!

Podczas gdy Marja Teresa stawiała sobie to pytanie, mammakony śpiewały, flectisci grali, a tłum wydawał głośnie jęki i westchnienia, uderzając głową o kamienne płyty posadzki. Po chwili Huascar podniósł się i zbliżył się do niej; otworzyła oczy i spotkała się z jego wzrokiem; zadrżała. Nie wątpiła teraz, że ją kochał i że dlatego wydał ją na śmierć.

*) Aeosta opowiada, że inkasi posiadali w równym stopniu jak Egipcjanie umiejętność konserwowania ciała ludzkiego, a pomocnym był im w tem piasek miejscowy, zawierający w sobie dużo saletry.

On zaś mówił do niej głosem powolnym i monotonnym: „Królowo, jesteś teraz własnością Huayna Capac, wielkiego króla, który cię zawiedzie do siedziby syna Słońca. I zasiądziesz w Świątyni pomiędzy stoma małżonkami królewskimi. Pamiętaj, że nie wolno ci podnieść się, zanim on się nie podniesie! Pamiętaj, że wąż czuwa w świątyni Węża!”

Skończywszy tę przemowę cofnął się, idąc wstecz wraz z trzema strażnikami świątyni, a tłum Indjan zaczął cisnąć się do trzech bram. Wyszły także wszystkie mammakony, ucałowawszy poprzednio nogi Marji Teresy.

Myśl, że miała zostać sama z dzieckiem w tej sali, która zaczęła się zciemniać — sam na sam ze zmarłym królem, przejmowała Marję Teresę większym strachem, niż całe dotychczasowe widowisko. Stanie się zapewne coś straszego. Cóż to znaczy: Nie wolno ci podnieść się, aż on się nie podniesie?... A więc ten zmarły podniesie się? Ta mumja wyciągnie może ku niej swą skamieniałą rękę i pociągnie za sobą przez krążanki śmierci?... A czterej czerwoni ofiarnicy? czy odejdą stąd wraz z innymi?... Kiedyż już przyjdą mi z pomocą? Zostaną, czy odejdą?...

Marja Teresa patrzyła teraz na nich, lecz oni nie patrzyli na nią; leżeli z twarzami na kamiennych płytach, nieruchomi, jak nieżywi.

Było jeszcze z dwudziestu Indjan na sali... Na cóż czekają jeszcze?... Na co czeka jeszcze Roman? „O Marjo Tereso, czekają, aż wszyscy odejdą, gdy ...zostaniemy sami z nimi... uratują nas“ — szepnął Krzysztof.

Tak oczywiście! Mammakony powiedziały, że to „ofiarnicy“... zapewne wolno im zostać i czuwać nad ofiarami... Oto ich plan!... Przekupili pewnie prawdziwych ofiarników wślizgnęli się w ich szatach czerwonych do świątyni Węża, wiedząc o tem, że po skończonej ceremonji wszyscy odejdą, a oni zostaną sami z nami!... Nic prostszego... wszystko już pewnie gotowe do ucieczki... a ta mumja chyba nie stawi im oporu!...

Marja Teresa teraz już nie boi się zmarłego. Przyciska do piersi i całuje małego Krzysztofa... Jeszcze pięciu, czterech, trzech Indian... odwracają się, aby ją jeszcze raz zobaczyć... Ona nie rusza się.. Już wszyscy odeszli, zostali tylko czterej ofiarnicy... którzy teraz także podnoszą się i powoli posuwają się ku drzwiom... Tak, i oni odchodzą... odchodzą....

Marja Teresa nie może powstrzymać głuchego jęku... Nie odważa się głośno krzyknąć, lecz gdy widzi, że i oni odchodzą i zostawiają ją samą, serce mało nie pęka jej z żalu... i mały Krzysztof płacze: „Odchodzą Marjo Tereso, odchodzą!“ „Cicho!“ szepnęła Marja Teresa i spojrzała natężonym wzrokiem. Oto trzech ofiarnicy rozchodzą się i każdy z nich staje przy jednych drzwiach... ale ten czwarty zatrzymał się pośrodku sali... na pół zwrócony ku Marji Teresie... teraz daje jej znak... Tak, to Roman!... O, teraz z pewnością są uratowani!... ale trzeba postępować ostrożnie!... Tamci trzej trzymają straż przy drzwiach... bo każda z bram wychodzi na osobny dziedziniec... patrzą i śledzą czy już wszyscy Indianie rozeszli się... Roman czeka na sygnał... i niecierpliwi się... a ręce jego uzbrojone wyciągają się ku Marji Teresie... która już, niepomna przestrogi Huascara, podnosi się ze złotego tronu... podczas gdy zmarły król siedzi nieruchomy!... Ach sygnał!... sygnał! Nareszcie! Markiz wyrzekł słowo: „Recuerda!“ (pamiętaj!)

Usłyszawszy to hasło, na które czekał tak niecierpliwie, Roman pędem strzały biegnie ku Marji Teresie... Markiz biegnie za nim, gdy tamci dwaj zostają przy drzwiach... już przeskakują wysokie stopnie z porfiru, już wyciągają ramiona ku Marji Teresie... Ona już z okrzykiem radości gotowa rzucić się z Krzysztofem w ich objęcia... gdy nagle, w tej samej chwili, gdy Marja Teresa powstała z tronu, rozległ się przeraźliwy syk, a ona wraz z dzieckiem już wije się w straszny uścisku olbrzymiego węża, który jakby z pod ziemi wyrósł, otoczył ją swymi potwornymi zwojami i przytwierdził do miejsca... Daremnie wrywa się

i krzyczy, wąż już ją zepchnął napowrót na tron i połączył ją w strasznym uścisku ze zmarłym królem!... Prawdę więc mówił Huascar: oto wąż w świątyni Węża strzeże swej zdobyczy!

Roman i markiz przerażeni na widok tego niespodzianego wału, rzucają się z dzikim okrzykiem na potworną bestję, której głowa kołysze się ponad nimi, wydając przytem szczególny dźwięk, jak gdyby małych a głośnych dzwoneczków... Roman i markiz chcą koniecznie wydrzeć mu dwie ofiary, uderzając weni, strzelają, chcą go udusić. Lecz cóż to za dziwy!... Ręce ich nie napotykają na żywe ciało, lecz na zimny metal! To skrzypiące pierścienie, łuski z miedzi, poruszane jakimś piekielnym mechanizmem*), które zamykają Marję Teresę i małego Krzysztofa pewniej i lepiej, niż kraty więzienne!

Daremnie Roman usiłuje wydrzeć Marję Teresę z tych żelaznych objęć, daremnie markiz ścisną w swych dłoniach rączki małego Krzysztofa... nie mogą wyzwolić ich z pod mocy żelaznego potwora, który wciąż kołysze nad nimi swą trójkątną głowę, wydając przytem przeraźliwy syk i ogłuszający dźwięk dzwoneczków... który przywołuje ze wszech stron ludzi...

Natividad krzyknął głośno: „Idą już, idą!“ i uciekł, lecz nie uszedł pogoni. Markiz nie chciał uciekać, a Roman nie chciał opuścić Marji Teresy!... I oto cała sala wypełniła się na nowo Indianami... Kacykami czerwonymi, którzy już otwarcie stawali w obronie bandy Ovieda Runtu... On sam tylko, Oviedo Runtu nie zjawił się wcale.

W pośród ogólnego rozruchu stanął nagle Huascar, wyniosły, spokojny i ponury... Spokojnym i stanowczym głosem wydaje rozkazy... Na jego skinienie nakładają kajdany więźniom: Natividadowi, markizowi i wujaszcowi Ozoux i wyprowadzają ich z sali. Twarz Huasara coraz groźniejsza:

*) Kapłani inkaiczni posiadali w swych sanktuarjach kunsztowne aparaty mechaniczne, których celem było pobudzić wyobraźnię tłumów i wywołać trwogę.

udałoby się jednemu Romanowi ujść przed jego zemstą?

Po chwili na rozkaz Huascara Indianie opuścili salę; mammakony, zasłoniwszy czarnymi welonami mumję zmarłego króla, wyszły również; pozostali tylko Huascar i trzech strażnicy świątyni.

Huascar obszedł złoty tron, dotknął się jego tylnego oparcia i natychmiast, jakby na rozkaz, wąż przestał syczeć, ustał dźwięk dzwoneczków, pierścienie rozsuwały się powoli i w końcu wąż cały znikł za tronem. Huascar dotknął się ręką muru w miejscu ozdobionem rzeźbionym ptakiem o ludzkiej głowie; mur poruszył się i otworzyła się ciemna czelusć, od której rozpoczynały się „kruźganki śmierci“. Do tej czelusci wsunął się podwójny tron złoty, unosząc z sobą zmarłego króla, biedną Marię Teresę i małego Krzysztofa. I zamknął się przed nimi. Trzej strażnicy świątyni pochyłili przed Huascarem swe potworne głowy i wyszli. Huascar został sam w świątyni Węża, gdyż było to jego prawem, jako ostatniego arcykapłana ostatnich Inkasów. Usiadł samotny na najwyższym stopniu porfirowym, ujął głowę w obie ręce i przesiedział tak noc całą aż do świtu.

Plan obląkanego Orellana.

Ukryty w jednej z nyz kamiennych, wyżłobionych przez Inkasów, Roman czekał przez noc całą na Huascara pewny, że musi wyjść ze świątyni Węża. Tu i ówdzie ktoś z przechodzących rzucił okiem na biednego Indianina drzemącego i skulonego w swym czerwonym puncho, lecz nikt nie domyślił się, że to właśnie był ów człowiek, który im umknął w chwili odkrycia świętokradstwa. Cienie nocy zresztą sprzyjały Romanowi. Siedząc w nyzie w przymusowej bezczynności, miał czas przemyśleć rozpaczliwą sytuację. Nie miał już nadziei uratowania Marii Teresy; quichuasi byli obecnie panami kraju, a Garcia był od nich zależny.

Gdy Roman i towarzysze przybyli do Cuzko, musieli odrazu zdać sobie sprawę z tego, że wszelki

gwałtowny krok był zgoła niemożliwy. Na szczęście mieli złoto, ofiarowane im przez Garcję. Za pośrednictwem oberżysty udało im się przekupić czterech ofiarników — tych właśnie, których zadaniem było pozostać do ostatka w świątyni Węża i czuwać nad „królową“. Otrzymali połowę umówionej sumy na rękę i obowiązali się nawet, iż będą trzymali straż w pobliżu jednej z bram i pomogą do uprowadzenia cennej zdobyczy. Wszystko to poszło tak łatwo i składało się tak dobrze, że właściwie powinno było obudzić nieufność podróżnych. Ale Roman i markiz byli zbyt niecierpliwi, by nareszcie ujrzeć uwięzionych, Natividad zaś zapewniał ich, że w tym kraju można wszystkiego dopiąć złotem i nie wątpił o dobrym wyniku tej „tragikomedji“. Ileż to razy już Indjanin dał się podejść Europejczykowi!

Tym razem jednak Europejczycy dali się podejść quichuasom — którzy znali dobrze tajemnicę „węża“ i mogli bezpiecznie podjąć się wszystkiego.

Gdzież byli teraz sprytni ofiarnicy? Gdzie był markiz i Natividad, gdzie słynny członek Akademji? W jakim więzieniu byli ukryci i jaki los czekał ich?

W tej ciemnej ulicy przed świątynią Węża Roman czekał na Huascara, aby go zabić. Cekał naderemnie. O świcie jakaś dłoń dotknęła się ramienia Romana. Podniósł głowę i poznał kościstego starca, który śledził Huascara na placu w Arequipie. Był to obłąkany ojciec Marji Krystyny d'Orellana, która przed dziesięciu laty znikła podobnie jak Marja Teresa.

— Dlaczego tu czekasz? — zapytał starzec. — Procesja nie przejdzie tą stroną. Pójdź ze mną, a zobaczysz moją córkę, gdy wyjdzie z kruzganków śmierci.

Te słowa biednego warjata zastanowiły Romana, tem bardziej, że widział teraz liczne grupy krajowców, zdążających we wskazanym kierunku.

— Widzisz? — odezwał się znów starzec — idą wszyscy na pochód „małżonki Słońca“.

Roman wstał i poszedł za nim. W tej strasznej sytuacji, która nie dała się sporównać z niczem w nowoczesnym świecie cywilizowanym, wydawało mu się rzeczą zupełnie naturalną, że pozwoli sobą kierować warjatowi.

— Znam cię — mówił starzec. Przybyłeś do tego kraju, aby zobaczyć małżonkę Słońca. Przebrałeś się nawet za Indjanina, ale to zbyt cenne, pójdź tylko ze mną, zobaczysz ją. Nikt tak dobrze jak ja nie zna miasta i prowincji i to z wierzchu i od spodu. Od dziesięciu lat żyję w podziemiach, a wychodzę na powierzchnię tylko po to, aby obcych podróżnych oprowadzać po mieście. Zobaczysz, jakie to zajmujące! A w tym roku jeszcze bardziej, niż zawsze; przed dziesięciu laty musieli się ukrywać pod ziemią i pochód odbył się w krążgankach śmierci, dziś są panami tak na ziemi jak i pod ziemią. Zna pan już trzy etapy pochodu małżonki Słońca... hacjendę, dom w Arequipie i świątynię Węża. Tymi etapami przed dziesięciu laty prowadzili moją córkę, Marję Krystynę, najpiękniejszą dziewczynę w Limie.

Wówczas nie wiedziałem o niczem. Ale dziś nie uda im się! Gdy słyszałem, że zbliża się znowu ich święto Interaymi, powiedziałem sobie: Orellana przygotuj się! I przygotowałem się. Ale chodźmy, słyszę już flecistów grających na kościach zmarłych!

Orellana przeprowadził Romana przez całe Cuzko; lecz nieszczęśliwy młodzieniec nie widział nic ze starożytnego cyklopskiego miasta, które wzniesione snąć było przez olbrzymów lub bogów, gdyż bloki granitowe i porfirowe, z których powstało, nie ruszyły się z miejsca, odkąd jakaś nieznaną siłą nadludzka przyniosła je tu. I zdaje się, że nie ruszą się nigdy, że zginą chyba i dopiero razem z ziemią.

Orellana ujął Romana za rękę i prowadził go jak dziecko. Przeszli przez jeden z olbrzymich bloków granitowych, przekształconych przez Inkasów w terasy, galerje i ogromne schody. Niezliczone tłumy Indjan pokrywały już te sztuczne

pochyłości i wzniesienia, a wszyscy mieli oczy skierowane ku kamiennej, cyklopskiej twierdzy Huaynam. Ma ona tysiąc stóp długości i otoczona jest trzema murami, wystającymi jeden ponad drugi, z wyżłobionemi niżami, w których kryła się straż.

— Baczość! — — zawołał Orellana. — Oto pochód się zaczyna! A trzeba ci wiedzieć, że te krążanki śmierci ciągną się pod całym miastem od świątyni Węża aż do twierdzy Huaynam*).

W istocie Roman widział teraz wyraźnie długi pochód ciągnący się dokoła fortecznego muru i rozpoznał na jego czele Huascara, wydającego rozkazy. Nie troszcząc się więcej o Orellanę, Roman pobiegł szybko w kierunku pochodu, nie mógł jednak przebić się przez kordon wojska. Znalazł się w pobliżu wysokiej kolumny, ozdobionej girlandami kwiatów i owoców tak zwanej „Kolumny Słońca“, na której szczycie przed światem przytwierdzono złoty tron. Roman popychany ze wszystkich stron, nie ruszył się jednak z miejsca tego przez kilka godzin, gdyż właściwa ceremonia miała się odbyć dopiero w południe. Na tronie, obok zmarłego króla, siedziała Marja Teresa. Twarz jej była śmiertelnej bladeści, a oczy zamknięte tak, iż nic nie zdradzało, że żyje jeszcze. W ramionach trzymała wciąż małego Krzysztofa — jak Przenajświętsza Panna Marja Dzieciątka Jezus. Zdjęto z nich już odzienie ze skórek nietoperzy, a włożono wspaniałe, złotem lśniące, szaty.

W samo południe, na znak dany przez Huascara, podniesiono tron złoty z kolumny i rozpoczął się właściwy pochód od wschodu na zachód. Na czele procesji niesiono na tronie, jak w lektyce, zmarłego króla i Marję Teresę.

Roman, nie mogąc przecisnąć się do lektyki, rzucił się jak szalony, w końcu zwrócił się w kierunku bram miasta, chcąc tu oczekiwać na pochód. Lecz i tu, mimo wszelkich wysiłków, nie mógł

*) Wedle zgodnego twierdzenia autorów, opisujących Peru, podziemia te tworzą prawdziwy labirynt nie tylko pod miastem Cuzco, ale i pod całą okolicą.

się przedostać przez tłum i był już zrozpaczony, gdy nagle zjawił się przed nim znówu obłąkany starzec Orellana.

— Czego szukasz? Czy miejsca, skądbyś mógł dobrze wszystko widzieć? Pójdź ze mną! Znam Cuzko lepiej niż Inkasi!

Roman zawahał się przez chwilę, ale gdy pomyślał, że ten warjat okazał się dobrym przewodnikiem, i że mieli obaj tę samą niezachwianą wolę dostania się do Marji Teresy, poszedł za nim.

Orellana prowadził Romana bocznemi drogami i ścieżkami, zdala od tłumy. Przechodzili obok pałacu „Dziewic Słońca“, gdzie 1500 młodych dziewcząt żyło i rosło pod dozorem mammakon; były to „narzeczone króla“, a gdy doszły do wieku dziewczęcej dojrzałości, najpiękniejsze z nich przenoszono do seraju królewskiego.

Orellana dawał te wyjaśnienia głosem monotonnym z obowiązku przewodnika, a gdy Roman niecierpliwie ciągnął go naprzód, starzec zauważył flegmatycznie:

— Mamy czas. Przrzekam ci, że zobaczysz córkę moją tak blisko, że będziesz mógł do niej przemówić. Znam jeden krótki „krużganek śmierci“, który zawiedzie nas szybko do „świątyni Słońca“, ostatecznego celu procesji.

I wzięwszy Romana za rękę, wszedł z nim do jaskini, skąd schodami zeszli na plac główny, na jeden z najwyższych kamieni, otaczających starożytną „świątynię Słońca“.

Lud zewsząd napływał, a Roman omal nie stracił równowagi nachylając się, aby zobaczyć lektykę z Marją Teresą. Nagle cały tłum z ogromnym krzykiem padł na ziemię; ukazała się złota lektyka z królewską parą. Tron ustawiono na środku placu, a dokoła kapłani, kacyki i inni dostojnicy wzięwszy się za ręce, poczęli tańczyć „taniec łańcucha“. Brakowało przy nim tylko złotego łańcucha, albowiem na wiadomość o śmierci Atahuatpy, rzu-

cono łańcuch w najgłębszy nurt jeziora Titicaca, ażeby nie dostał się do rąk zwycięzców*).

Rytmiczne dźwięki muzyki flecistów śmierci, towarzyszącej tańcowi łańcucha, przerwane nagle zostały głośnym i jakby z nieba pochodzącym okrzykiem: „Recuerda“! (Pamiętaj!) To hiszpańskie słowo, które było hasłem przy zamierzonym porwaniu Marji Teresy z świątyni Węża, wywołało poruszenie Marji Teresy, która dotychczas wydawała się również martwą, jak zmarły król. Dziecko również podniosło głowę, i czworo oczu zaczęło szukać dokoła, skąd mógł pochodzić ten głos.

— O mój Boże, — szeptały drżące usta Marji Teresy — czy nie poznałeś głosu Romanła, Krzysztofie?

— O tak! — odrzekło dziecko. — Poznałem go! Może uratuje nas!

— Lecz gdzie jest? Gdzie się ukrywa?

Głos przyszedł z wysoka. Szukali więc po stopniach kamiennych, na których tłoczyli się Indianie. Lecz jakże go znaleźć w takim tłumie? Błądzili tak oczami po wszystkich stopniach, lecz nie znaleźli go. I po raz drugi zabrzmiało ponad ich głowami słowo: „Recuerda!“ tak potężnym głosem, że usłyszało je całe zgromadzenie.

Przerwano taniec, wszystkich głowy ku niebu się zwróciły i jakiś pomruk wrogi podniósł się wśród tego tłumy, zranionego w swych uczuciach religijnych.

Marja Teresa powstała z tronu wraz z Krzysztofem i teraz... teraz na najwyższym kamieniu ujrzała sylwetkę pochylonego człowieka, wyciągającego ramię ku niej i wołającego:

— Marjo Tereso! Marjo Tereso!

— Romanie! — odpowiedziała „królowa“, i teraz zrozumieli wszyscy, że tam na wierzynie stoi ktoś, nie należący do ich rasy, ktoś, co pragnie zabrać im duszę królowej.

*) Historycy opowiadają, że łańcuch ten ze szczerego złota był tak olbrzymi, że mógł opasać mury miasta Cużko.

Świątynia Słońca.

Nie byłoz to świętokradztwem? Wszak królowa była już własnością bogów! Wszyscy pragnęli, aby już nie żyła, a ten, tam na górze, zasługiwał też na śmierć!

I zaczęła się poprzez kamienie szalona gonitwa za fałszywym Indjaninem. Tymczasem ofiarnicy ponieśli dalej lektykę ze zmarłym królem i Marją Teresą, a powietrze rozbrzmiewało okrzykami: Muera la Coya! (śmierć królowej!).

— Czyś oszalał? — zapytał Romana obłąkany Orellana, a widząc, że Coya powstała i coś woła, zapytał zdumiony — więc znasz moją córkę?

Musieli się jednak ratować przed gniewem tłumu: Orellana z całej siły potrząsnął Romanem, który wpadł w stan odrętwienia i pociągnął go za sobą napowrót do czeluści, z której wyszli przez krużganki śmierci; znał drogę doskonale i prowadził go długo przez te podziemia prawie zupełnie ciemne, w które tylko tu i ówdzie wnikał jakiś promień dziennego światła przez szczeliny, wyżłobione między kamieniami.

Po pewnym czasie Roman zatrzymał go.

— Lecz gdzież oni teraz ponieśli „mażonkę Słońca“?

— Mażonka Słońca jest teraz w drodze do świątyni Śmierci!

— A my dokąd idziemy?

— Do świątyni Śmierci!

I Roman poszedł za nim, nie mówiąc już ani słowa. Zdziwił się jednak, gdy wyszedłszy z podziemia ujrzał przed sobą obszerne pole.

— Gdzie się znajduje świątynia Śmierci?

— Na wyspie Titicaca! Lecz nie obawiaj się, będziemy tam przed nimi.

Musieli wynająć konie i udać się do Sicuani, gdzie wsiedli do pociągu. Podczas jazdy Orellana mówił bezustannie.

— Jeśli córkę moją poślubią Słońcu, rzecz słuszna, abym był na weselu. Ileż to kosztowało mnie czasu i trudu, zanim znalazłem świątynię

Śmierci! Jest ona dobrze ukryta, ale wytrwałością kilkuletnią wszystko można pozyskać! Niema tu pod ziemią ani jednego wyschniętego strumienia, ani jednej wytrzebionej żyły złotej, których nie mógłbym przejść z zamkniętymi oczami! Ach, co za bogactwa, bogactwa nad bogactwami ukryte są w tej ziemi! Niechaj tylko znajdzie się inteligentny inżynier, a złoto samo do rąk mu wlezie!

Tu Roman uśmiechnął się gorzko na myśl o swoich niedawnych planach.

Lecz Orellana opowiadał dalej:

Wszystkie te skarby nie miały dla niego wartości. On kochał tylko swą córkę Marję Krystynę, którą Indianie powiedli do świątyni Śmierci.

I postanowił odnaleźć tę świątynię i odebrać swą córkę przy następnym święcie Interaymi.

Tak majaczył nieszczęśliwy ojciec, a Roman słuchał go z uwagą.

— Jakąż drogą oni z Cuzko dostaną się do świątyni Śmierci?

Pójdą krążgankami śmierci popod górami, popod jeziorem...

Podczas jazdy temperatura ochłodziła znacznie. Znajdowali się teraz w strefie śniegu, na wysokości czterestu tysięcy stóp nad poziomem morza, a więc mniej więcej na wysokości Mont-Blanc. Roman uległ chorobie górskiej, krew mu się puściła nosem i ustami i w tym stanie, omal nieprzytomnym, mógł zapomnieć o swych cierpieniach moralnych. Lecz z chwilą, gdy wysiedli z wagonu i byli nad brzegiem jeziora, wróciła mu świadomość strasznej rzeczywistości i z całą brutalnością naglił Orellanę, aby go zawiódł nareszcie do świątyni Śmierci.

— Idziemy tam! — odrzekł starzec.

Przechodzili teraz przez duży plac, na którym sto najpiękniejszych, młodych Indianek sprzedawało owoce i jarzyny.

— Zwykle jest ich tu dwieście — tłumaczył Ocellana, lecz czerwoni kapłani wybrali najpiękniejsze dla swego kultu. Czynią to co dziesięć lat, podczas świąt Interaymi.

Teraz wyszli z miasta i pod wieczór znaleźli się nad jeziorem Titicaca, które jest najwyżej położonym jeziorem na ziemi. Ponieważ zbliżała się burza, Orellana zaprowadził młodego człowieka w bezpieczne miejsce. Był to olbrzymi monolit, w którym wyłobiona była nyża. Tu rozpalili ogień i pożywili się posiłkami przyniesionymi przez Orellanę, Roman usnął następnie, a gdy się obudził o świcie, Orellana oświadczył mu, że mają przed sobą jeszcze dzień i noc, zanim będą świadkami ostatniego aktu uroczystości Interaymi. Wsiadli do małej łodzi, którą Orellana miał ukrytą wśród krzaków i ziół nadbrzeżnych i popłynęli ku „Świątym wyspom“, na których znajdowała się świątynia Śmierci. Teraz Orellana dał Romanowi wędkę i wytłumaczył mu, że dzień ten spędzą na łowieniu ryb, ażeby nie zwrócić na siebie uwagi. I wskazał mu liczne łodzie rozsiane po jeziorze, na których siedzieli z wędkami indyjscy rybacy.

— Sądzą oni, że podczas święta Interaymi, bogowie około wysp świętych sprzyjają pracy rybaków. Czyń więc to samo, co oni i czekaj cierpliwie. Jutro będziesz miał piękne przebudzenie.

Nazajutrz Orellana obudził Romana cokolwiek przed świtem. Na głębokich wodach jeziora nie było już żadnego rybaka, a dokoła panowała zupełna cisza.

Nagle na wschodzie wierzchołki gór zapłonęły; wspaniały pożar rozbłysnął poza rozdartą kurtyną Kordylierów, a w krwawym blasku gwiazdy dnia, wyłoniły się z cieniów zaróżowione wyspy święte.

Indjanie, prześlizgując się w swych lekkich łodziach obok głównej z tych wysp, noszącej nazwę Titicaca, padają na kolana i śpiewają hymn przodków na cześć Słońca, gdyż na tej wyspie zrodzili się pierwsi Inkasi — dzieci Słońca, Manco Capac i Mama 'Celle — a wyszedłszy z tej wyspy, założyli Cuzko i położyli podwaliny potężnego państwa Inkasów.

Na wybrzeżu Titicaca wznoszą się olbrzymie ruiny; nagromadzone tu w niewytłumaczony spo-

sób kamienie ciosane, których wieku wiedza nie potrafiła oznaczyć: kąpiele, pałace i świątynie Inkasów.

Co Roman ujrzał teraz w głębi swej łódki, napełniło go głębokim zdumieniem. W miarę, gdy cienie nocy zaczęły ustępować, a kształty wyspy świętej zarysowywały się wyraźniej ponad wodami, wszystkie te martwe kamienie, zamarłe świątynie, opuszczone pałace, wszystkie jakoby ku niebu wiodące stopnie cyklopskie, okazały się w blasku pierwszych promieni światła dziennego, pokryte niezliczonymi tłumami ludzi, zwróconych w milczeniu ku rozognionemu wschodowi.

Na szczycie wieżyc, iskrzących się odblaskiem świtu, kapłani czekają na zjawienie się Boga.

Nagle ukazuje się... wznosi się... rozpromienia się... witany okrzykami tłumy:

— Witaj Słońce, królu niebios! Witaj Słońce, ojczyźnie Inkasów!... Czy poznajesz swoje dzieci? Spojrz na cesarstwo swoje! Po tylu wiekach, dziś, jak niegdyś, wszystkie czoła zwracają się ku tobie, dzieci twoje upajają się twoimi promieniami!

I młode dziewice podnoszą ku niebu święte wazy, napełnione ofiarami, a kapłani intonują hymny rytualne..

Lecz cóż to za cud? czy to sen był tylko? Wszystko znikło nagle, jak znikły lekkie mgły poranne, pod światłem pierwszych promieni słonecznych. Roman przeciera oczy, jak dziecko budzące się ze snu. Gdzież się podziały te tłumy, które chwilę zaludniały tę pustynię kamienną? Któż to okrzykami i śpiewem witał słońce?

Lecz Orellana szybko kieruje łódź ku wybrzeżu, dobija do brzegu, wyskakują i stają przed otworem wiodącym w głąb ziemi..

— Czy słyszysz? — pyta Orellana. — Oto cały tłum zagłębił się pod ziemię i słychać przytłumione brzmienie hymnów rytualnych.

— A teraz idźmy! — rzekł starzec — oni wchodzić wszyscy do świątyni Śmierci; lecz my będziemy tam przed nimi.

Świątynia śmierci.

Weszli do głębokiej grotty. Roman pozbawiony woli. Marja Teresa stracona. Pocałunek, który jej przesłał, miał ich połączyć w śmierci, gdyż młodzieniec postanowił, że umrze razem z nią. Powiedziano mu, że ją zabiją w świątyni Śmierci, idzie więc za starcem, którego córka zginęła tu przed laty i który dziesięć lat szukał tej świątyni i wie, gdzie ona się znajduje.

Przez kilka chwil szli w ciemnościach po piasku i muszlach, poczem starzec zapalił zapalką suchą gałąź. Weszli do ciasnego krużganka, przedtem jednak Orellana wyjął z zagłębienia w ścianie jakiś przedmiot, który zwrócił na siebie uwagę Romana. Był to dżagan.

— Starcze, co zamyślasz zrobić z tem narzędziem?

— Zamyślam uratować moją córkę — odrzekł Orellana! — Zobaczysz! zobaczysz... Tym razem nie dopuszczę, aby te kotry udusili ją jak przed dziesięciu laty. Rozumiesz, oni zamurują ją żywcem. Poczekajmy tylko w ukryciu, aż sobie odejdą, i uwolnimy ją! Rozumiesz? otworzymy jej grób!... rzecz prosta... Gdy odkryłem świątynię Śmierci i ujrzałem w murze te wszystkie kamienie grobowe, które pokrywają małżonki Słońca, powiedziałem sobie: Nie byłoby wcale trudną rzeczą uratować je, gdyby się było obecnym. Ale wówczas było już za późno! Przedewszystkiem nie wiedziałem, w którym grobowcu była?... na lewo, czy na prawo, czy w środkowym? Ale teraz przypatrzymy się dobrze — rozumiesz?

Roman drżał na całym ciele słuchając słów Orellany. Czy rzeczywiście uratowanie jej mogło być rzeczą tak prostą?... Warjaci rozumują czasem trafniej, niż ludzie rozumni. Szedł więc szybko i góraczkowo za starcem, który w drżącej ręce niósł pochodnię, słabo oświecającą wązki chodnik. Roman wziął w rękę dżagan. I szli dalej w milczeniu i w ciszy, przerywanej tylko odgłosem ich kroków na skalistym gruncie. Długi ten chodnik wy-

żłobiony był w skałę i wychodził w pewnych odstępach po jednej i drugiej stronie w małe, kwadratowe sklepienia, w których znajdowały się grobowce księży i wysokich dygnitarzy, podobnie, jak w piramidach egipskich.

Gdy doszli do ostatniej ze sklepionych sal, Orellana zgasił pochodnię i przykląkł. Roman musiał uczynić to samo, chodnik był tu bowiem tak niski, że nie mogli stać w nim wyprostowani i musieli czołgać się po ziemi.

Wkrótce jednak mogli się znów podnieść, doszli do niższej i cokolwiek jaśniejszej.

— Jesteśmy! — szepnął Orellana.

W słabym świetle, którego źródła zrazu nie mógł sobie wytłumaczyć, Roman rozróżniał jakieś kształty architektoniczne i kolumny, a po chwili zrozumiał, że niża, w której się znajdowali, była zagłębieniem w murze obszernej sali, której obszaru całego nie mógł jeszcze objąć.

— Świątynia Śmierci! — zawołał Orellana. — Czy słyszysz?

Dźwięki hymnów rytualnych dochodziły znów z oddali, a towarzyszył im jakiś tupot rytmiczny. Nagle powstała w sali jasność tak jaskrawa, że starzec i Roman instynktownie cofnęli się w głąb.

W samym środku powały olbrzymiej sali usunął się wielki kamień, a przez powstały otwór padało strumieniami światło słoneczne, zalewając całe koliste wnętrze i roziskrzając się tysiącrotnym blaskiem w złotych płytach, które pokrywały całą podłogę, wszystkie ołtarze i nyże, tak, iż cała świątynia była jakby wciósana w kopalnię złota. Na wschodniej stronie sali lśniło się olbrzymich rozmiarów bóstwo Słońca, wyrobione w złocie i upstrzone drogimi kamieniami. Jeżeli wszystkie te skarby nieocenione uszły przez długie wieki chciwości zdobywców, to zawdzięczały to skałę, w której łonie się kryły i jeziornej toni, która ich strzegła przy pomocy czujnych kapłanów.

Róman ujrzał teraz uwijających się po sali trzech strażników świątyni o potwornych czaszkach. Za ołtarzem, na wysokiej złotej piramidzie,

ustawiono „tron królewski“. Po obu stronach ołtarza i tuż przed nim znajdowały się trzy piramidy drewniane.

— Trzy stosy ofiarne — szepnął Orellana.

— Jakto, stosy? A więc mają ją spalić? — zapytał Roman z przerażeniem.

— Ją? Ależ nie! Małżonka Słońca nie ginie na stosie; musi być żywcem wmurowana. Czy widzisz te wielkie płyty z czerwonego porfiru pomiędzy złotymi płytami? Niemi to zamyka się groby małżonek Słońca. Policz je, a przekonasz się, że jest ich sto dokoła sali... Ach, gdybym był wiedział, w którym z tych porfirowych grobów zamurowano moją córkę. Z łatwością byłbym ją uratował! Ale jakże poznać? Ani sposób odróżnić jeden grobowiec od drugiego, tak są wszystkie do siebie podobne... Ale tym razem przypatrzę się dobrze, gdzie ją zamkną i mam mój dżagan! Skoro tylko cały tłum oddali się, wyswobodzę ją!

— Kto wie, czy nie umrze z uduszenia, zanim zdołasz ją wyswobodzić — rzekł Roman, który z tej dziwnej paplaniny obłąkanego starca wyławił jeszcze jakiś błysk nadziei.

— Nie, nie udusi się!... Nyża jest dość głęboka. Wsuną ją tam w pozycji siedzącej. Może jeszcze oddychać przez godzinę, może nawet przez dwie godziny. Moja robota zaś nie będzie trwała dłużej nad dziesięć minut!

Roman dotąd nie spuszczał z oka tych płyt porfirowych, poza którymi spoczywały małżonki Słońca. Zauważył jednak:

— Jeżeli jest ich już sto w tych grobowcach, to już niema miejsca dla nowej. Ach, te stosy! te stosy! Czy jesteś pewnym, że jej nie spalą?

— Uspokój się! Te stosy przygotowane są dla dwóch mammakon, które mają wyprzedzić „królowę“.

— Są jednak trzy stosy — odrzekł Roman, czując, że mu się miesza w głowie.

— Tak, trzeci stos, przed ołtarzem, czeka na najstarszą ze stu małżonek Słońca. Tę tysiącletnią małżonkę wyciągną z grobowca i spalą na stosie,

bo cóżby z nią zrobić mogli? a na jej miejsce wsuną moją córkę... I zobaczysz, że Słońce samo zapala te stosy! Nikt z ludzi nie odważyłby się tego uczynić! Czy słyszysz? Idą już!

Śpiew brzmiał już zupełnie blisko, a po chwili sala zapełniła się kapłanami, kacykami i dostojnikami w czerwonych szatach, obwieszonych kosztownościami. Uwagę zwracały przedewszystkiem dwie grupy: młode dziewice, ustrojone w kwiaty i młodzieńcy w długich białych koszulach, na których haftowane były na piersiach duże krzyże*). Było to zwyczajem dla synów szlacheckich, którzy mieli być tego dnia pasowani na rycerzy. Wszyscy obecni podeszli teraz aż na środek sali, a potem cały pochód odwrócił się ku wejściu. Śpiewy ustały, a wśród zatrwającej ciszy odezwał się nagle rozdzierający krzyk dziecka.

Romanowi włosy powstały na głowie.

— Co to znaczy? — zapytał ochryplym głosem.

— To nas nic obchodzi. — Poświęcają czystemu duchowi dziecko u wejścia do świątyni.

— A, mordercy! Łotry! — zawołał Roman, wyrzuwając się z rąk Orellany i gotów popełnić niedorzeczność:

— Jeżeli chcesz uratować małżonkę Słońca, musisz zachowywać się spokojnie; jeden ruch, a wszystko będzie stracone!... Jeżeli nie czujesz się na siłach, odejdź stąd!

— O nieszczęsne dziecko! nieszczęsne dziecko! Biedny mały Krzysztof!... — jęczał Roman. — Niechże już nas zabiją wszystkich i niechaj będzie raz koniec.

— Wstydź się mój synu takich słów! — rzekł starzec, który był nadzwyczajnie spokojny. — Kto ma nerwy kobiece, ten niech nie wchodzi do świątyni Śmierci.

Kilku ludzi wniosło teraz dużą lektykę, w której siedział człowiek odziany od sandałów aż po turban w złoto. Z uszu zwisały ogromne złote pier-

*) Garcilasso.

ścienie. Z pstrego, jedwabnego turbanu spadała suta złocisto-szkarłatna frenzla aż na oczy. Zszedłszy z lektyki, wstąpił na stopnie, prowadzące na złotą piramidę i usiadł na tronie, umieszczonym na jej szczycie. Gdy szedł, wszystko ugięło przed nim kolana i pochylało głowy. Był to król. Gdy Roman spojrział mu w twarz, poznał go.

— Urzędnik banku franko-belgijskiego — szepnął.

W istocie, Oviedo Huaynac Runtu był królem Inkasów.

W wielkiej szafranowej tunice arcykapłana, wszedł teraz Huascar. Przed nim również korzyli się wszyscy, gdyż jeden król tylko przewyższał go w godności.

Roman spojrział na jego twarz tragiczną i oczy ponure, a potem skierował oczy na ręce jego, czy też nie były zakrwawione ofiarą dziecka! Gdy przechodził obok niego, błysnęła mu przez głowę myśl, aby go zastrzelić, tu, w pośrodku całego orszaku, jak szkodliwego zwierza. Lecz w tej właśnie chwili ukazała się lektyka z Marją Teresą. Poprzedziły ją mamankony, powiewające czarnymi welonami, a na ich czele szły dwie kobiety przeznaczone na śmierć ofiarną, z odkrytymi twarzami i uśmiechem pogodnym, prawie dziecięcym. Na podwójnym złotym tronie niesiono znów króla Huayana Capac zmarłego i Marję Teresę, Zamykali pochód trzej pótwni strażnicy świątyni. Marja Teresa nie miała już przy sobie małego Krzysztofa. Roman wpił się oczami w twarz swej narzeczonej. Co z pod ozdób złotych było z niej widoczne, miało raczej wejrzenie śmierci, niżli życia.

Tron podwójny ustawiono między ołtarzem, a stosami, trzej strażnicy zamknęli bramy świątyni, a Huascar powstając, dał znak rozpoczęcia ceremonji. Monotonnym głosem wymawiał jakieś słowa, a całe zgromadzenie powtarzało za nim litanję. Kilku młodzieńców przyniosło mu teraz żywą lamę. Huascar kazał złożyć ofiarę na ołtarzu, a jeden ze strażników złotym nożem otworzył wnętrzności. Pochylił się nad niemi Huascar,

wyczytując z ociekających krwią i dymiących zwojów, horoskop. I zwróciwszy się do króla, oświadczył, iż bogowie przychylni są ofierze.

Zabrał głos król i zawiadomił zgromadzenie, że oto cesarstwo Inkasów odzyska dawny swój splendor, że wróca na światło dzienne ukryte w łonie gór obyczaje i kultury, że starcy tu obecni umrą szczęśliwi, gdyż są świadkami Interaymi, jakiego nie było od śmierci męczennika Atahualpy.

— Niechaj się zbliżą „dzieci Słońca“! — zawołał król. I Huascar prowadził przed tron kolejno młodzieńców, którzy przyklękali, a król złotem dźwiękiem przedziurawiał im uszy. Podnosili się bez oznaki bólu, chociaż krew płamiła im białe szaty, a Huascar zawieszał im w uszach duże tarcze złote, z czary podawanej przez dwie dziewice.

Po ukończonej ceremonii król przemówił raz jeszcze:

— Poświadczam oto przed zmarłym królem i przed królową, którą czeka śmierć, że rasa nasza jest zawsze pierwszą na ziemi i że wy jesteście najlepszymi jej przedstawicielami, czystymi dziećmi Słońca!! A teraz niechaj bracia piją krew swych siostr!

Na dany znak zbliżyli się do ołtarza młode dziewice, a potworny strażnik z czaszką kwadratową kaleczył je złotym nożem w piersi, podczas gdy zgromadzeni śpiewali hymn tryumfalny.

— Co za dzikość... — syczał Roman. — O gdybym mógł ich pozabijać, sprowadzić wspólną katastrofę na nich wszystkich i sam zginać w gruzach!

Ale cóż mógł uczynić? Czyż mógł podpalić te mury z granitu i złota? Mógł, co najwyżej, zastrzelić kilku z nich rewolwerem. Gdyby tak nagle skoczył między tych warjatów, niebezpieczniejszych od warjata Orellany i zabił arcykapłana Huasara i króla Oviedo Runtu!...

Tak, mógł zabić tych dwóch, a potem siebie!

Mógłby to uczynić, gdyby Marja Teresa już nie żyła!... Ale czyż naprawdę nie żyła?... Właśnie w tej chwili zdawało mu się, że zrobiła ruch głową

i że zadrgały lkosztowne wiśorki wzdłuż twarzy i ramion.

Król dał znak rozpoczęcia ceremonji ofiarnej i natychmiast rozszedł się po sali ostry zapach kadzidła. Lecz teraz podniosły się ze stopni ołtarzowych dwie mammakony przeznaczone na ofiarę, podbiegły do króla i błagały:

— Niechaj pogasną wszystkie ognie ziemskie, ażeby Słońce samo dało znak do naszej ofiary.

Pogaszono kadzidła, i na każdym z trzech stosów stanął jeden ze strażników świątyni, trzymający w swej dłoni wklęsłe metalowe zwierciadło. Od promieni słonecznych zogniskowanych w zwierciadle zapaliły się małe kłębuszki bawełny, ułożone na szczycie stosu. W ten sposób pozostawiano zapalenie stosu łasce boga Słońca. I nie było dla ofiar gorszego nieszczęścia, niż odmówienie im tej łaski — jeżeli Słońce zasłoniło się chmurą, stos nie zapalał się! Wówczas ofiarom nie pozostało nic, jak żyć i zniknąć z oblicza ludzi; nazywano je wówczas hańbą narodu!

Wiedziały o tem i z największą trwogą modląc się o łaskę, wyczekiwały zapalenia się stosu.

Jeżeli stos środkowy, przeznaczony dla tysiącletniej małżonki Słońca nie chciał się zapalić, znaczyło to, że stara królowa podczas tysiąca lat małżeństwa słonecznego nie zyskała upodobania swego małżonka. Rzucano wówczas ciało jej do kanałów górskich na pastwę czarnym nietoperzom.

Lecz tego dnia zapalił się pierwszy stos tysiącletniej królowej. Na dany znak odsunięto purpurową kotarę, a poza nią w jednym ze stu grobowców świątyni śmierci ujrzano sylwetkę tysiącletniej królowej, owiniętej wążkami bandeletkami, zapuszczonemi ostrą wonią. Była już tylko szkieletem, gdyż małżonek Słońca nie balsamował; jednak siła zachowawcza peruwiańskiego gruntu była tak wielką, iż z poza bandetek wyglądały nie kości, lecz naturalna skóra twarzy. Roman jednak myślał o tem, że miejsce jej zajmie niebawem

Marja Teresa, która może nie była jeszcze martwą.

I szczerze, z całego serca pragnął, ażeby nie była już żywą. Bo gdyby nią była, jakież znosić musiałyby tortury! Jeżeli mogła jeszcze myśleć poza temi zamkniętymi powiekami, o czem myślała w tej chwili? Może w tej ostatniej godzinie myślała z żalem o nim, iż nie umiał wyswobodzić jej z rąk katów? Może w tej piekielnej godzinie, gdy w strasznej udręce przechodziła przez wszystkie fazy pogańskiego zabobonu, myślała o ich spokojnej, burżoazyjnej miłości, zrodzonej w sercach prostych, nie pożądanym zgoła fantastycznych komplikacji? Lecz los okrutny wyrwał tę młodą dziewczynę z łona nowoczesnej cywilizacji wprost od księgi kasowej przedsiębiorstwa handlowego i rzucił ją na pastwę potwornej chimery!

Kapłani tymczasem wysunęli z grobowca starą „królowę“ i ustawili ją wraz z tronem na stosie. Paliła się siedząc — gdyż grobowiec był tak ciasny, iż w agonji przed uduszeniem się innej pozycji przyjąć nie mogła.

Roman skoncentrował teraz całą swoją uwagę na otwarty grobowiec, do którego miano wsunąć Marję Teresę. Myślał o tem, że jeżeli żyje jeszcze, trzeba będzie spieszyć się z uwolnieniem jej. I ścisnął jedną ręką dżagan, drugą zaś trzymał na każdy wypadek nabity rewolwer.

Lecz drugie dwa stosy nie zapalały się, a mamakony już rozpaczały, gdyż miały umrzeć przed Marją Teresą, i obawiały się, że się spóźnią. Więc wyciągały ku słońcu błagalne ręce, wołając z płaczem: „O królu Niebios, miej litość nad nami! Ześlij nam ogień!“

Gdy nareszcie stosy zatliły się, a ofiarnicy dla podsycenia ognia wylali na stosy alkoholiczne ciecze woniejące, mamakony rzuciły się w ogień. Wszyscy zgromadzeni wszczęli piekielny hałas, a pozostałe mamakony w dzikiej egzaltacji tańczyły dokoła stosów. Lecz wnet nieszczęśliwe ofiary poczęły wydawać rozdzierające krzyki, a jedna z nich uciekła ze stosu.

„Wróć do ognia! Wróć do ognia!“ — wołały towarzyszek jej, lecz ona wyła z boleści i błagała o nóż ofiarnika. Wtedy jeden z ofiarników wepchnął jej w pierś nóż złoty, a dwaj inni umierającą wrzucili napowrót do stosu, mammakony zaś zaczęły znów swe tańce. Druga mammakona poniosła bohatersko śmierć ogniową, a gdy zwała się jak zwęglona kłoda wśród paleniska, tłum entuzjastyczną owacją wynagrodził tryumfującą męczennicę.

Lecz teraz i inne mammakony, podniecone do szaleństwa ogniem, krwią i silnie zaperfumowanym dymem, a przede wszystkim fanatyczną atmosferą, zaczęły dobrowolnie rzucać się w ogień. Trzy po kolei wskoczyły w ogień, natychmiast z krzykiem wybiegły, prosiły o nóż ofiarnika i kończyły śmiercią męczeńską. Kto wie, ile byłoby jeszcze zginęło, gdyby Huascar nie był dał znak zaprzestania ceremonii ofiarnej.

Marja Teresa zamurowana żywcem.

Na znak dany ustała muzyka piekielna, tańce i śpiewy, strażnicy świątyni pogasili tlejące zgłiszczające stosów. Teraz kolej przyszła na Marję Teresę. Roman cały w ogniu i z trudem powstrzymywany przez Orellanę, wpił się wzrokiem w Marję Teresę i o mało nie zemdlął na widok tego, co się działo.

Mammakony zaczęły zdejmować z Marji Teresy świecące klejnoty, tak zwane „Izy Słońca“, które pokrywały ją dosłownie od stóp do głów. Wszystkie te niezliczone wisiorki, greloty, tarcze, płytki, kółka i obrączki, kładły do misy złotej, gdzie miały być przechowane przez dziesięć lat dla następnej małżonki Słońca. W miarę, gdy usuwała się pod chryżymi palcami mammakon skorupa wierzchna ze złota i klejnotów, Marja Teresa ukazała się oczom widzów cała owinięta bandetkami (wązkie bandażyki) tak, iż wyglądała już teraz jak mumja. Ramiona jej były przytwierdzone do ciała. Z twarzy widoczne były tylko oczy zamknięte i usta. Roman, patrząc na ukochaną, wie-

rzył mocno, iż już nie żyła — na szczęście, dodawał w duchu. Nie czuła już chyba, gdy ją trzech potworni strażnicy ponieśli i usadowili na grobowem krześle, które natychmiast wsunęli do otworu w murze, gdzie miała pozostać przez tysiąc lat.

W tej chwili zabłysnął jasny promień słoneczny i oświetlił ciasny grób Marji Teresy, tak, iż Roman nie stracił ani jednego z ostatnich gościów tego strasznego ceremoniału.

Należało jeszcze zamknąć grób, przez wsunięcie trzech ciężkich płyt z czerwonego granitu, przylegających do siebie szczelnie.

Operacja ta odbywała się wśród grobowej ciszy. Wszyscy zgromadzeni mieli oczy skierowane na ofiarę, lecz nikt nie był w stanie powiedzieć, czy nie była już martwą.

Pierwsza płyta, wsunięta przez trzech strażników z wielkim wysiłkiem, zakryła Marję Teresę aż po kolana. Druga, podniesiona do wysokości pierwszej płyty i wsunięta na nią, zakryła ją aż do ramion.

Widoczną była już tylko głowa owinięta bandażami, głowa mumii z twarzą martwą. Lecz w tejże chwili dreszcz zgrozy przebiegł wszystkich obecnych, gdyż oczy Marji Teresy otworzyły się nagle szeroko w głębi grobu, zamykającego się nad nią!

Oczy to były żywe, po raz ostatni spoglądające na ten tłum w świątecznych strojach, na tę świątynię lśniąca od złota, a przedewszystkiem wchłaniające w siebie to piękne, jasne światło słoneczne, zanim utoną w wieczystej ciemności.

Usta jej również poruszały się i można było sądzić, iż wyrwie się z nich jakiś ostatni okrzyk zgrozy i przerażenia, jakieś ostatnie wołanie do życia. Lecz usta zamknęły się napowrót i tylko słaby jęk odezwał się w chwili, gdy trzecia płyta granitowa zasłoniła to żywe, ostatnie spojrzenie!

Teraz małżonka Słońca weszła do uroczej krainy boga — Słońca!

Huascar dał znak i wszyscy zgromadzeni zaczęli wychodzić w milczeniu.

To opróżnienie sali odbywało się bez śpiewów, bez okrzyków, bez innego szelestu, prócz szłapania sandałów po podłodze. Wychodzili w przepisany porządku; najpierw Huascar, potem kapłani, dostojnicy, młodzieńcy i dziewice, w końcu mammakony.

Owiedo Runtu zszedł z stopni swego tronu i usiadł obok mumji królewskiej na złotym tronie, zajętym przedtem przez Marię Teresę. Czerwoni kapłani podnieśli na swe barki dwóch monarchów, martwego i żywego i zniknęli z nimi poza bramą świątyni.

Pozostali już tylko trzej strażnicy świątyni o bezkształtnych czaszkach i popioły ofiar.

Gdy jednak trzej potworni słudzy kultu inkai-cznego zamknęli ciężkie odrzwia i chcieli się zabrać do porządkowania świątyni, ujrzeli zbliżającą się szybko z pośród cieniów postać, i przestraszeni schronili się do kaplicy księżycy — siostry Słońca. Lecz siostra bóstwa nie ochroniła ich od zagłady i padli wszyscy trzej na stopniach ołtarza z ohydliwymi czaszkami, przedziurawionymi przez kule Romana. Po dokonanej egzekucji młodziec skoczył napowrót do świątyni, gdzie już Orellana dziganem uderzał co siły w kamienie grobowca. Roman wyrwał mu narzędzie i dysząc z wzruszenia zabrał się do roboty.

Lecz kamienie nie ruszały się z miejsca, a Roman obłany zimnym potem pytał się teraz, czy wszystkie te gwałty przydadzą się na coś. Zmuszał się nadludzkim wysiłkiem do rozumowania, przywoływał na pomoc swą wiedzę inżynierską. Chciał zapomnieć na chwilę o tem, że tam za tymi kamieniami umiera Marija Teresa, aby obmyśleć sposób zachwiania ich równowagi. Kamienne płyty nie były zbyt ciężkie, skoro trzej strażnicy mogli podnieść je do znacznej wysokości. Lecz jak się do nich zabrać? Nakazując ręką swym, aby nie drżały, próbował wsunąć płaską krawędź narzędzia między dwie płyty granitowe, lecz nie udało mu się to. W tem właśnie polegał cud architektury inkai-cznej, że kamienie te bez spoidła przylegały tak

szczelnie, iż nie podobna było nawet rozróżnić linii granicznej. Więc jak je ruszyć z miejsca? Czy może obracały się dokoła swej osi i trzeba było tylko trafić w punkt odpowiedni? A tu tymczasem Marja Teresa ginęła w granitowem więzieniu.

Bezradny i zrozpaczony podniósł znów dżagan i uderzył z całej siły w lewy bok kamienia, silnymi ciosami coraz bardziej zwracał się na prawo i przekroczył linię graniczną. Z okrzykiem radości Roman uderzał dalej w kamień — i o dziwo! płyta obróciła się cokolwiek na prawo. „Marjo Tereso!“ — wołał Roman, sądząc, że już może go usłyszy. A tuż za nim Orellana dygocąc cały, wołał: „Marjo Krystyno! Marjo krystyno!“

Nareszcie kamień wysunął się o tyle, że Roman i Orellana mogli go ująć i ciągnąć ku sobie; jeszcze jeden... jeszcze ostatni wysiłek, a kamień z łoskotem padł na posadzkę świątyni. „Marjo Tereso! jesteś uratowana“. W głębi otworu ukazała się postać owinięta bandeletkami, lecz to nie była Marja Teresa!

Roman wydał okrzyk niewypowiedzianej wściekłości!... Pomylił się — w grobowcu... miał przed sobą jedną z tysiąca starszych mumji.

Drżąc na całym ciele Roman zwrócił się ku Orellanie, gotów udusić nieszczęsnego warjata, który zaczął walić w fałszywy grobowiec. Tak! lecz Roman, rozumniejszy od niego, czyż nie przyłączył się bez zastanowienia do jego roboty, czy nie dał się kierować ręką warjata w tej najważniejszej chwili, od której zależało życie Marji Teresy?

Więc cóż teraz pocznie? Czy ma się zwrócić na prawo, czy na lewo? Ach! wszak te wszystkie grobowce są jakby identyczne!

A jednak nie wolno mu pomylić się po raz drugi. Tak, teraz jest pewnym; gdy stał ukryty w nyzie podczas ceremonji zauważył, że grób Marji Teresy był na prawo od ołtarza. Zabrał się zatem z zdwojoną energją do pracy. Uderza z impetem o kamień, a Orellana bardziej jeszcze pomieszany, iż nie odnalezł swej córki, woła za nim po każdym ciosie: han!... han!... han!..., jakby chcąc

dodać mu siły. Nareszcie kamień obraca się... posuwa się... wpada mu w ramiona! Oto grobowiec otwarty! „Marjo Tereso! To ja, Roman! — Odpowiedz coś! Czy żyjesz?“... Pochyla się nad nieruchomą postacią w bandeletkach: To nie Marja Teresa! To nie Marja Teresa!..

O rozpaczy!... Roman padła na ziemię wyczerpany i niemal szalony, a z piersi wyrzywa mu się łkanie, w którym mieści się cała jego wściekłość, niemoc i cały bunt przeciw losowi... Lecz już zerwał się na nogi, już na nowo zabiera się do roboty... Jeżeli grobowiec nie był na prawo, to oczywiście musiał być na lewo od ołtarza. I Roman wydzierając znów narzędzie ze słabych rąk starca i uderza w granit!... Ach, ileż to czasu straconego... a ona dusi się... biedna ofiara ich pomyłki!..

Uderzaj Romanie! uderzaj!... raz jeszcze!... kamień już się rusza... rzuć go na ziemię!... Patrz!.., czy poznasz nareszcie swą tragiczną narzeczoną!... Niestety!... I tym razem omyliłeś się!... I to nie jest Marja Teresa!..

Lecz gdy Roman jak szalony uderza głową o kamień, błagając o śmierć i o uwolnienie z tych tortur, Orellana woła głosem pełnym radości: „Córko moja, córko! Marjo Krystyno!... Jestem tu!... Ojciec twój uratował cię!“... Obląkany starzec poznał swoją córkę... Tak, to ona, którą przez dziesięć lat szukał w wszystkich kruzgankach śmierci, w wszystkich świątyniach podziemnych. „Marjo Krystyno! Poczekaj chwilę jeszcze! Odrzucę tylko drugi kamień!... Opuścisz to więzienie, dziecko moje najdroższe!“

Płacze i szłocha z radości, chwytając za dżagan i uderza w granit.

Lecz Roman już przy nim:

„Tracisz czas na uwolnienie martwej, a tam jest jeszcze żywy człowiek w tych grobach!“ I rozpoczyna się straszna walka między starcem a Romanem o narzędzie, które z natury rzeczy dostaje się w końcu młodszemu. I gdy Roman z rozpaczliwą wściekłością zabiera się do dalszych grobowców, starzec resztkami swych sił i ostatnim

wysiłkiem swego życia, pociąga ku sobie drugi kamień i wysuwa z grobowca szkielet owinięty bandeletkami swego drogiego dziecka. Tuli w swych objęciach swą Marję Krystynę, obsypuje ją pocałunkami, stacza się z nią na posadzkę i po ostatniem szczęśliwem westchnieniu, usypia obok niej na wieki.

Orellana umarł, lecz znalazł swoją córkę.

A Roman, czy znajdzie Marję Teresę?... Otwiera jeszcze jeden grobowiec, i znajduje jeszcze jedną mumję...! O Misterjum świątyni Śmierci, która oddaje tylko zmarłe małżonki, a zatrzymuje dla siebie młodą i żywą!... Chwiejąc się, krzycząc, padając i podnosząc się, Roman próbuje jeszcze rozumować, zdać sobie sprawę... Wzrokiem nieprzytomnym prawie obrzuca raz jeszcze, cały okrąg świątyni i stwierdza raz jeszcze, że wszystkie ornamenty powtarzają się, że nie ma punktu oparcia dla oka... A więc... może lepiej zdać się na los przy-padku... Uderza więc swem narzędziem na ślepo, padają ciosy, lecz coraz to słabsze, coraz to rzadsze. Wreszcie żelazo wypada mu z ręki... nie może więcej... siły go opuściły... i leży wyciągnięty na stopniach ołtarza, z ramionami zwisającymi, wpatrując się oszalałym wzrokiem w twarze tych zmarłych, które wydarł ciemności swą świętokradzką ręką... Ileż to godzin pracował? Promienie słońca podnosiły się coraz wyżej wzdłuż ścian, wreszcie znikły zupełnie. Cienie zaległy świątynię i swą zasłonę czarną, jak welony mammakon owinęły młodzieńca, który zamknął oczy do snu... oby wiecznego! Bo przecie Marja Teresa dawno już nie żyje!...

Uratowani!

Pewnego poranku, gdy mały parowiec, opuszczając Wyspy Święte, wyjeżdżał na jezioro Titicaca, jakiś Indjanin quichuański podpłynął na swój łodzi ku niemu, robiąc rozpaczliwe znaki, aby okręt się zatrzymał. Kapitan zwolniwszy bieg, zrozumiał, że

idzie o ratowanie Europejczyka, który leżał wyciągnięty na dnie łodzi. Zabrano go na okręt i w ten sposób Roman Ozoux zwrócony został cywilizacji.

Po napadzie febry, która byłaby go pokonała, gdyby nie był się znalazł wśród ludzi, posiadających na jej leczenie niezawodne środki, Roman odzyskał przytomność w łóżku uczciwego kupca, który jadąc wspomnianym parowcem, ulitował się nad nieprzytomnym chorym i zabrał go do siebie. Indjanin opowiedział, iż znalazł go poprzedniej nocy, wpośród ruin Wyspy Świętej, opuszczonego, charczącego i nieprzytomnego. Dał mu się napić wody czerwonej i przeniósł go do swej łodzi, w nadziei, że nad ranem zabierze go parowiec. Indjanin oddalił się, nie żądając nagrody, czem zasłużył sobie na opinię wyjątkowo uczciwego, zwłaszcza, gdy po przeszukaniu odzieży Romana, znaleziono przy nim znaczną sumę pieniędzy.

Gdy chory był o tyle przytomny, że rozumiał, co dokoła niego mówiono i gdy mu doniesiono zdarzenia z Indjanami. Roman nie wątpił, że owym szlachetnym quichuasem był Huascar.

Jako arcykapłan świątyni Śmierci musiał z obowiązku wrócić w to przeklęte miejsce; znalazł Romana, ślady jego świętokradzkiej roboty i zapewne ciała trzech zabitych strażników. Mściwy Indjanin obmyślił dla Romana najsrozsza mękę, skazując go na dalsze życie po śmierci Marji Teresy

Lecz młodzieniec zdecydowany był nie poddawać się długo tej męce. Myśl o tem, że mógł być uratować Marję Teresę i że ona zginęła z jego winy, z powodu braku zimnej krwi i zastanowienia, była dla niego nie do zniesienia; i zdawał sobie sprawę, że nie potrafi nigdy uwolnić się od niej, że będzie na nim ciężyla i przygniecie go w końcu, lepiej zatem skończyć odrazu.

Lecz nie chciał umrzeć wpośród tych strasznych gór świadków tyłu okropności... Obraz Marji Teresy, który nie opuszczał go na chwilę — odkąd postanowił podążyć za nią — nie był już podobny

do straszego widma żywej mumji, wyczierającej z poza kamieni grobowca..., lecz przybrał rysy miłej, spokojnej i pogodnej twarzy dziewczęcej, która w kantorze kupieckim w Callao pochylała się nad księgą kasową. Tam obaczył ją po długiej rozłące, tam po raz pierwszy powiedziała mu słowo „kocham“, tam też uda się, aby umrzeć w tem miejscu, gdzie ona żyła.

Myśl o tej śmierci przyczyniła się do polepszenia jego stanu zdrowia. Podziękował swemu gospodarzowi za gościnność i wszedł do pierwszego pociągu, zdążającego do wybrzeża, skąd okrętem miał się dostać do Callao. Podróż wydała mu się długa. Gdy przejeżdżał przez Arequipę, ujrzał z daleka mały domek, w którym więziono Marję Teresę, przypomniał sobie daremne zabiegi u tego bandyty Garcji i po raz pierwszy, odkąd wyszedł z świątyni śmierci, pomyślał o tem, co się mogło stać z jego towarzyszami podróży, markizem, wujaszkiem Ozoux i Natividadem.

Może i oni zginęli wśród tortur, gdzieś w głębi krążganków śmierci, w świątyni Węża. Biedny wujaszek Franciszek Ksawery, nie będzie już nigdy ogłaszał odczytów, biedny Natividad nie zawita już nigdy do dzielnicy miłości! Tylko markiz de la Torre, jeżeli umarł, uszedł przynajmniej męce bezsilnego przypatrywania się śmierci swych dwojga dzieci.

Na plaży w Mollendo, gdzie Roman czekał na okręt, ujrzał dwie biegnące pędem ku sobie postaci: wujaszka Ozoux i Natividadą!

Chociaż mieli miny smutne, nie wyglądali, jak-gdyby przeszli dużo cierpień. Roman uściskał im dłonie, nie zadając im jednak żadnego pytania. Oni zaś widząc go tak bladym i przygnębionym, nie śmieli nawet wymówić imienia Marji Teresy.

Szli przez jakiś czas w milczeniu, pogrążeni w swych myślach. Nakoniec wujaszek Ozoux zapytał:

— Czy nie wiesz, co stało się z markizem?

— Myślałem, że jest z wami — odrzekł Roman głosem człowieka, którego już nic nie wiąże z tym światem.

Teraz już Natividad niepytany objaśnił, że po nieudalym zamachu w świątyni Węża, zostali obaj z panem Ozoux wrzuceni do więzienia, w którym pozostali przez cztery dni, poczem znaleźli drzwi otwarte i uciekli, nie mogąc nawet zapytać się o markiza. W tej chwili bowiem wszyscy Indjanie pospiesznie opuszczali Cuzko i uciekali w góry. Nie wiedząc jaka ta nowa katastrofa zdarzyła się, Natividad i Franciszek Ksawery uciekli do Sicuano, gdzie wsiedli do pociągu i przekonali się, że właśnie ta katastrofa uratowała im życie. Veintemilla zaatakował znienacka i pobił doszczętnie wojsko Garcji, niedyscyplinarne i zdemoralizowane świętem Interaymi. Pięciuset żołnierzy hiszpańskich, którzy pozostali wierni prezydentowi republiki, pobiło na głowę kilka tysięcy Inkasów, podobnie jak Pizzaro pobił armję Atahualpy w tem samym miejscu i pod tymi samymi murami, które z niewzruszonością rzeczy nieśmiertelnych przypatrują się od wieków toczącej się walce ras.

Garcia umknął do Boliwji. Ambitny awanturnik miał już palnąć sobie kulą w łeb, gdy nadeszła wiadomość o nowej rewolucji w Paragwaju. Pospieszył z całą zgrają swych „ministrów“ do Paragwaju, aby stanąć na jej czele, ku wielkiej ucieście prezydenta republiki boliwijskiej.

Wyjechawszy z Sicuano, Natividad i Ozoux zatrzymali się dopiero w Mollendo, gdzie spodziewali się spotkać markiza, jeżeli nowy obrót spraw w republice otworzył i jemu bramy więzienia. Co do Romana, mieli nadzieję, że uda mu się uciec, „uczyniwszy co tylko możliwe dla uratowania Marji Teresy“!

Roman widział, że wypowiedziawszy to imię, obaj spojrzeli na niego z wyrazem prawdziwego cierpienia. Ze słowami: „Wujaszku mój, ona nie żyje już!“ rzucił się w jego objęcia. Franciszek Ksawery płakał i ścisnął młodzieńca z prawdzi-

wą czułością. Lecz Roman wyrwał się z jego objęć i szlochając rozpaczliwie, pobiegł ku wybrzeżu zdaleka od ludzi.

Przez dziesięć dni musieli podróżni pozostać na plaży, gdyż silna burza morska nie pozwalała na wyjazd.

Biedny wujaszek Franciszek Ksawery spędził ten czas na przykrych rozmyślaniach. Ubolewając szczerze nad tragicznym losem Marji Teresy, młodego Krzysztofa i biednego Romana, czynił sobie gorzkie wyrzuty za poprzednie swoje chłodne i obojętne zachowanie się. Poznał teraz, że jak niejeden uczony był zbyt pod wpływem literatury oficjalnej. Ale też, czy mógł wierzyć w rzecz tak potworną? We Francji nie uwierzą w to nigdy, nigdy!... Chociażby nawet miał odczyty, z obrazami świetlnymi, niktby nie wierzył!

Natividad zaś myślał z pewną satysfakcją: Tym razem Veintemilla będzie musiał mi uwierzyć. — I pomści nas, a właściwie już nas pomścił, przepędziwszy Garcję! Ten awanturnik byłby ściągnął Peru w otchłań barbarzyństwa. Nie waha się przecież poświęcić nas swemu interesowi i swej ambicji!

Z początku Ozoux i Natividad nie spuszczała z oka Romana, obawiając się, aby nie popełnił samobójstwa, lecz później, gdy już znajdowali się na okręcie, złudzeni jego pozornym spokojem, odważyli się zapytać go o straszne wypadki, których był świadkiem. Opowiedział im wszystko, co widział w świątyni Śmierci i całą agonję Marji Teresy. Opowiadanie to wygłoszone z prostotą i z dziwnym, niemal nienaturalnym spokojem, zrobiło na słuchaczach straszne wrażenie. Franciszek Ksawery natychmiast zamknął się w swej kabinie i płacząc gorzko, spisywał w swym karnecie usłyszane szczegóły.

Roman oparty o pokład, patrzył na zbliżające się wybrzeże, na którym tak niedawno jeszcze wyładował: z sercem wezbranem nadzieją szczęścia i gdzie za godzinę zamierzał umrzeć. O Peru! O Inkasi! Bajeczny kraju złota i legendy! Kraino

ambicji i miłości! Umarła miłość, umarła ambicja! Pozostała tylko legenda, wyśmiana, wyszydzona przez nich legenda! I właśnie ona zabiła miłość i ambicję, zabiła Marję Teresę i zabije teraz jego... a to wszystko dlatego, że szydzili z tego, co opowiadały dwie czcigodne stare damy, jakby wycięte z obrazu Valasqueza, co opowiadała Agnieszka i trena o bransolecie Słońca!...

Jak pierwszy raz, tak i teraz pierwszy wyskoczył na ląd, lecz nie pytał już o ulicę Limańską, gdyż znał ją aż nadto dobrze! I nie spuszczał już oczu z tej dzielnicy miasta, po której biegł był pełny nadziei, gdzie oczekiwała go Marja Teresa.

Lecz dziś niestety bez zapału i bez pospiechu wnikał w labirynt tych małych uliczek, wychodził z cienia arkad i doszedł nareszcie do małego placu, na który wychodziła dobrze mu znana weranda... Tu usłyszał pierwszego dnia jej głos, tu przychodził po nią co wieczora, tu wreszcie pewnego wieczora nie znalazł jej już. I nigdy już nie ujrzy Marji Teresy... nigdy już zgrabna jej figurka, opasana złotym łańcuszkiem, nie pochyli się nad zniechęconymi książkami... nigdy nie usłyszy jej miłego głosu... nigdy nie zobaczy jej wychylającej się z okna na powitanie go... w głowie mu się mąci... Tem lepiej! Wszakże po to tu przyszedł!... Ach to zjawisko tam, w oknie werandy!... nie to przechodzi jego siły!... Jakaż okrutna halucynacja!... czy też może to prawda, że duchy po śmierci błądzą dokoła miejsc, które były im drogie... bo oto widzi... widzi przed sobą cień Marji Teresy... a słyszał — chociaż nie wierzył — że duchy nieraz ukazują się tym, którzy ich kochali!... Cień Marji Teresy stoi w oknie... jaka błąda... wprost przezroczysta... jaką smutną twarz mają duchy zmarłych powracające na świat!... Wychyla się z okna jak niegdyś... odwraca głowę, jak niegdyś... ma wszystkie dawne giesty... a może to tylko cienie giestów... Roman zaledwie szeptem wymawia imię Marji Teresy z obawy, ażeby cień nie rozwiał się, ażeby na dźwięk jego głosu nie znikło to urocze

widziadło!... Ostrożnie, na palcach zbliża się, jak dziecko, które chce schwycić motyla... a serce mu bije... serce mu bije... a pierś podnosi się gwałtownie... bo oto żywy okrzyk płynie ku niemu... „Romanie“! — „Marjo Tereso“!...

Dobre ciociecki Agnieszka i Irena, płacząc podtrzymywały Marję Teresę, markiz zaś pochwytał Romana, a wszyscy płaczą... płaczą!... Jeden tylko mały Krzysztof nie płacze, lecz, podskakuje z radości, widząc swego przyjaciela Romana i klaszcze w dłonie: „A co, czy nie mówiłem Marjo Tereso, że on żyje!... Teraz będziesz już zdrowa, siostrzycko, teraz z pewnością będziesz zdrowa!“

A Marja Teresa już znów w objęciach Romana mówi:

— Byłam tego pewną, że jeśli żyje, to wróci tu do tego miejsca. Lecz czy to prawda, tyżeś to rzeczywiście Romanie mój?

— A ty Marjo Tereso, tyżeś to naprawdę, ciebiez to trzymam w objęciu?

— O, Marja Teresa była ciężko chora, sądziłmy, że już nie będzie żyła — opowiadał mały Krzysztof — podczas gdy stare ciotki szlochały, a markiz ocierał łzy — ale uleczyliśmy ją, gdyśmy jej powiedzieli, że Roman z pewnością nie zginął.. „Zobaczysz, mówiłem do niej, zobaczysz, że dobry Huascar uratował go, tak, jak nas wszystkich uratował. Będziemy go kochali, gdy wróci do nas.... Tatuś mówi to samo: gdyby nie on, byłibyśmy zginęli wszyscy!... Ale teraz będziemy żyli i dobrze nam będzie!“

Arcykapłan dotrzymał słowa.

Marja Teresa myślała to samo, co Roman, czując, że bez Romana nie będzie mogła żyć, pragnęła przed śmiercią być jeszcze w kantorze, w którym co wieczora widywała się z Romanem, Lecz teraz nie umrze już, bo Roman powrócił!

Jakim sposobem Huascar mógł uratować Marję Teresę? Roman był pewnym, że aż do chwili,

gdy padł zemdlony w świątyni po swych nieudanych próbach, Marja Teresa mogła dziesięć razy umrzeć z uduszenia.

Ukochana moja — rzekł do niej — byłem przytem, gdy cię zamknęli w grobie!

— Byłeś obecny! — zawołała z nagłym ożywieniem i chciała koniecznie mówić raz jeszcze o tem strasznem przejściu, chociaż markiz i ciotki dawali znaki Romanowi, aby ją powstrzymał od tego. — A więc byłeś tam?... aby mnie ratować... nieprawdaż ukochany?... Oczy moje nagle otwariły się, bo czułem, że jesteś przy mnie, czułam, że oczy twoje spoczywają na mnie... i chciałam cię widzieć... a ci źli ludzie zamknęli grób!

— Cicho! cicho, dziecko drogie, błagam cię — rzekł markiz — Trzeba zapomnieć o tem... a przede wszystkim nie mówić już o tem!

— Ależ nie!... Teraz, gdy Roman wrócił, nie ma niebezpieczeństwa... Musi przecież wiedzieć co się stało!... Widziałeś pewnie, że byłam już jak nieżywa... odkąd mój mały Krzysztof wydał ten okrzyk rozdzierający, gdy Huascar wydarł mi go z rąk, byłam nawpół martwa... sądziłam, że chcą go zabić... daremnie Huascar uspakajał mnie, że mu się nic nie stanie, nie mogłam mu wierzyć i zamknęłam oczy, oczekując śmierci... zamknęłam je w chwili, gdy weszłam do tej strasznej świątyni... otworzyłam je dopiero, gdy odczułam, że jesteś przy mnie... Co uczynisz, aby mnie uratować?... bo wiedziałam, że uczynisz wszystko, co możliwe... wszystko!... O mój najdroższy!.., nawet w ciemnym grobie, przywaloną granitem, miałam jeszcze w tobie nadzieję!... Przez wszystkie te straszne chwile, które spędziłam w dziedzinie śmierci, myśl o tobie, jako o wybawcy moim nie opuszczała mnie... Nie pozwolisz mi umrzeć między tymi kamieniami... byłam tego pewna... i czekałam... czekałam. A gdy już zaczęłam się dusić, myślałam jeszcze: Przyjdzie za późno... za późno! umrę, zanim mnie wybawi!... Pod bandeletkami pierś moja podnosiła się gwałtownie... usta daremnie pragnęły zaczerpnąć powietrza!...

— O ojcie! mój drogi ojcie!... pozwól mi opowiedzieć wszystko Romanowi, przecież to już minęło... żyjemy i będziemy żyli!... A więc już się dusiłam, a w uszach czułam dziwny szum... Gdy nagle mury grobowca wstrząsnęły się silnie; głucho uderzenia padały na kamienie mojego grobu... To on! myślałam... to on! tylko szybko! szybko!... Oczy moje były otwarte wśród ciemności i czekały światła... i oto po ostatniem najsilniejszym uderzeniu o kamień ujrzały światło! Przymknęłam oczy i zawołałam: „Romanie!“ Czułam, że ktoś ciągnie mnie z tyłu. Otworzyłam oczy. Byłam w ramionach Huascara!... Huascar przyciskał mnie mocno do swych piersi, twarz jego napięta pochyla się nad moją, a płomienne jego spojrzenie paliło mnie i pytałam się, dlaczego Bóg nie pozwolił mi umrzeć... Indianin położył mnie w jakimś ciemnym krużganku, oświetlonym tylko słabem światłem lunczywa i zaczął odwijać krępujące mnie bandetki. Gdy miałam ręce wolne, okrył mnie szatą ze skórek nietoperzy, którą zdjęto mi, gdy weszłam do świątyni. Patrzyłam na niego ze strachem, jak niewolnica, która nie może ujsć woli swego pana. Lecz on powiedział mi ochryplym głosem, że nie mam się czego obawiać, że jestem uratowaną. Nie mogłam mu wierzyć. Widziałam, że wsunął do grobu, z którego mnie zabrał, mumję, podobną do tych, które pokazują w naszych panteonach, potem zamknął napowrót kamieniem otwór, który — jak mi powiedział, przygotował już poprzednio „Nie będzie świętokradztwa — rzekł — bo Bóg będzie miał liczbę małżonek, należną mu!“

Zwrócił się ku mnie, ja zaś instynktownie czołnęłam się.

— Widzę, że jeszcze boisz się mnie — rzekł — Wiedz o tem, że gdyby nie ja, byłabyś już nieżywą. Ja to przygotowałam wszystko dla twego wyzwolenia. Lecz nie dziękuj mi, uczyniłem to, ponieważ cię kocham...

Cofałam się wciąż, a raczej wlokłam się bezsilnie, oddalając się od ramion, które wyciągnęły się ku mnie.

— Są i inni, którzy cię kochają i chcieli cię ratować... lecz przyczynili się tylko do przygotowania twej zguby!... Musiałem sam udaremnić ich niebezpieczne wysiłki, gdyż inaczej Quichuasi byliby cię zabili!

Nie wierzyłam mu jeszcze. Rzekłam mu:

— Uratowałeś mnie tylko w tym celu, aby mi zgotować jeszcze okrutniejszą zgubę. Co uczyniłeś z moim bratem?

— Jeżeli chcesz zobaczyć, pójdź ze mną.

A gdy nie mogłam iść o własnych siłach, wziął mnie na ręce i poniósł mnie przez krążgancki śmierci, które nie miały dla niego tajemnic.

Czułam bicie jego serca i przejmowała mnie większa trwoga, niż pośród granitów grobowca.

Po drodze, nieskończenie dla mnie długiej, Huascar otworzył drzwi jakieś i usłyszałem dwa radosne okrzyki. Ojciec mój i Krzysztof porwali mnie w objęcia, ściskali i całowali mnie.

Indjanin rzekł:

— Przynależę oddać panu córkę i syna, senor! Oto są! Nie grozi wam teraz żadne niebezpieczeństwo. Wiedz, senor, że słowo Inkasa nigdy nie zawiedzie!

To mówiąc pozdrowił nas i odtąd nie widzieliśmy go więcej... Chciałem ci to wszystko opowiedzieć, Romanie, ażebyś wiedział, jeżeli przypadkiem kiedy spotkasz tego człowieka, co mu jesteśmy winni.

Słyszając te słowa młodzieniec zadrżał i nerwowo uściśnął rękę swej narzeczonej.

— O Marjo Tereso! — rzekł głosem wzruszonym, — wiem dobrze, com ja mu winien. Uratował ciebie i mnie, a ja mu przysiągłem, że jeżeli cię uratuje, nie będziesz nigdy moją żoną!

— Romanie mój! Wiem o tem.. Huascar powiedział to ojcu... prawda ojciec? Dlaczego drżysz tak?... to przecież dzieciństwo!

— Może cię uratował tylko skutkiem tej przysięgi — rzekł Roman.

— Raczej mimo tej przysięgi — przerwał markiz. — Huascar uważał ją jako obelgę dla siebie.

— Gdy na wyspie, gdzie trzymano mnie w zamknięciu, po naszym poronionym zamachu, ujrzałem pewnego wieczora Huascara, człowieka, któremu zarzucałem, że nas zdradził i był winien wszystkim naszym nieszczęściom, chciałem mu rzucić w twarz wyrazy nienawiści i pogardy. Lecz zatrzymał mnie przy pierwszych słowach i kazał zaprowadzić mnie do samotnej grotty nad wybrzeżem. Wkrótce wszedł do mnie sam i sądziłem, że wybiła ostatnia moja godzina. Lecz on ze spokojem powiedział mi, że ani chwili nie przestał pracować nad uratowaniem nas — przedewszystkiem przed skutkami naszej nierozwagi; że obecnie wszystko przygotował do naszej ucieczki i że wkrótce przyprowdzi mi dzieci, a z nadejściem nocy łódź jego pod dozorem ludzi zaufanych odwiezie nas do okrętu.

Był tak uroczysty, że musiałem wierzyć jego słowom. Nic nie zmuszało go obecnie do kłamstwa, skoro byliśmy jego więźniami. Wyciągnąłem do niego rękę, lecz nie chciał jej przyjąć. I wtedy dopiero powiedział mi o tej dziwnej przysiędze, którą złożyłeś mu owego wieczora w Arequipie.

— Nie znam tego młodego człowieka — rzekł — i nie wiem dlaczego zaproponował mi ten handel. Senorita będzie wolna i serce jej będzie wolne, nie jestem handlarzem jej serca; nie mogę go ani wziąć, ani dać. Niechaj dowie się o tem ten młody człowiek, któremu nie uczyniłem nic złego, a który mnie obraził. Przebaczam mu to.

— Chciałem mu podziękować, lecz powstrzymał mnie i rzekł:

— Podziękuj pan tej, która jest w niebie, markizie de la Torre! Huascar zaś prosi was tylko o jedną rzecz w zamian za usługę, którą wam oddał: Oto nie mówcie nigdy o tem. Niechaj pamięć arcykapłana Inkasów nie będzie zbezczeszczone.

— Tak więc Romanie, Marja Teresa może być twoją żoną!

Wujaszek Ozoux i Natividad dowiedzieli się już po drodze, że markiz wrócił do Limy i że nie-

wiadomo, jakim cudem przywiózł ze sobą Marję Teresę i małego Krzysztofa, przybiegli więc jak szaleni. Witali się, śmiali i płakali ze szczęścia. Daremnie ciotki prosiły, aby Marja Teresa nie narażała się na tyle wzruszeń; młoda dziewczyna dowodziła im, że radość jest najlepszym lekarstwem.

— Wyobraźmy sobie — rzekła — że mieliśmy straszny sen.

— O tak, musimy sobie nawet to wyobrazić. Widziałem się z prezydentem Veintemillą i opowiedziałem mu o wszystkim. Prosi on, ażebyście sobie wyobrazili, że mieliśmy straszny sen. Prosi nas o to w imię patriotyzmu. W zamian za to przyrzekł nam być pomocnym przy likwidacji naszego przedsiębiorstwa fosfatowego i przy sprzedaży naszych koncesji. Ślub Marji Teresy z Romanem obędzie się we Francji — jeżeli nikt nie ma nic przeciwko temu. Może później kiedyś, gdy będziemy pewni, że nie grożą nam znów podobne sny, wrócimy znów, aby wypróbować wynalazek inżyniera Ozoux w starzych kopalniach złota w Cuzco.

— Ach, gdyby mnie byli słuchali, zapewniam was, że „Kruźganki śmierci“ przestałyby być postrachem dla wszystkich! — zawołał Natividad. — Ale cóż!... wciąż ten sam system... zatykać sobie oczy i uszy!... nawet teraz, po tej strasznej historii, która nieomal kosztowała nas życie. Veintemilla, który tym razem mógł dosadnie zamordować tych Indian, prosi was, abyście sobie wyobrazili że mieliście straszny sen!

I biedny Natividad był prawdziwie zmartwiony i rozczarowany.

— Panie Natividad — rzekł markiz tonem poważnym — pan jesteś niespokojnym duchem. Mam panu zresztą do zakomunikowania smutną nowinę. Nie jesteś pan już inspector superior w Cal-lao! Wylali pana, mój drogi panie!

Natividad padł na krzesło przygnębiony, nie znajdując słów na wyrażenie swego oburzenia z powodu najwidoczniejszej radości, z jaką ten czło-

wiek, dla którego poświęcił wszystko, zapowiedział mu to nieszczęście.

Był przy tem tak komiczny, że wszyscy mimowoli wybuchnęli śmiechem. Lecz Natividad wstał i nie rzekłszy słowa, skierował się ku drzwiom. Mało nie udusił się z oburzenia. Tak, będzie miał dobrą nauczkę!

— Nie spiesz się pan tak bardzo, mój drogi przyjacielu. Jeżeli miałem panu do zakomunikowania smutną nowinę, to mam w zanadrzu także i radosną. Jesteś pan mianowany starszym inspektorem w Limie!

Natividad padł znów na krzesło, ale tym razem z radości.

— Co za szczęście! — zawołał i nie wiedział jakimi wyrazami ma dziękować markizowi, dzięki któremu urzeczywistniło się najpiękniejsze życzenie jego życia.

— Ależ nie wiele brakowało, a byłbym już nie żył!

— O! — odrzekł markiz z uśmiechem — prezydent dał mi nominację dla pana z zastrzeżeniem, że będzie ona tylko ważną, jeżeli pan wróci żywy... Otóż ponieważ Indjanie pana nie zjedli, będzie pan mógł i nadal czuwać nad nimi...

Natividad wraz z godnością odzyskał zwykłą swą rozswagę.

— Lepiej będzie — rzekł — jeśli cała ta rzecz zostanie między nami!

— Ponieważ wracamy do Francji — rzekł Franciszek Ksawery — czy pozwolisz pan, panie markizie, abym... to, cośmy przeżyli, przedstawił w szeregu odczytów?

— Chyba we formie snu, zacny „Nieśmiertelny“, możesz pan opisać wszystkie świetności i wszystkie potworności kultu staro-peruwiańskiego....

— A! my? Czy kiedykolwiek uwierzmy naprawdę, że był to tylko sen? — zapytał Roman szeptem Marję Teresę, patrząc ze smutkiem na jej zmienioną, zbiedzoną twarzyczkę, która zbyt wy-

rażnie jeszcze zdradzała, że nie sen, lecz straszną rzeczywistość przeżyła.

— Może... kiedy twarze nasze nabiorą znowu koloru — odrzekła Marja Teresa, widząc straszną bladłość Romana. A jednak — dodała — gdy widzę się tu w moim kantorze, przy herbacie w gronie moich najbliższych, gdy widzę całe to otoczenie familijne i igrającego przy mnie małego Krzysztofa, gdy widzę nas wszystkich żywych po przejściach w świątyni Śmierci, nie mogę chwilami powstrzymać się od pytania: Czy to nie było snem?

Że to była tragiczna rzeczywistość, o tem przekonali się po chwili wszyscy obecni. Oto gdy Natividad pożegnawszy się, chciał wyjść i otworzył drzwi kantoru, cofnął się z okrzykiem przerażenia. Na schodach prowadzących do kantoru, leżały wyciągnięte zwłoki Indjanina Huascara. Marja Teresa, która poznała go natychmiast ukłękła przy nim i zawołała:

— O nie, nie, Romanie, to nie był sen!

I zapłakała nad Huascarem, który wbił sobie nóż w serce i przywłókł się tu, by umrzeć na tym progu, skąd go wyгнаła.

Epilog.

Historja ta wymaga epilogu, dla wyjaśnienia dalszych dziejów Oviedo Huaynac Runtu, byłego urzędnika banku franko-belgijskiego, ostatniego króla Inkasów.

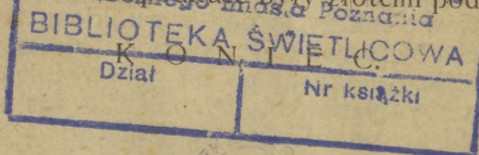
Po licznych awanturach w Andlach, prześladowany wraz z wszystkimi krajowcami, którzy wspierali Garcję i rewolucję, Oviedo wszedł w pertrakcję.

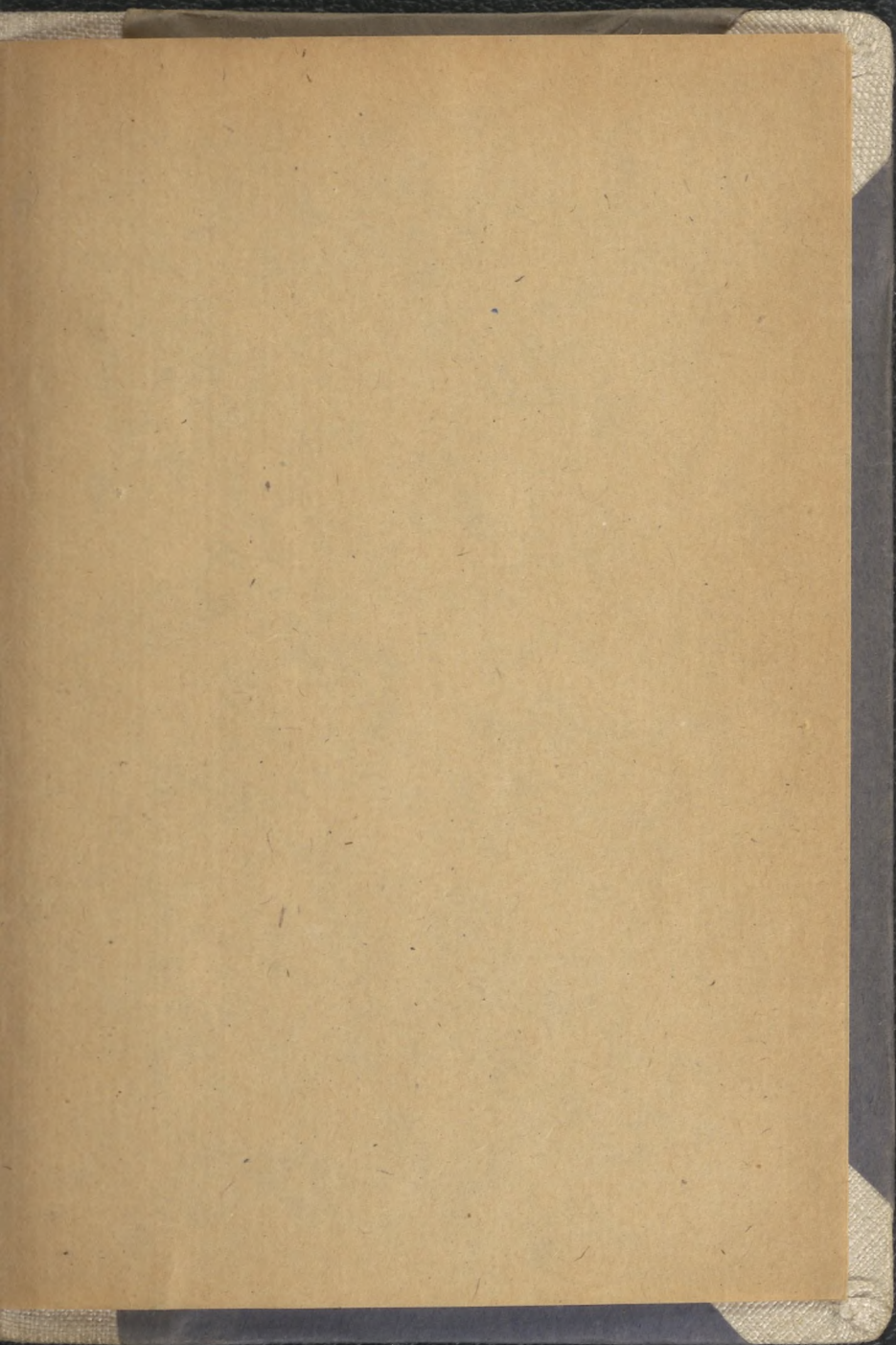
Darowano mu życie pod warunkiem, że skłoni wszystkich buntowników do poddania się. Trybunał wojskowy skazał go na dożywotnią banicję, lecz poczciwy Natividad wyrobił mu łaskę i posadę w Limie w filji banku franko-belgijskiego. Natividad miał go w ten sposób na oku i mógł przekonać się, że nie próbował już przyczynić się do odrodzenia starego kraju inkaicznego. Oviedo

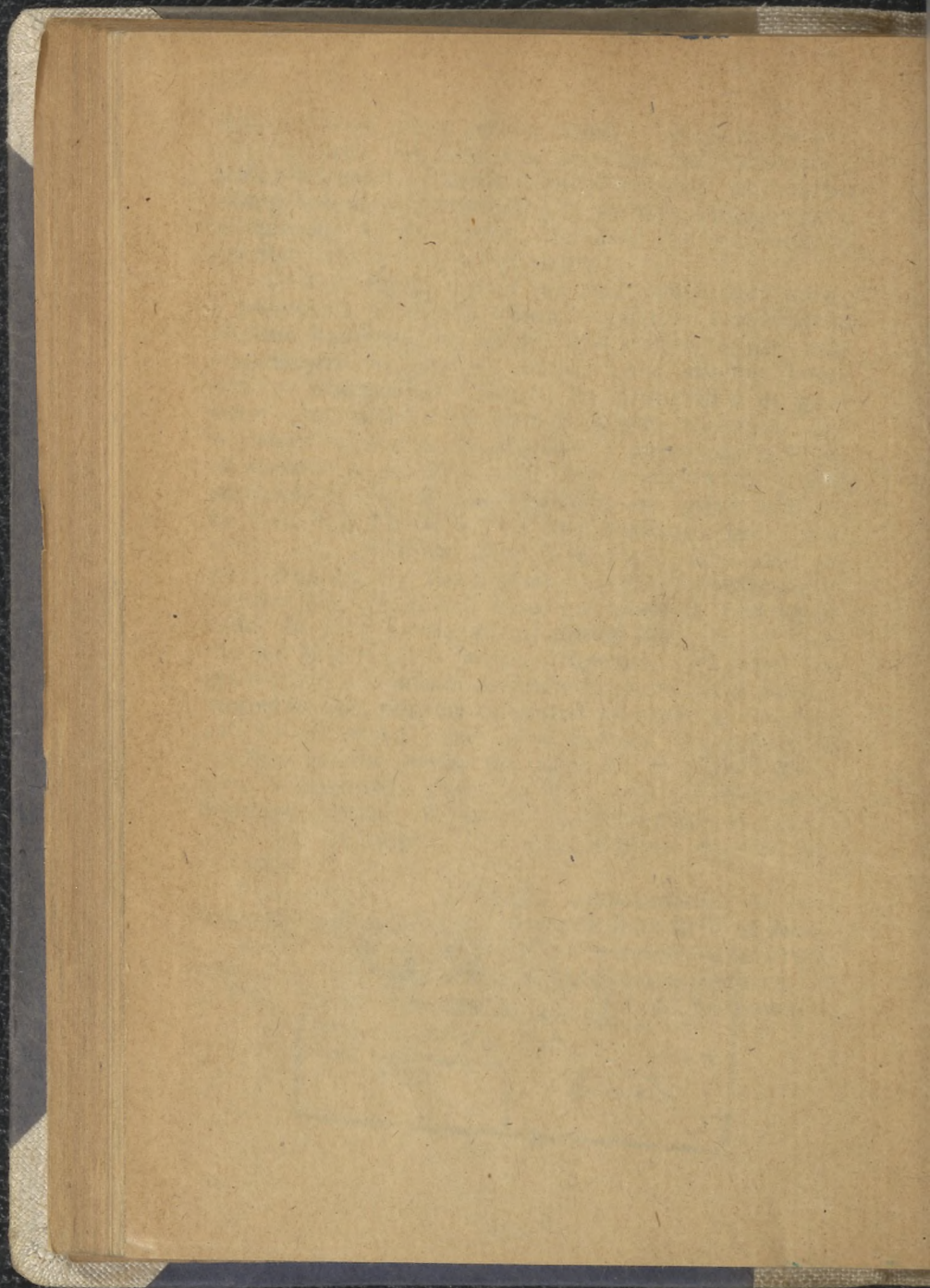
Runtu ożenił się z pewną damą z Limy, która odbyła podróż do Titicaca, aby widzieć ostatniego króla Inkasów. Podróżni przybywający do Cuzko uśmiechali się rozbawieni, gdy im pokazywano parę królewską i dodawano, że król za kantorkiem zarabia sto pięćdziesiąt soles.

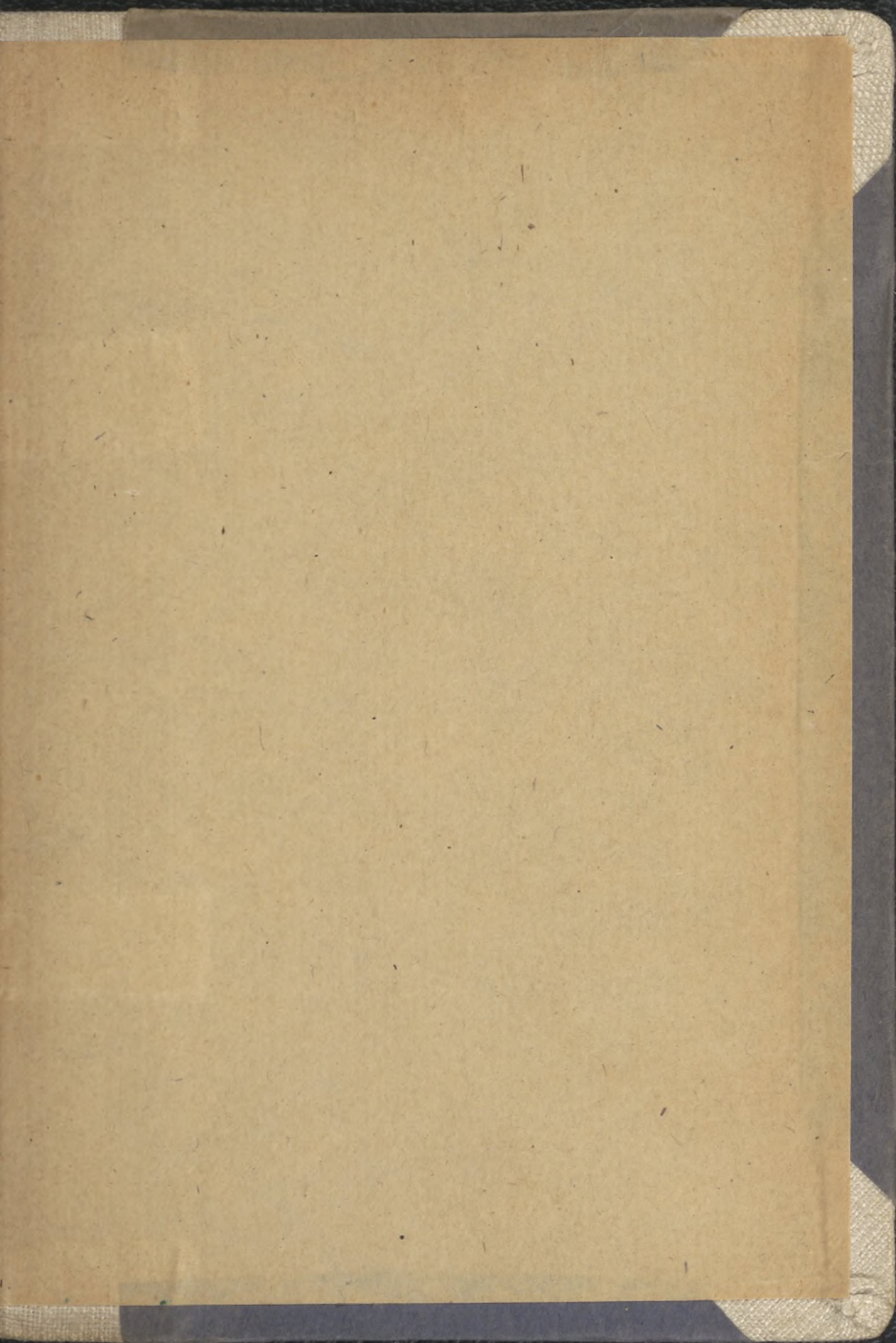
Oviedo Runtu zmarł jak najzwyczajniejszy burżuj, a pozostała po nim królowia — „Coya“ opowiadała chętnie każdemu, że gdyby byli chcieli, byłiby najbogatszymi ludźmi na ziemi. Lecz skarby Inkasów — dodawała — należą do zmarłych i do grobów i nie wolno ich ruszać. A gdy zapytano, czy widziała te skarby, donna Marja opowiadała, w jaki sposób je ujrzała. Gdy raz skarzyła się przed małżonkiem swym, że zawiodła się, gdyż sądziła, że poślubiła króla, a poślubiła biednego Indjanina, rzekł jej: „Chcesz pani dowiedzieć się, czy jestem bogaty, czy też biedny? Otóż za chwilę przekonasz się, że żaden król nie posiada tyle skarbów, ile ja“. Zawiązał jej potem oczy chusteczką, okręcił trzy razy w koło i ujawszy ją za rękę, wprowadził ją o jakichś (dwieście kroków i kilkanaście stopni w dół, poczem odwiązał jej oczy. W wielkiej sali kwadratowej ujrzała na ławach ciągnących się wzdłuż murów ustawione niezliczone statuy Inkasów ze szczyregu złota, każda wielkości dwunastoletniego dziecka! Pomiędzy figurami stały kosztowne wazy ze złota i srebra, ozdobione drogimi kamieniami.

— Zaiste — kończyła opowiadanie — tak wspaniałego skarbcza nie posiada inny król na ziemi. Lecz nikt naturalnie nie wierzył w te bogactwa, jak nikt nie wierzył żołnierzom Pizarra, że w Peru konie ich podkute były złotem i podkownikami.











208480